cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #181 06/2021

Hanna Shen
DEMOGRAFICZNY KRYZYS W CHINACH

Piotr Lisiewicz
WOJNA KRAKOWSKO-WARSZAWSKA ADAMA OBRUBAŃSKIEGO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

DYKTATURA LAJKÓW

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI, FOT. ADOBE STOCK (2)

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

TEMAT NUMERU ▼ 4–14

Julki z Tik-Toka i lody Ekipy a niepodległość Polski / 4

IDEE ▼ 16–28

Od nocnych snów do dziennych koszmarów / 16

HISTORIA ▼ 30–57

Wojna krakowsko-warszawska Adama Obrubańskiego / 30

KULTURA ▼ 62–79

Dokąd niesiesz tę głowę, Judyto... / 62

ŚWIAT ▼ 80–97

Demograficzny kryzys w Chinach / 80

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Julki z Tik-Toka i lody Ekipy a niepodległość Polski 4

Krzysztof Wołodźko
Sprzedać lajka z błyskawicą. Kontrkultura i biznes 8

Ryszard Czarnecki
Łże-rzeczywistość 11

Dawid Wildstein
Kolorowe truchło lewicy 12

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Od nocnych snów do dziennych koszmarów 16

Grzegorz Wszołek
„Demiurg", jedna z najważniejszych biografii ostatnich lat 22

Małgorzata Matuszak
Transpłciowe dzieci 26

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Wojna krakowsko-warszawska Adama Obrubańskiego 30

Dariusz Jarosiński
Cena honoru 36

Agnieszka Kowalczyk
„Ja w piersi mam i gwiazdy, i harfy, i miecze!" 42

Ewa Polak-Pałkiewicz
Długi cień „Mistrza" 48

Adam Pragier
Dobrzy Niemcy 54

KULTURA

Olga Doleśniak-Harczuk
Dokąd niesiesz tę głowę, Judyto... 62

Sylwia Krasnodębska
Laur Niepodległości 68

Stefan Czerniecki
Powrót do przeszłości 70

Krzysztof Karnkowski
W poszukiwaniu nowego „Dark" 78

ŚWIAT

Hanna Shen
Demograficzny kryzys w Chinach 80

Antoni Rybczyński
Dilerzy z rosyjskiej ambasady. Argentyna, kokaina, FSB 84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

oprac. Antoni Rybczyński
Jak Lenin wprowadził stalinizm. Czy NEP był wstępem do despocji? 94

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Białoruś jest narzędziem Kremla
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... wolna wola
KATECHIZM INTELIGENTA 25

Krzysztof Wołodźko
Radykalne polskie drogi
DZIENNIK LEKTUR 58

Marek Kalinowski
Coś więcej niż fado
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 67

Ryszard Czarnecki
Sobór w Konstancji i UE: propaganda antypolska kiedyś i dziś
CZARNECKO TO WIDZĘ 89

Olga Doleśniak-Harczuk
W Bundestagu chyba nie lubią LGBT
Z GLOBALNEGO TYGLA 90

Marcin Wolski
Z pamiętnika młodego youtubera
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Putin walczy o życie
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Katarzyna Gójska

Białoruś jest narzędziem Kremla

Propagatorzy mrzonek o niezależności satrapy z Mińska od władz Federacji Rosyjskiej i konieczności pielęgnowania owego autonomizmu mogą udać się na emeryturę. Jeśli działali w dobrej wierze, kierowani wyłącznie naiwnością, sami powinni zweryfikować swoje twierdzenia i wyciągnąć z nich wnioski.

Dziś już nikt nie może mieć wątpliwości, że białoruski reżim jest utrzymywany przez Kreml i żadnej niezależności nie ma. Porwanie samolotu lecącego do Wilna, zmuszenie go do zawrócenia i lądowania awaryjnego, a potem postoju i poddania się działaniom służb białoruskich lub wręcz rosyjskich – świadczy o tym, iż Białoruś w polityce Władimira Putina jest narzędziem służącym do destabilizowania sytuacji w naszej części Europy. Ale również testowania NATO. W tym sensie Mińsk stał się więc takim Donbasem czy Krymem. Formalnie jest oddzielnym państwem, co zresztą czyni z niego narzędzie jeszcze korzystniejsze. Dzięki temu Ławrow czy jego rzeczniczka mogą twierdzić, iż Białoruś sama podejmuje działania, i umywać ręce od jej zaczepnych i agresywnych akcji. Dla Polski działania wobec samolotu Ryanaira powinny być czytelnym sygnałem, iż nasza granica wschodnia w dużej mierze jest dziś narażona na prowokacje. Nie można wykluczyć także działania białorusko-rosyjskich służb na terenie Rzeczypospolitej wobec przedstawicieli białoruskiej opozycji ani nasilenia prowokacyjnych akcji wobec przedstawicieli polskiej mniejszości na Białorusi. Dlatego zamiast infantylnie puszyć się, że redaktora naczelnego Nexty strzegły litewskie służby i go nie ochroniły, Polska powinna zastanowić się nad bezpieczeństwem w tych nowych okolicznościach. Widać gołym okiem, iż agresja będzie narastała. Nie jesteśmy w stanie wykluczyć próby zamachu czy porwania na terenie naszego kraju. Mam nadzieję, iż taka refleksja już się pojawiła. Priorytetem powinna być współpraca w regionie, szczególnie intensywna z państwami oddzielającymi nas od Federacji Rosyjskiej. I dlatego właśnie dziecinadą jest atakowanie Litwinów za Protasiewicza, bo kilka chwil złudy sukcesu w programie telewizyjnym nie jest warte nadwyrężania relacji na linii Warszawa–Wilno. Po drugie trzeba urealnić współpracę z Kijowem. Dziś polskie państwo reprezentuje tam człowiek nieposuwający spraw do przodu, można by rzecz: „pan nic się nie da zrobić". I choć relacje polsko-ukraińskie są skomplikowane przez spór dotyczący historii, to trzeba pamiętać, iż polityka historyczna winna służyć realizacji interesu państwa, a nie uniemożliwiać ów proces. Trudno nie odnieść wrażenia, że ambasador RP w Kijowie z jakiś emocjonalnych lub innych powodów nie wykorzystuje nawet rocznic wydarzeń, które są dobrą kartą naszej wspólnej historii. Brak upamiętnienia – najmniejszego – 101. rocznicy

DLA POLSKI DZIAŁANIA WOBEC SAMOLOTU RYANAIRA POWINNY BYĆ CZYTELNYM SYGNAŁEM, IŻ NASZA GRANICA WSCHODNIA W DUŻEJ MIERZE JEST DZIŚ NARAŻONA NA PROWOKACJE. NIE MOŻNA WYKLUCZYĆ TAKŻE DZIAŁANIA BIAŁORUSKO-ROSYJSKICH SŁUŻB NA TERENIE RZECZYPOSPOLITEJ WOBEC PRZEDSTAWICIELI BIAŁORUSKIEJ OPOZYCJI ANI NASILENIA PROWOKACYJNYCH AKCJI WOBEC PRZEDSTAWICIELI POLSKIEJ MNIEJSZOŚCI NA BIAŁORUSI.

wejścia wojska polskiego i ukraińskiego do Kijowa pokazuje naszą nieskuteczność i brak wyobraźni. Dziwię się, że takie zaniechania czy wręcz sabotaż nie spotykają się z konsekwencjami ze strony centrali MSZ. Jarosław Kaczyński w niemal każdym z udzielonych na przestrzeni ostatnich miesięcy wywiadów podkreśla konieczność zmaksymalizowania działań na rzecz wzmacniania bezpieczeństwa RP. Idą niespokojne czasy i nie trzeba wielkiej przenikliwości, by to dostrzec. Tym bardziej polska dyplomacja potrzebuje rozwagi i dalekosiężnych strategii. To bezdyskusyjny priorytet. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Pogoń za lajkami za wszelką cenę zagraża obozowi niepodległościowemu w trochę podobny sposób, jak w latach 90. zagrażało mu istnienie „prawicowców" lansowanych przez postkomunę. Jeśli publicyści szukający popularności w Internecie zaczynają zachowywać się jak Ekipa Friza, a ich odbiorcy jak zafascynowane ilością odsłon Julki z Tik-Toka, to w dłuższej perspektywie grozi nam to cywilizacyjną degradacją. Bo gdy liczba sprzedanych egzemplarzy gazety, lajków lub odsłon na YouTube staje się dla kogoś jedynym priorytetem, przestaje nim być racja stanu. Już nie pies macha ogonem, lecz ogon trzęsie psem. I zamiast PiS możemy mieć za parę lat na prawicy AWS albo co gorsza jakąś upiorną ekipę Mieczysława Wachowskiego 2.0.

Piotr Lisiewicz

Julki z Tik-Toka i lody Ekipy a niepodległość Polski

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI, FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Nie, nie zamierzam zawracać kijem Wisły. Wszyscy gonimy za lajkami, odsłonami, sprzedażą, cytowalnością i reklamodawcami. Gonimy i będziemy gonić, dopóki istnieć będą lajki, a gdy w ramach cywilizacyjnych przemian lajki znikną, znajdziemy sobie coś nowego do gonienia. Natomiast niepodległe, silne, liczące się na świecie państwo nie może pozwolić, by dyktatura lajków w niekontrolowany sposób wpływała na jego politykę.

W szczególności nie może zaś pozwolić sobie na to państwo, które przeżyło komunizm i leży między Rosją a Niemcami. Twierdzę, że jeśli się na to zgodzi, czeka je nie jakaś hipernowoczesność, lecz powrót starych, bardzo dobrze znanych starszemu pokoleniu upiorów.

▶ Szczerość Matki Kurki

„Psycholu, zamordowałeś 130 000 ludzi i mordujesz dalej, te »statystyki« sobie powieś w domu, najlepiej na ścianie", „To jest PiS-owski minister, nieuk, który studiował ćwierć wieku i ostatnie bydlę, które chce eksperymentować na polskich dzieciach. Zapamiętajcie ten ryj!" – to niedawne wpisy Matki Kurki.

Piotr Wielgucki tym różni się na korzyść od innych publicystów, że jakiś czas temu przyznał, że Matka Kurka to... nie do końca Wielgucki. Bo żeby odnosić sukcesy w mediach społecznościowych, trzeba jego zdaniem pisać ostro, stosować różne przerysowania, inaczej nie osiągnie się sukcesu. Wielgucki to mój dawny sojusznik w kwestii krytyki Jerzego Owsiaka i w różnych czasach ceniłem jego teksty, niemniej dziś wydaje się klinicznym przykładem problemu, o którym teraz piszę. Niebezpiecznego dla rangi państwa przerostu formy nad treścią w polskiej publicystyce.

▶ Patostreamer Jabłonowski w telewizji wPolsce

Ale są przykłady bardziej drastyczne od Matki Kurki. Gdy telewizja wPolsce zaprosiła do dyskusji o polskiej polityce zagranicznej Wojciecha Olszańskiego vel Aleksandra Jabłonowskiego, aktora głoszącego skrajnie antypolskie, bo prorosyjskie (to zawsze jedno i to samo) teorie, do tego budującego swoje zasięgi poprzez bluzgi, a nawet bijatykę, to nie była to już publicystyka, lecz promowanie politycznego patostreamera.

Ktoś powie, że Jabłonowski to folklor, ale zjawisko nie dotyczy tylko politycznego folkloru. Niedawno w „Gazecie Polskiej" odpowiedziałem pytaniem na pytanie, czym „Gazeta Polska" różni się od „Sieci" i „Do Rzeczy". A czy wyobrażają sobie Państwo, żeby Katarzyna Gójska poszła udzielić wywiadu Monice Jaruzelskiej, ulubienicy Sputnika, jak zrobiła to zastępczyni redaktora naczelnego tygodnika „Sieci", sympatyczna skądinąd Dorota Łosiewicz? No dobra, a okładkę „Gazety Polskiej" z Billem Gatesem i tytułem „Ja was wszystkich zaszczepię", która ukazała się w „Do Rzeczy"?

▶ Ale my chcemy tylko zwiększyć swoje zasięgi...

Niby oczywiste, ale jednak nie do końca. Bo ta sytuacja daje szerokie pole do tłumaczeń, dlaczego służy się kłamstwu, a szkodzi prawdzie. Ktoś może powiedzieć: no, może i robimy rzecz kontrowersyjną, wysyłając naszą dziennikarkę do Moniki Jaruzelskiej, ale w ten sposób pozyskujemy nowych czytelników, budujemy swoją markę, a koniec końców wykorzystamy tę markę do zwycięstwa obozu PiS w wyborach.

A czy wolno na okładce prawicowego tygodnika zniechęcać Polaków do szczepień, umieszczając zdjęcie Billa Gatesa i popularyzując skrajnie szkodliwie spiskowe teorie? Licząc, że zachęcimy do zakupu ich zwolenników, którzy rzucą się do kiosków zachwyceni, że ktoś wyłamał się ze „zmowy milczenia"? Czy to nie oznacza, że powodujemy, iż więcej Polaków umrze, gospodarka później odpali, a nasza pozycja na świecie będzie słabsza? Oczywiście w czasie pandemii argumentem „więcej Polaków umrze" można obracać na różniejsze sposoby, w tym również kłamliwe, ale to nie zmienia faktu, że nie jest on zmyślony. Czy to też pozyskiwanie zwolenników dla dobrej sprawy? „Wy, nieudacznicy, nie rozumiecie naszej taktyki, w efekcie końcowym służącej sprawie o wiele lepiej niż wasza pryncypialność i wierność prawdzie, która lajków daje mniej" – może ktoś nam wytłumaczyć.

▶ Powrót cynizmu ze stajni Olka Kwaśniewskiego

Zapewne część z redakcji prowadzić będzie politykę, w wyniku której szkody, jakie wyrządzi, zrównoważy zyskiem, który wyniknie z dotarcia przez nią do większej liczby czytelników. Ale inne redakcje czy publicyści zwiększone zasięgi wykorzystają do tego, żeby szkodzić dalej. A ten stan płynności, brodzenie w medialnej magmie, w której nie ma żadnych reguł, staje się wymarzonym polem dla działalności hochsztaplerów.

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Ale czy on czegoś nam niepokojąco nie przypomina? Fundamentem postkomunizmu była pochwała cynizmu. Wprowadziło ją do polityki środowisko dawnych komunistycznych działaczy studenckich na czele z Aleksandrem Kwaśniewski, a potem cynizm ten zaimponował środowisku Donalda Tuska. W myśl tego cynizmu, wszystko w polityce jest dozwolone, to tylko teatrzyk służący przejęciu i utrzymaniu władzy. Pisałem o śp. Lechu Kaczyńskim, że górował nad klasą polityczną III RP tym, że było jasne, iż nie odpuści kilku spraw – budowy niepodległości Polski w oparciu o sojusz z państwami regionu, pamięci Powstania Warszawskiego, zastępowania tradycji postkomunistycznej niepodległościową.

Wygrana PiS była dowodem, że taki cynizm to jednak prostactwo, które może wygrywać w postkolonialnym państwie, ale gdy choć trochę wyrwiemy się z bantustanu, staje się widoczny dla większości. Ale on nie powiedział ostatniego słowa i wychodzi na to, że w warunkach działania nowych technologii musimy pokonać go po raz kolejny.

▶ Nabijanie odsłon, czyli nowe możliwości dla wrogów Polski

Skoro wszystko jest płynne, to i patostreamer Jabłonowski może wykazać, że w każdym rodzaju jego patostreamingu są po prawej stronie inni, którzy się o niego otarli. A nie? Tak, ten sam postęp technologiczny i cywilizacyjny, który umożliwił PiS przejęcie władzy, wykreował też zagrożenia dla niepodległościowej tożsamości polskiej prawicy.

Twierdzę, że pogoń za lajkami daje ogromne możliwości oddziaływania przez wrogów Polski na zwolenników obozu niepodległościowego. Piszę o tym z uporem maniaka i w osamotnieniu: najważniejszym narzędziem pozwalającym siłom wrogim Polsce wpływać na polską prawicę jest możliwość fałszowania liczby odsłon na YouTube. Zjawisko to wielokrotnie zostało na świecie opisane, a o jego istnieniu każdy może przekonać się za pomocą wyszukiwarki Google, gdzie odnajdzie ofertę wykupu odsłon, lajków czy subskrypcji. Znajdzie też informacje o tym, że wie o tym właściciel YouTube i stara się oszustwom przeciwdziałać.

Jeśli mimo to zwykły youtuber jest w stanie nabić takie odsłony, to dla służb specjalnych dużego państwa jest to bułka z masłem. A skoro tak, to jest pewne, że mająca wojska cybernetyczne Rosja zauważyła istnienie mechanizmu pozwalającego wylansować prorosyjskich youtuberów. Przecież w czasach dyktatury lajków to jest niewyobrażalne pole do manipulacji!

▶ Lajki a postkomunizm

Istotą postkomunizmu jest dążenie do zagospodarowania całej sceny politycznej, od lewicy do prawicy, przez siły służące interesom dawnej komunistycznej bezpieki. Większość powstałych w III RP partii prawicowych – z nazwy i deklarowanego programu – reprezentowała ubekistan, mniejszość – obóz niepodległościowy. To nadal tak działa. W normalnym kraju sojusz chadeckiego PiS z ludowym PSL byłby czymś naturalnym. W III RP nigdy się nie zdarzył, bo PSL to ubekistan, a PiS to niepodległość.

W 2012 roku w głośnym artykule „Salon, Przedpokój, Ulica" pisałem o różnicach pomiędzy prawicą niepodległościową a konformistyczną tak: „Przedpokój i Ulica wydają się do siebie podobne. Ale skutki zwycięstwa Przedpokoju i zwycięstwa Ulicy są zupełnie niepodobne. Są – gdy chodzi o wpływ na losy Polski – przeciwieństwem. Ulica, w przeciwieństwie do Przedpokoju, podejmuje się bowiem niebezpiecznego hazardu – zabiegania o niepodległość Polski".

Najpierw w opozycji, a potem za rządów PiS po 2015 roku Ulica zdominowała Przedpokój, przynajmniej na górze rządzącego obozu, bo gdy chodzi o lokalne układy, bywa zdecydowanie gorzej. Ale główna teza tamtego artykułu nie zdezaktualizowała się. Także wśród youtuberów mamy przedstawicieli Przedpokoju i Ulicy.

▶ Postawić tamę

Problem z dyktaturą lajków jest więc tylko pozornie nowy. I ma wymiar nie tylko cywilizacyjny, lecz także specyficznie polski i specyficznie postkomunistyczny. Po prostu w nowych warunkach wracają stare problemy. To jest system naczyń połączonych: wszystkie nasze dawne słabości, które wielkim wysiłkiem udało nam się przezwyciężyć w starych czasach gazet, radia i telewizji, mogą odnowić się w czasach nowych komunikatorów, o ile nie postawimy przed nimi barier. Muszą powstać reguły, których złamanie będzie degradować prawicową redakcję czy publicystę, który będzie je dla zysku łamał. Tą barierą musi być działanie na szkodę polskiej racji stanu. Dziś jeszcze taka bariera nie istnieje. Jej stworzenie to bardzo ważne zadanie. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Krzysztof Wołodźko

Sprzedać lajka z błyskawicą. Kontrkultura i biznes

Internet jest młodszym bratem hippisowskiej kontrkultury. Tyle że mniej naćpanym i znacznie bystrzejszym, jeśli chodzi o zarabianie pieniędzy na tym, co staje się trendy.

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Tajemnicą poliszynela jest, że undergroundowa, mgławicowa w swoich początkach kontrkultura bardzo szybko stała się dochodową częścią show-biznesu. W Stanach Zjednoczonych, na Wyspach Brytyjskich i na Starym Kontynencie oszołomione narkotykami artystki, wyzwoleni seksualnie piosenkarze, złapani w pułapki śmiertelnych nałogów bardowie opiewający wolność od społecznych zobowiązań – w latach 60. zaczęli wielki projekt społecznej przemiany.

Polityka, pieniądze, ekstaza

Daniel Bell, przenikliwy obserwator tych zjawisk, pisał na kartach „Kulturowych sprzeczności kapitalizmu": „Pod koniec lat sześćdziesiątych nowa wrażliwość uzyskała nazwę (kontrkultura) oraz ideologię. Główną tendencją tej ideologii – choć pojawiła się ona w przebraniu ataku na »społeczeństwo technokratyczne« – była w istocie krytyka rozumu. [...] Rewolucyjna zmiana, jak powtarzano nieustannie, objąć musi zarówno psyche, jak i społeczeństwo. Kiedy jednak pytano, co to ma konkretnie oznaczać, jaką formę miałaby przybrać ta nowa, postrewolucyjna kultura, w odpowiedzi słyszeliśmy tylko kolejne nawoływania do porzucenia otępiającego balastu wiedzy i dalsze celebracje »rapsodycznej paplaniny szamana«".

Można jednak naszkicować metapolityczną wizję kontrkulturowych projektów, wcielonych w symbole coraz lepiej obsługiwane przez show-biznes drugiej połowy XX wieku. Prorocy rewolucji 1968 roku chcieli utopii, komunizmu, maoizmu, anarchizmu, nowego społeczeństwa żyjącego niczym w squatach, bez nadzoru rządowych instytucji, policji, wojska, publicznej edukacji, społecznych tabu i zakazów mieszczańskiej obyczajowości (choć po latach często sami się w niej schronili przed światem, by leczyć nawarstwione nałogi i psychiczne rany, jakie pozostawiła w nich krótka epoka nieograniczonej ekstazy). Kto chce to lepiej zrozumieć, poza wyświechtanymi już nieco odwołaniami do Sida Viciousa, Janis Joplin, Jima Morrisona, powinien sięgnąć po „Please kill me" Legsa McNeila i Gillian McCain albo „Poniedziałkowe dzieci" Patti Smith.

W momencie narodzin buntu pojawiło się pytanie o pieniądze. Pytano nie tylko o to, czy Bóg nie zechciałby kupić Mercedesa-Benza i kolorowego telewizora pochodzącej z Teksasu dziewczynie. Kwestia ważniejsza niż gaże artystów, skrupulatnie badana przez trzeźwo myślących, wciąż ubranych w garnitury księgowych ukwieconej i rozbawionej branży show-bizu, dotyczyła tego, czy da się naprawdę dobrze zarobić na kontrkulturze, czy można zbić fortuny na buncie młodszych pokoleń przeciw rozumowi, przeciw społeczeństwom i państwom Zachodu. Odpowiedź brzmiała pozytywnie. W ciągu kolejnych dekad małe rodzinne wytwórnie płytowe i duże koncerny zaczęły zarabiać nieprawdopodobne pieniądze na licznych odmianach rocka, punka, metalu. I nawet gdy nikt już nie wierzył hippisom, wciąż istotne było pytanie: czy da się tak przesunąć granice ekscesu, czy da się tak przebudować społeczne normy i obyczaje, by wycisnąć z tego kolejne tysiące i miliony dolarów. I w tym przypadku odpowiedź brzmiała: „tak".

Od wolnościowej utopii do małpy w klatce

U początków swego istnienia Internet miał być wolnościową, anarchokapitalistyczną rewolucją, radykalnie i wyłącznie na lepsze zmieniającą relacje między jednostką, społeczeństwem, rynkiem i państwem. „W kalifornijskiej Dolinie Krzemowej narodziła się współczesna religia łącząca kontrkulturową obietnicę wolności z bezkrytycznym kultem postindustrialnej technologii cyfrowej" – pisze Jan J. Zygmuntowski na kartach „Kapitalizmu Sieci". I przypomina: „Prorokowano istotne przemiany społeczne. Procesy decyzyjne miały ulec demokratyzacji, podobnie dostęp do wiedzy oraz personalizacja dóbr i usług według indywidualnych preferencji. Wszystko to miało doprowadzić do rozkwitu wolności". Pionierscy badacze kultury internetowej i mediów cyfrowych wieszczyli upadek „hierarchii i struktur władzy", kres biurokratycznej kontroli i rozwój „autonomicznej przedsiębiorczości".

Po kilku dekadach oficjalnie odtrąbiono odwrót od cyfrowego hurraoptymizmu. Internet przejęło kilka sieciowych potęg, w skrócie znanych jako GAFA – Google, Amazon, Facebook, Apple. Źródła, sposoby, konsekwencje i możliwe skutki oligopolizacji sieci coraz częściej poddawane są wnikliwym analizom. Anarchokapitalistyczna utopia nie ziściła się, choć Mark Zuckerberg wciąż chce zarabiać na jej mitach, wplecionych w wizję Facebooka jako matrycy niemal wszystkich ludzkich zachowań i relacji. Zainteresowanych szczegółami odsyłam choćby do książki „Wiek kapitalizmu inwigilacji. Walka o przyszłość ludzkości na nowej granicy władzy", pióra Shoshany Zuboff, którą recenzowałem kilka miesięcy temu na łamach „Nowego Państwa".

Zuboff pokazała, że „nadzorowanie, rozszerzanie, konstruowanie i zawłaszczanie nadwyżek behawioralnych, w tym danych, których użytkownicy świadomie decydują się nie udostępniać", stało się źródłem nowej ekonomicznej, społecznej i politycznej potęgi, skupionej w rękach naprawdę nielicznych. Najlepiej lajkuje się to, co budzi gorące, skrajne emocje. Na naszych oczach społeczeństwa zamieniają się w małpę, zamkniętą w klatce socialmediów. A po prętach tej klatki co rusz ktoś przeciąga klikbajtową pałką.

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Rzecz nieco trywializując, największe biznesowe wyzwanie naszych czasów brzmi: dobrze zarobić na lajkach. Pieniądze są najważniejsze, ale świat socialmediów przerósł wszystko, co w karykaturalnej formie pokazał niegdyś William Makepeace Thackeray na kartach „Targowiska próżności". Na socialmedialnych targowiskach handluje się prestiżem i jego pozorami, trendami podlegającymi ciągłym przeobrażeniom, poszukiwaniem twarzy, incydentów, wydarzeń, obrazów, które choć na moment skupią na sobie uwagę setek tysięcy i milionów użytkowników sieci.

Jak się klika rewolucja

Rewolucja klika się bardzo dobrze. Dziś trudno nazwać ją kontrkulturową, ponieważ dawno przejęła mieszczańskie gusta, na dobre zadomowiła się nie tylko w mainstreamowych środkach przekazu. Strajk Kobiet był wydarzeniem, który przykuł uwagę nie tylko młodego pokolenia. To była pierwsza tak duża lewicowo-liberalna rewolucja liczona w lajkach. Na wielu zdjęciach z protestów dostrzeżemy tłumy wpatrzone w monitory smartfonów. Szli ulicami Warszawy, szli ulicami miast i miasteczek – zgodnie z instynktem tłumu, nieźle nadzorowanego przez Martę Lempart i pomniejszych liderów i liderki – lecz wciąż obserwowali to, co dzieje się w socialmediach. Podwójność tej rewolucji była przez moment jej siłą i największą słabością, jej realną mocą i pozorem jeszcze większej mocy.

Ważne jest to, że się klikało. Większy i mniejszy biznes, który z reguły nie jest skłonny, by do rozmowy o prawach człowieka włączać kwestie pracownicze, w tym przypadku wyczuł świetną okazję. Taka rewolucja w sam raz nadawała się do promocji. Pod koniec października 2020 roku na fejsbukowej stronie słynnej warszawskiej cukierni Lukullus pojawił się wpis: „Od dziś – dochód ze sprzedaży Napoleonki przeznaczamy na Strajk Kobiet!". Do tego – słodkości z błyskawicą. Strajkujących ogarnęła euforia: „Love", „Jesteście cudowni!!!", „Poproszę całą tacę".

Na portalu Teologii Politycznej, w wybornym felietonie „Okruchy z Lukullusa", rewolucję na słodko opisał Wojciech Stanisławski, rzecz wieńcząc goryczą własnego protestu przeciw protestowi: „Sam Andrzej Pągowski napisał, że bardzo kocha, a Ewa Wieleżyńska, ważna postać w świecie wydawców warszawskich, wstawiła wielkie, czerwone serducho. No i ten najbardziej finezyjny komentarz: »Po protestach chodziliśmy na napoleonki do Lukullusa«, wiek prawie historii Polski w siedmiu słowach, i to bez kremu. Wierny dotąd pielgrzym, pożeracz bajader i tartoletek, poczułem, że też muszę brząknąć w komentarzach bodaj jednym, postnym jak sucharek zdaniem: »Trudno, będziemy kupować gdzieś indziej, nie u Państwa«". Nigdy się chyba nie dowiemy, czy ten samotny protest publicysty dał do myślenia cukiernikom. I ile sprzedali ciastek z błyskawicą.

Lempart przeciw gadżetom

W Strajk Kobiet włączyli się i duzi, i mali. Na instagramowym profilu małej knajpki „Serso. Praskie bajgle" można znaleźć zdjęcie, na którym dziewczyna z długim blond warkoczem maluje czerwoną błyskawicę na niebieskim tle. Opis: „W kobietach siła!". I stosowne hashtagi: #pieklokobiet, #strajkkobiet, #prawakobiet, #wyroknakobiety. Efekt? 423 polubienia. Inne zdjęcia na Insta, wrzucone przez „Serso", mają po kilkadziesiąt, rzadko 100 lub 200 instagramowych serduszek. Nie mam powodów, by wątpić, że szczególnie w stolicy, szczególnie w przypadku małych biznesów, wszystko to było szczere. Ale wykwintne restauracje, firmy kosmetyczne, większe i mniejsze firmy odzieżowe, międzynarodowe banki i koncerny wspierające Strajk Kobiet i wszelki nowolewicowy bunt spod tęczowych sztandarów – to dobrze znana na Zachodzie strategia marketingowa, która u nas dopiero raczkuje. Wysyp i sprzedaż „strajkowych suwenirów" był tak duży, że zirytował Martę Lempart. „To nie jest w porządku. Nasi prawnicy już zajmują się sprawą" – komentowała dla Money.pl masową sprzedaż gadżetów z logo błyskawicy.

Trudno się dziwić biznesowi, że poszedł za najbardziej gorącym trendem jesieni 2020 roku, skoro wsparcie dla Strajku Kobiet powszechnie wyrażali mniej lub bardziej rozpoznawalni ludzie kultury i sztuki. Była wśród nich Aleksandra Jasionowska, autorka grafiki identyfikującej strajki proaborcyjne – kobiecą twarz z czerwonym piorunem stworzyła lewicowa artystka, pracująca w Biurze Marketingu Miasta Urzędu m.st. Warszawy. To ona była też autorką głośnych, mało religijnych i niezbyt udanych grafik, „zachęcających" do udziału w warszawskim kolędowaniu. Dla przeciętnych odbiorców ważniejsza była oczywiście socialmedialna aktywność osób znacznie bardziej rozpoznawalnych: Kingi Rusin, Hanny Lis, Mai Sablewskiej, Magdy Mołek, Mai Ostaszewskiej, Moniki Olejnik, Joanny Koroniewskiej, Magdy Gessler, Joanny Horodyńskiej. Każde serduszko, lajk, retweet były jak nagroda dla tych, którzy stanęli „po dobrej stronie historii".

A jednak – przestało „żreć i grzać". Rewolucja się wyklikała, kawa i ciastko, bajgiel z błyskawicą przestały być najbardziej rozchwytywanym dobrem. Bilans zysków i strat zapisali księgowi, specjaliści od wizerunku i marketingu. Trudno nie zapytać, komu to wszystko naprawdę się opłaca. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Ryszard Czarnecki

Łże-rzeczywistość

Wirtual karmi się bytami czysto wirtualnymi. Tytuły w portalach internetowych kreują rzeczywistość pozorną: „W sieci zawrzało", „Oburzenie w Internecie". Mało kto sprawdzi, że owe bombastyczne tytuły są efektem dosłownie paru (sic!) wpisów.

Szwedzka czołowa gazeta „Svenska Dagbladet" już od lat ukazuje się wyłącznie w wersji internetowej. Polski tygodnik „Wprost" poszedł w jej ślady. Słowo drukowane jest w odwrocie (choć całkiem nigdy nie zniknie...), Internet triumfuje. Skoro tak, to jest coraz poważniejszą bronią – także w polityce. Amerykański Facebook blokując konto byłego prezydenta Donalda Trumpa wiedział, co robi. Niedawno zaczęto również blokować... konta zwolenników PDT, którzy udostępniali twitty eksprezydenta. W tej internetowej wojnie ważne jest każde „ćwierknięcie"(od angielskiego „twitt" – „ćwierkać") i każdy „lajk". Im więcej jest retwittów i polubień – tym większe znaczenie ma mieć dany polityk, celebryta, sportowiec, influencer (Internet wprowadził do języka polskiego i innych języków nowe słowa). Im więcej tych kliknięć – tym ważniejszy jest właściciel TT czy podmiot (partia polityczna, związek sportowy, klub piłkarski etc.). Ale też w wymiarze czysto komercyjnym: korporacje i firmy z ich produktami itp.

Czy to świat wirtualny? Tak, oczywiście. Ale tym gorzej dla „realu". Wirtual karmi się bytami czysto wirtualnymi. Tytuły w portalach internetowych kreują rzeczywistość pozorną: „W sieci zawrzało", „Oburzenie w Internecie". Mało kto sprawdzi, że owe bombastyczne tytuły są efektem dosłownie paru (sic!) wpisów.

Świat nierzeczywisty oparty jest wszak także na, może wirtualnych, lecz konkretach. Konkretem są „boty" produkujące dziesiątki, setki, tysiące czy więcej, gdy wymaga tego potrzeba ideologiczna, polityczna czy komercyjna – rzekomych kont twitterowych, których „autorzy" atakują, bronią, oburzają się, powielają narracje dnia. Rzecz dotyczy polskiego polityka, a nagle uruchamiają się internetowe siły ciemności z Azji Południowo-Wschodniej czy patagońskiego Pacanowa. Surrealizm? Tak. Łże-rzeczywistość. A jakże!

Parlament Europejski w zeszłej kadencji (2014–2019) przeprowadził debatę na temat szeroko rozumianego cyberbezpieczeństwa. W kadencji obecnej (2019–2024) powołano nawet specjalną nadzwyczajną komisję, zajmująca się m.in. fake newsami, a także, choć nie tylko, internetowymi atakami na demokrację, w tym na wybory czy referenda w poszczególnych krajach członkowskich UE-27 czy wybory do europarlamentu. Sam fakt takiej reakcji PE pokazuje skalę problemu. Inna rzecz, że szereg prób sportretowania rzeczywistości „internetowej wojny hybrydowej" grzęźnie na mieliźnie załatwiania przy okazji wewnątrzeuropejskich porachunków ideologicznych. Poza wskazaniem na przykład Rosji jako organizatora takich operacji na cenzurowanym znalazły się również... organizacje pro-life czy prawicowe, antymainstreamowe partie, choćby hiszpańska VOX czy włoska Lega (dawna Lega Nord).

To przykład, że walka z realnymi zagrożeniami w „necie" też może prowadzić na manowce wojen z przeciwnikami urojonymi lub – po prostu, droga lewico – z „wrogami postępu", których przecież rezerwuar jest niewyczerpany, plus minus nieskończoność. Czyż nie?

Na koniec refleksja osobista. Ważne są rozwiązania systemowe oraz... postawa własna. Przyznaję, że przez parę lat byłem swoistym niewolnikiem Twittera. Obserwowałem niezliczone konta, lajkowałem, retwittowałem etc. Brałem też udział w twitterowych wojnach, które coraz bardziej przypominały bójki barowe. W pewnym momencie powiedziałem „stop" i zapaliłem czerwone światło. Od roku twittuję – bo to jednak forma komunikacji, jedna z wielu, ale jakoś tam istotna – ale już nie reaguję, nie odpowiadam, nie wchodzę w polemiki, nie batożę, choć przecież wielu na to zasługuje... Odwyk pomógł. Przestałem być uzależniony. Twitterowe bandy bezproduktywnie – w moim kontekście – wylewają swoją żółć. Trolli i (u)boty mam w nosie. Świat od razu stał się piękniejszy. Także dlatego, że jest prawdziwy. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

KOLOROWE TRUCHŁO LEWICY

Wśród najbardziej modnych ostatnio tez dotyczących Zachodu jest ta o końcu chrześcijaństwa. O przemianach kulturowych, które ostatecznie zmarginalizują wiarę. O ostatecznym upadku autorytetu Kościoła, o odrzuceniu przez młodych rygorów chrześcijaństwa. Oczywiście wspomniane, wciąż bardziej postulowane niż aktualne, przemiany najhuczniej świętuje lewica. Zupełnie bez powodu. Bo, kolokwialnie rzecz ujmując, o ile faktycznie nie jest dziś najlepiej z wiarą, o tyle, jeśli chodzi o lewicę, ta już dawno padła trupem. A zabił ją internet.

Dawid Wildstein

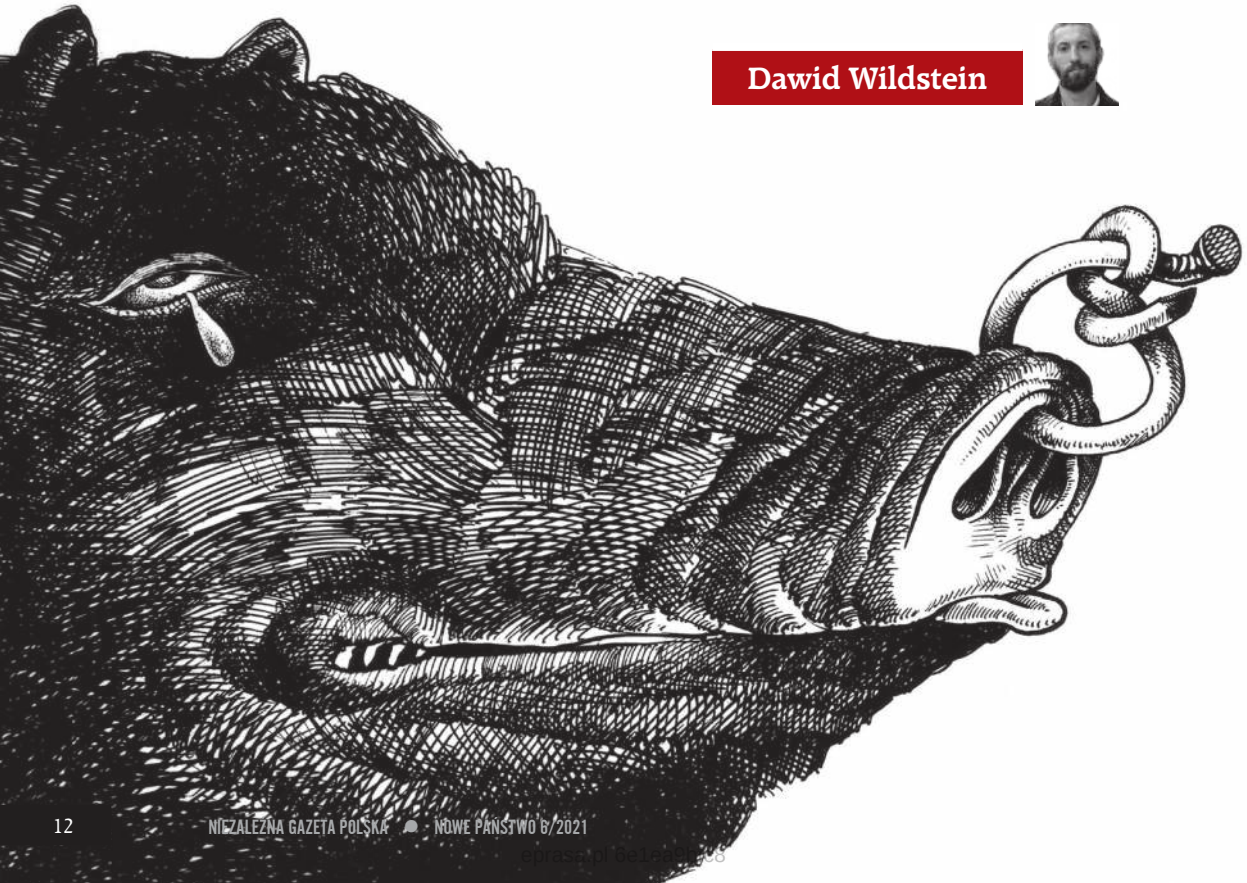

eprasa.pl 6e1ea9b08

Oczywiście lewica dogorywała już od dekad. Patrząc na jej pierwotne idee, na to, co postulowała przez lata – stała się własnym zaprzeczeniem. Zmieniła swój dyskurs w paliwo napędowe dla potężnych korporacji, stając się ich bronią do niszczenia ostatnich barier, które uniemożliwiały im dominację. Narzędziem, dzięki któremu mogą stworzyć idealnego, posłusznego konsumenta. Mamy lewicę, która pozwoliła, by jej „emisariuszami" stali się celebryci i Hollywood. Ostatecznym cyrografem, którym przypieczętowała swój upadek, był moment, w którym wielkie korporacje związane z internetem, tzw. Big Tech, używając jej jako legitymizacji swoich działań, wypowiedziały *de facto* wojnę państwom narodowym. Mowa tu oczywiście o atakowaniu prawicowych polityków w internecie, działaniach Facebooka wymierzonych w Australię bądź Kanadę czy w końcu o postulowanych, nowych narzędziach cenzury, związanych z „walką z kłamstwami klimatycznymi".

Ideowy biznes?

W teorii sojusz potężnych, międzynarodowych korporacji z szeroko pojętą lewicą jest paradoksalny. Tymczasem jest to zjawisko, które dostrzegamy od lat. Wystarczy spojrzeć na skalę kwot i obecności największych korporacji w kolejnych inicjatywach LGBT. Sytuacja jednak nabiera tempa, szczególnie w ostatnim roku, gdy giganci od internetowych mediów rozpoczęli szeroko zakrojoną akcję cenzorską w stosunku do Trumpa, a teraz sukcesywnie intensyfikują działania możliwie ograniczające wolność słowa w sieci. Czy na pewno wynika to z „dobroci" i postępowości gigantycznych biznesów? Oczywiście chodzi tylko o biznesową opłacalność. Lewica, ze swoim pędem do rozbijania dotychczasowych układów społecznych, wytwarzaniem nowych hierarchii autorytetów, tworzy idealny świat dla rozrostu gigantów pokroju Facebooka czy Twittera i ich kolejnych klonów. Kapitał po prostu wchodzi w te nowe przestrzenie, oferując kolejne substytuty tego, co zostało zniszczone. Nowe możliwości identyfikacji, nowe wspólnoty internetowe i sieci towarzyskie, nowe autorytety. Im bardziej poddane anomii społeczeństwo, tym istotniejsze staje się istnienie człowieka w sieci, gdzie znajduje to, czego brak mu w rzeczywistości. Niegdyś ubrane to było w szatki infantylnego buntu na zasadzie: „głupi rodzice cię nigdy nie zrozumieją, znajdź prawdziwych przyjaciół w internecie", dziś jednak obserwujemy rozszerzenie tej narracji, żeby docierała do jak największej liczby grup. Dodatkowo ciągła niestałość aksjologiczna lewicy, jej zmienność, okazuje się idealna do kreowania wciąż nowych popędów, wokół których budowane są całe kampanie reklamowe i docelowo, wciąż na nowo napędzana konsumpcja kolejnych produktów. Wielkie koncerny już dawno odkryły, że ważniejsze nawet niż reklama towaru jest odpowiednie kreowanie samego konsumenta, i tutaj lewica okazuje się idealnym sprzymierzeńcem.

Rewolucja od zakupów

Zresztą to oczywiste, że im bardziej skompromitowane są dotychczasowe, bardziej tradycyjne modele społeczne, tym intensywniej będzie człowiek szukał erzaców nowej wspólnoty. Mogą być to tożsamości tworzone przez internet bądź zupełnie groteskowe poczucie bycia w grupie narzucane przez odpowiednią dynamikę konsumpcji i związane z tym artefakty (buty, czapeczki etc.). Wszystko to napędza sprzedaż wielkim korporacjom, na zasadzie – pij colę, będziesz wolny, załóż konto w tym banku, a będziesz buntownikiem etc. To nie spiskowa teoria, lecz zwykły rachunek ekonomiczny. Ta dynamika konfliktu jako podstawowy napęd sprzedaży jest widoczna od dekad, ujawniająca się w kolejnych reklamach na poziomie „nie bądź jak głupie staruchy", dziś osiągnęła już nieprawdopodobne rozmiary. Kupno odpowiedniej torby nie tylko oznacza, że jesteś lepszy od rodziców, lecz okazuje się dowodem na przynależność do nowego gatunku człowieka, który raz na zawsze odmieni zło tego świata i wprowadzi tęczową równość, miłość i tolerancję. Widać tu wyraźnie rozszerzenie zakresu legitymacji konsumpcji. O ile do niedawna jeszcze większość opierała się na prostej dystynkcji – kup nas, będziesz lepszy, inny – o tyle dziś aspekt mesjanistyczny nabiera coraz większego znaczenia. W ten sposób nowa rewolucja nie wymaga już, jak niegdyś, poświęceń, pewnego ascetyzmu, odrzucenia statusu materialnego oraz odwagi. Nie, dziś prawdziwy rewolucjonista musi kupować jak najwięcej, musi kupować odpowiednie rzeczy, jego wyjątkowość określana jest przez ciągłą konsumpcję. Jest to więc „lewicowość" czysto deklaratywna, z której jest się rozliczanym tylko na poziomie odezw. Najbardziej to widać dziś w muzyce czy aktorstwie, gdzie dana celebrytka może sprzedawać się poprzez każdy możliwy, najbardziej nawet paskudny stereotyp seksualny, uprzedmiotawiać się i dostosowywać do najbardziej prymitywnych gustów i porno obsesji... a potem powiedzieć trzy zdania o LGBT i zostać bohaterką lewicy.

Ilustracja Antoni Chodorowski

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Ramię w ramię z diabłem

Jest jednak jeszcze istotniejszy element, z powodu którego wielkie korporacje „ciągnie" do lewicy. Chodzi o jej tendencje do kreowania „państwa w państwie", układów, które istnieją autonomicznie, poza kontrolą obywateli. Swoistych sekt „postępowców", które poprzez na przykład unijną biurokrację tworzą instytucje niepodlegające kontroli ze strony procesu wyborczego. Mające za to prawo narzucać kolejne regulacje, tworząc w ten sposób międzynarodowe podmioty oderwane nawet od kontroli państwa. Oczywiście zawsze robią to w jak najbardziej szczytnych celach – czy będzie to klimat, LGBT, aborcja czy „prawa człowieka" (oczywiście w swojej skarykaturyzowanej formie, gdzie użycie nieodpowiedniego zaimka okazuje się neonazizmem). W takich przestrzeniach korporacje, z ich gigantycznymi możliwościami wpływu i dominacji, będą się czuły jak ryba w wodzie. Jedyne bowiem, czego dziś muszą się jeszcze obawiać, to siły państwa. Państwo wciąż ma możliwości ograniczania ich zapędów, rozbicia ich monopolistycznych układów, opodatkowania etc. Dlatego należy je możliwie osłabić. Za każdym razem, gdy dochodzi do konfliktu, korporacje mogą liczyć na przychodzący im w sukurs lewicowy manicheizm i opowieść o ostatecznej walce dobra ze złem. Ta histeryczna i dziecinna narracja okazuje się bardzo użyteczna dla obu stron sporu. Jak bowiem najłatwiej usprawiedliwić sojusz z diabłem? Wskazując jeszcze większego. Więc i dziś lewica nie ma kłopotu, żeby ramię w ramię iść z tymi, którymi, na poziomie deklaracji, powinna najbardziej gardzić. Z Googlem, Facebookiem, z całym Big Techem. Bo, kolokwialnie rzecz ujmując, nie czas rozliczać sprzymierzeńców, gdy walczymy z demonem takim jak Trump albo jakikolwiek inny polityk o prawicowych konotacjach. Dlatego należy omijać procedury demokratyczne, wprowadzać nowe narzędzia cenzury etc. A gdyby jednak jakiś zmęczony obywatel zapytał: „jakim prawem?", dostanie oczywistą odpowiedź – w imię walki dobra ze złem, konieczności pokonania potworów i diabłów, które wciąż zagrażają naszej demokracji i świeckiemu zbawieniu, które zaraz zniszczą naszą planetą i klimat albo urządzą nowy holocaust.

Bunt Netflixa

W ten sposób lewica stała się własną karykaturą, groteskowym epigonem tego, czym była jeszcze kilka dekad temu. Przypomina pokracznego potworna Frankensteina, zlepek najróżniejszych, często zupełnie nieprzystających do siebie części, co więcej – stale wymienianych. Mamy więc wielkich antykapitalistów na żołdzie korporacji. Piewców równości społecznej zarabiających krocie i wydających większość swojej pensji na to, co powie im internetowa reklama. Niezależne jednostki, karnie powtarzające to, co przekażą im odpowiedni profesorowie i inne autorytety, desygnowane przez najważniejsze gazety i telewizje. Jednostki pełne empatii, która wyraża się w użyciu odpowiednich zaimków, bo poza tym gardzą każdym, kto nie ma ich poglądów, i nie chcą mieć nic wspólnego z tymi, których postrzegają jako plebs. Buntowników zgadzających się ze wszystkim, co powie jakiś hollywoodzki celebryta. Bojowników o prawa kobiet, którzy niszczą kobiecy sport i samą ideę kobiecej emancypacji, ponieważ dziś okazuje się, że kobietą jest każdy, komu się zachce. Obrońców Żydów chodzących na manifestacje ramię w ramię z islamistami, wznoszącymi okrzyki o konieczności nowego holocaustu. Wymieniać można w nieskończoność...

Czy rzeczywiście więc obserwujemy ostatnie podrygi chrześcijaństwa? Być może. Ale tym bardziej lewicy. Która już tylko udaje siebie samą. Która jest buntem Julek, których jedyną perspektywą egzystencjalną jest konsumpcja, czy to seksualna czy „zakupowa". Buntem Netfliksa, Facebooka, HBO i Coca-Coli. Przypomina nietzscheańskiego, ostatniego człowieka, który wie jeszcze, z czego ma się wyśmiewać, ale poza tym utracił jakiekolwiek idee, podryguje, skacząc w miejscu. Zgadzający się z każdym idiotyzmem Hollywood i wielkich korpo. Unoszony prądem reklamowych celebrytów, sprzedających „nowe życie" na billboardach. Oczywiście, katolicyzm ma problem. Chrześcijaństwo, może i szerzej, wiara stanęła przed potężnym kryzysem. Ale tutaj mamy jeszcze do czynienia z walką, z próbą obrony. Zaś lewica? Jej już dawno nie ma. To sztucznie reanimowane truchło, kolorowe opakowanie, służące tylko odpowiedniej sprzedaży paskudnego wnętrza. Więc spójrzmy prawdzie w oczy. Nawet jeśli chrześcijaństwo przegra, nawet jeśli czekają nas długotrwałe zmiany aksjologiczne i faktyczna rewolucja społeczna, zupełnie nowe sposoby organizacji wspólnot ludzkich, jeśli faktycznie religia zejdzie z powrotem do katakumb... nie będzie to dzieło żadnej lewicy. Tylko nowy sposób organizowania się wielkiego kapitału, dzieło potężnych, międzynarodowych korporacji, zwycięstwo pieniądza, konsumpcji, Big Techu, a także związanego z nią, z konieczności, wyzysku i kastrowania człowieka ze wszystkiego, co duchowe. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

20 LAT CLUB VITAY

ORLEN

20 lat Programu VITAY.

Wciąż się rozwijamy!
Aplikacja **ORLEN VITAY** w nowej odsłonie.

Jakie korzyści daje aplikacja?

- Zyskaj wirtualną kartę VITAY
- Nawiguj do najbliższej stacji ORLEN
- Oszczędzaj dzięki kuponom promocyjnym
- Zbieraj punkty na nagrody z Katalogu VITAY
- Płać bezgotówkowo z funkcją ORLEN Pay

Pobierz **ORLEN VITAY**

Download on the App Store

GET IT ON Google Play

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Jakub Augustyn Maciejewski

OD NOCNYCH SNÓW DO DZIENNYCH KOSZMARÓW

To niesamowite, że po 5 tysiącach lat, odkąd człowiek po raz pierwszy zaczął opisywać swoje sny i marzenia, znaleźli się tacy fanatycy, którzy nocne fantazje ubrali w naukową otoczkę i zaczęli wprowadzać je w życie. Różnica między ideą a rzeczywistością jest jednak tak wielka, że niewinne wizje zamienili w prawdziwy koszmar. Tak – to z ludzkich pragnień ludzie oświecenia, marksiści i komuniści uczynili piekło na ziemi.

fot. ADOBE STOCK

Wszystkie mity świata od Tybru przez Morze Egejskie, ziemie nad Nilem, Tygrysem, Eufratem aż po Ganges i Żółtą Rzekę mają ten sam motyw. We wszystkich pojawia się kraina, której mieszkańcy nie znają przykrości, zawiści i niedostatku. Nasi prahistoryczni przodkowie malowali na ścianach jaskiń idealne polowania, a zmarłym wkładali do grobów przedmioty codziennego użytku, aby tam, w pośmiertnej krainie, mogli praktykować swoje ulubione czynności. Niedoskonałości codziennego życia dostrzegały wszystkie cywilizacje, zostawiając w swoich wierzeniach i legendach miejsce na cudowny ląd, gdzie nikt nie znał zmęczenia, chorób i ubóstwa. Zwłaszcza w dawnych czasach, gdy co piąte dziecko dożywało dorosłości, gdy trzydziestopięciolatek był już starcem, a mężczyzna był w swoim życiu kilkakrotnym wdowcem (kobiety umierały przy porodach), chociaż te opowieści przy ogniskach przynosiły ulgę, uśmiech, pomagały śnić daleko od powszechnych trosk. Przyglądając się wszystkim opisanym snom starożytnych i nowożytnych autorów, miejmy na uwadze, że od dwustu lat pewne grono mędrców próbuje przebić granicę między snem a jawą, próbuje nam to sprzedać jako obietnicę cudownego świata, który nastanie, gdy ich będziemy słuchać.

Początki snów

Sumerowie, cywilizacja rozkwitająca ponad 5 tys. lat temu, wierzyli w pośmiertne szczęście w kraju Dilmun, który był święty i czysty:

W Dilmun kruk nie kracze, kania nie krzyczy głosem kani
Lew nie zabija, wilk nie porywa jagnięcia,
Nie znany jest dziki pies pożerający koźlę,
Nie znany jest dzik pożerający zboże.
Ptak niebieski nie zna sideł, gołąb nie osiedla się koło człowieka.

Biblijny raj zdaje się powtarzać, mieć swoje odpowiedniki we wszystkich religiach świata. Niekiedy kwitnąca szczęśliwość była na tyle blisko, że można ją było oznaczyć na mapie.

Starożytni Grecy wskazywali na Arkadię, żyzną dolinę w centrum Peloponezu, odmalowaną w opowieściach poetów jako idealne miejsce do życia. Chińczycy wspominali o krainie Tukuang, w której „rosną tłusty bób, tłusty ryż, tłuste proso, kaoliang i wszelkie inne zboże. I zimą, i latem grają tu na gęślach. Śpiewają tu ptaki luan i tańczą feniksy". W ten sposób spracowane ludy

601ea9bfc8

wszystkich kontynentów zdradzały, czego im brakowało, o czym marzyły lub w czym odnajdywały sens życia – muzułmanom śniły się hurysy, wieczne dziewice, służące wojownikom dżihadu w pośmiertnym raju, wikingowie w Valhalli na przemian ucztowali i ćwiczyli się w walce, a Żydzi żyli w dawno utraconym Edenie, w którym ludzie mieszkali bez wstydu, głodu i znajomości zła. Marzenia senne z mitami i wieczornymi gawędami miały więc wiele wspólnego, chociażby to, że ich bohaterowie nie cierpieli głodu i zmęczenia. Człowiek z jednej strony te miejsca wymyślał, wkładał w usta nieistniejących podróżników relacje, z drugiej – śnił o nich podświadomie, gdy spoczywał wieczorem w swoim legowisku czy łóżku. Wiele więc wskazuje na to, że wymyślanie idealnych krain czy też wiara w nie, tęsknota za nimi, jest naturalna i jest nieodłączną częścią naszej psychiki. Czyli te miejsca istnieją w nas samych, nie istnieją w rzeczywistości (gr. u-topos, miejsce, którego nie ma, utopia). Jednak człowiek przez 5 tys. lat spisywania swojej historii nie zapanował nad snem – ale nad swoimi opowieściami już tak. W tych gawędach początkowo utopie były więc odgrodzone nieprzekraczalną granicą śmierci – nie można było do tej krainy pójść i wrócić, droga była tylko w jedną stronę.

Kto dotknie snu?

Co prawda w legendach żyli herosi, którzy do tych miejsc dotarli, jak sumeryjski Gilgamesz walczący w krainie zmarłych lub Herakles przepływający przez rzekę graniczną Hadesu – Styks, lecz dotarcie do wymarzonego szczęścia pozostawało poza zasięgiem zwykłych śmiertelników. Do czasu. Panując przecież nad pieśniami i bajkami, człowiek zaczął te cudowne miejsca coraz bardziej przybliżać do siebie. Jego opisy były coraz barwniejsze, a szczegóły tak wyraźne, że z łatwością je sobie wyobrażano.

W końcu pierwsi mistrzowie opowieści zaczęli je opisywać plastycznie i wskazywać dokładne miejsca ich lokalizacji. Niektóre z nich przetrwały w legendzie aż do dzisiaj, tak jak wspomniana przez Platona Atlantyda. Grecki filozof twierdził, że leży ona za słupami Heraklesa, a miał o niej usłyszeć od przywódcy ateńskiego, stratega Solona. Choć Ateny od słupów Heraklesa (czyli dzisiejszego Gibraltaru) były oddalone aż o 2000 kilometrów, zawsze to bliżej niż w niebie, na szczycie mitycznej góry lub w głębi ziemi. Co prawda wedle tych legend w wyniku trzęsienia ziemi wyspa zapadła się pod wodę, ale przecież mogli ją znać starsi i dzielniejsi podróżnicy. Dotrzeć tam mógł już nie tylko jeden z bogów, nie tylko heros, lecz także człowiek, który zdobędzie się na odwagę, zbierze załogę śmiałków i stosowne środki. Szczęśliwość stawała się realna, choć odległa. Czemuż nie mogła być jeszcze bliżej?

Platon nakreślił wizję zbudowania idealnego społeczeństwa, a będąc jednym z najważniejszych myślicieli w dziejach, tchnął w następne pokolenia marzycieli przekonanie, że absolutne szczęście za życia jest możliwe do osiągnięcia. Czyli idealna kraina była już nie tyle daleko w przestrzeni, ile daleko w czasie.

Wielki Grek pisał przecież, że „od nieszczęść przeto nie wyzwoli się wcześniej ród ludzki, zanim albo ludzie należycie i prawdziwie miłujący mądrość nie przyjdą do władzy". Autor „Państwa" zauważył, że „w myśli od początku budujmy państwo", zatem sam pomysł jest już pierwszym krokiem do stworzenia nowego świata. Od pierwszego mitu o idealnym świecie po konkret Platona zapowiadający doskonałą rzeczywistość upłynęło 2,5 tys. lat. Od Platona do naszych czasów także upłynęło 2,5 tys. lat – a mimo wszystko mało kto rozumie, że te mity powtarzane są dalej, także w roku 2021.

Czyli może to nie sen?

Wróćmy jednak do Greków, którzy raz postawiwszy kierunek rozwoju w stronę ideału, zaczęli szerzyć różne warianty tej wizji. Zwłaszcza że wszystkie następne pomysły dotyczące społeczeństw doskonałych dotyczyły zniesienia własności, także Platon wysunął ten postulat, pisząc o nienawiści biednych do bogatych: „Jeżeli posiądą ziemię na własność i domy, i pieniądze, to porobią się z nich gospodarze i rolnicy zamiast strażników. I staną się panami i wrogami innych obywateli, a nie sprzymierzeńcami". Ten wielki filozof grecki żył w czasach przesilenia w świecie antyku – rozszalała wojna peloponeska zaznaczyła się nad Morzem Egejskim krwią, zarazami, biedą i śmiercią. W czasach kryzysu politycy dokonywali nadużyć, kupcy bogacili się na handlu wojskowym, a w społeczeństwie drastycznie zwiększała się przepaść między biednymi a bogatymi. Częściowo z obserwowania tych dramatów zrodziła się żądza zbudowania lepszego świata, być może totalnie lepszego, gdzie potężne instytucje kierowane przez lepszych, mądrzejszych lu-

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

dzi będą kierować losem obywateli i wymuszać sztywne przestrzeganie zasad.

To skrystalizowanie się woli tworzenia lepszego świata stało się takim fenomenem, że jest do dziś badane i gorąco dyskutowane. Po II wojnie światowej filozof Karl Popper stwierdził, że u Platona widać zalążki totalitaryzmu, niszczenia wolności, wszechwładzy państwa. Inni wielcy czytelnicy ateńskiego myśliciela, jak na przykład Giovanni Reale, podkreślali, że jego propozycje dotyczą budowania społeczeństwa hierarchicznego, dążenia do doskonałości – że nie ma w „Państwie" zapowiedzi komunizmu z jego wszechwładną biurokracją, a raczej są zakony średniowieczne, ład i porządek. Jakkolwiek byśmy czytali Platona, to jednak wielu jego późniejszych uczniów zrozumiało „Państwo" jako podręcznik nowego ustroju, sami komuniści powoływali się na Ateńczyka w uzasadnianiu doktryny marksistowskiej.

Kolejne wizje doskonałych krain przybliżały się wraz z każdym stuleciem – autorzy wskazywali, jak je odnaleźć na mapie – za oceanem lub po drugiej stronie kontynentu – ale przekonywali, że zmieniając swoje zachowanie i ustrój, sami zbudujemy idealne społeczeństwo. Skoro starożytny grecki pisarz Hezjod, a także Księga Genesis Starego Testamentu twierdziły, że ludzie już kiedyś obywali się bez trosk i zmartwień, to może stan ów można przywrócić? Przecież Adam i Ewa mieli pod dostatkiem wszelkiej żywności.

Świadkowie snu

W czasach greckiego tytana Kronosa
mieli żyć ludzie:
Pracy ani trudów nie znając,
ni cierpień przykrej starości,
Ani w nogach, ani w rękach
nie tracąc młodzieńczej świeżości.
Żyli w dostatku, radośnie,
od wszelkich cierpień z daleka,
Śmierć zabierała ich z tej ziemi,
jak sen łagodny tak lekka.

W utworze jest mowa już nie o krainie pośmiertnej ani o świecie życia wiecznego, lecz o wspólnocie żyjącej bliżej naszych czasów. Dalej Hezjod zapewnia, że ludzie ci pracowali, ale mieli pod dostatkiem owiec, byli hojni, ich ziemia rodziła obfite plony. Przecież każdy człowiek antyku mógł wskazać takich, którym żyło się dostatnie i bezboleśnie, a którzy mieszkając w pałacach wypełnionych sługami i niewolnikami nie znali trudów codziennej pracy. Zdawało się, że taki świat gdzieś istniał albo może istnieje, może dosięgnie go okręt albo karawana kupiecka? Może ktoś nam opowie, jak wyglądają zdrowi starcy albo miasto bez żebraków, a może ktoś z nas zamieszka w królestwie idealnym, założy rodzinę, będzie miał potomstwo?

Filozofowie i pisarze z każdym wiekiem przybliżali utopie, a charyzmatyczni przywódcy zaczęli wprowadzać je w życie, za teoretykami przychodzili praktycy. Utopia przybliżała się także w średniowieczu. W XI wieku sekta bogomilów zapragnęła doznać zbawienia za życia – jedni praktykowali nudyzm dla naśladowania Adama i Ewy, inni oddawali się niczym nieograniczanym orgiom seksualnym. W południowej Francji przełomu XII i XIII wieku pojawił się ruch albigensów, jego członkowie wyróżniali spośród siebie ludzi „doskonałych", którzy już doświadczyli zbawienia. Ta myśl o idealnej wspólnocie, komunie, cały czas rosła i rozwijała się.

Wszystkie te wizje, mimo różnic, łączyły pewne cechy. Wszystkie odrzucały istniejącą rzeczywistość, uznawały ją za złą, grzeszną, krzywdzącą i marzyły o jej zniszczeniu. Wszystkie chciały na gruzach starego ładu zbudować coś lepszego, trwałego. Co dokładnie – sami nie wiedzieli, lecz uznawali, że należy stworzyć wspólnotę bez własności, która ich zdaniem dzieliła ludzi na lepszych i gorszych, która rodziła zazdrość, smutek i biedę. Nie tylko własność była źle postrzegana – wszelkie różnice między ludźmi doprowadzały do nierówności: dlaczego jedni mają czułych rodziców, a inni surowych? Czy jest sprawiedliwe, by jedni pracowali ponad swoje siły, a inni wcale? Marzenia powoli przeradzały się w plany, a orędownicy nowego świata znajdowali gdzieniegdzie zwolenników.

Pierwsze konkrety

W dobie renesansu pojawiły się pierwsze dzieła, które pod płaszczem literatury precyzyjnie opisywały ustrój, który miał doprowadzać do takiej szczęśliwości. Najsłynniejsza wizja, „Utopia", autorstwa tercjarza franciszkańskiego i kanclerza angielskiego króla Tomasza Morusa (1478–1535), do dziś budzi dyskusje badaczy. Jedni twierdzą, że to tylko satyra, kpina z idealistycznego świata, inni widzą w niej zarys koncepcji politycznej. Faktem jest, że Morus zasiał wiele pomysłów, które wykiełkują później w głowach ideologów. Nadmiar ludności Utopianie mieli wysiedlać ze swojego kraju, z inny-

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

mi ludami mieli żyć w pokoju, a wojny, zabijania i agresji nienawidzili do tego stopnia, że zabronili parać się zawodem rzeźnika, „z obawy, aby z powodu wykonywania go, nie znikła powoli łagodność, najszlachetniejszy przymiot człowieka". Opisywanie szczegółów działania takiego szczęśliwego społeczeństwa zmusiło Morusa do przyznania, że powszechna radość osiągana jest kosztem przymusu: „ciągły dozór publiczny zmusza wszystkich bądź do ustalonej zwyczajem pracy, bądź do przyzwoitej rozrywki". Zaraz po tym pojawiło się przekonanie, które miało towarzyszyć najbardziej krwawym inżynierom społecznym, skoro „w ślad za takimi obyczajami całego społeczeństwa musi iść dostatek, a ponieważ z tego dobrobytu korzystają wszyscy równomiernie, przeto w Utopii nie wiedzą, co to jest biedny albo żebrak". Czy na pewno w ślad za dozorem publicznym „musi" iść dostatek? Morus wkładał opowieść o „Utopii" w usta marynarza Rafała Hytlodeusza, jak później zrobili Tomasz Campanella (1568–1639) czy Francis Bacon (1561–1626), powołując się na kolejnych „świadków" odkryć szczęśliwych ludów. Autorzy tych relacji nie są herosami ani nawet szczególnie zdolnymi marynarzami, których opiewałyby legendy – odkąd Platon napisał o Atlantydzie i idealnym ustroju, wiele się zmieniło – raj na ziemi był nieomal w zasięgu ręki. Czy ideał społeczny polegający na posiadaniu identycznych strojów – bo Morus radował się takim rozwiązaniem – odżyje później w topornie skrojonych mundurach reżimu Korei Północnej albo Chin Mao Zedonga? A może planowane z niebywałym rozmachem budownictwo socjalistyczne urzeczywistniające się w symetrycznie zaprojektowanych miastach Magnitogorska czy Nowej Huty będzie westchnieniem za strukturą metropolii Atlantydy czy stolicy Solarian Tomasza Campanelli? Gdy ten teolog napisał w 1602 roku „Miasto Słońca", nikt nie znał państwa, w którym nauczyciele mieliby absolutną władzę nad uczniem, kształtując nie tylko jego umysł, lecz także poglądy, uczucia, związki małżeńskie. A jednak wychowanie „nowego człowieka" pojawiło się 315 lat później w szkołach Rosji Sowieckiej – jednakowe stroje młodzieżowej organizacji „Komsomoł", jednolita indoktrynacja, pedagogika nieznosząca sprzeciwu – co powiedziałby Campanella na takie urzeczywistnienie jego programu? A może myślicielowi spodobałyby się plakaty i pomniki przedstawiające umięśnionych robotników i chłopów z uśmiechem, entuzjazmem, choć z trudem spełniających swoje pracownicze obowiązki – przecież autor „Miasta Słońca" życzył sobie, by świat docenił przede wszystkim pracę fizyczną.

Te nowożytne opisy stały się już lekturami autorów totalitarnych filozofii. Tomasz Morus czy Tomasz Campanella mieszali fantazję z uniwersalnym językiem opisu natury ludzkiej, uzupełniali stare księgi starożytnych, ale od XVIII wieku myśliciele stwierdzili nową rzecz – to nie jest fikcja, to trzeba stworzyć: tu i teraz! Tak zaczęła się przybliżać rewolucja francuska, a potem bolszewicka, tak dzisiaj architekci nowej inżynierii społecznej chcą przebudować świat, jakby głupie dzieci uwierzyły w bajki Sumerów czy gawędy Greków.

Paskudne zaciemnienie – szlachetny dzikus

W „oświeceniu", które prof. Andrzej Zybertowicz lubi nazywać „zaciemnieniem", zderzyły się więc dwie myśli, z których każda chciała wprowadzić nową rzeczywistość, ale z innych powodów. Jedni twierdzili, że ludzkość już była w sielskim świecie Edenu, a następnie odeszła od doskonałych wzorców, czy to przez grzech pierworodny (Biblia), czy trzęsienie ziemi (Atlantyda), po czym zarzuciła swoje zasady i nauki. To przekonanie, że cywilizacja w którymś momencie historii zboczyła z drogi pomyślności, ugruntowało się na bazie doświadczeń i relacji z nowo odkrywanych lądów. Marynarze całego świata przywozili zza oceanu opowieści o beztroskim życiu dzikich plemion, żywiących się owocami natury, nieznających własności, nieznających różnic społecznych ponad nie tak wyraźną relację wódz – członek plemienia. Zasiane w wyobraźni uczonych ziarno utopii wykiełkowało w narodzinach mitu „szlachetnego dzikusa". Filozofowie rzadko kiedy wyprawiali się na te dziewicze lądy, więc śmiało mogli zawierzyć relacjom, ubarwionym własnymi marzeniami – o ludach, które nie znały własności (faktycznie plemię Guarani w Ameryce Południowej nie rozumiało, jak można coś posiadać), o nieskrępowanym współżyciu seksualnym, nagości, braku biedy. Gdyby zestawić plemienną rzeczywistość z wyobrażeniami z utopijnych traktatów można dostrzec ogromną przepaść – Indianie czy Murzyni nie pobudowali symetrycznych miast z najwyższą technologią, a ci, którzy to jednak zrobili – Majowie, Inkowie czy Aztekowie – opierali swój ustrój na tym wszystkim, co postępowcy potępiali: wojnach, krwi, wyzysku. Cywilizacja jako osiągnięcie zbiorowości, nauki, władzy, zaczęła być drażnią-

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

ce – czyż nie można żyć w zgodzie z naturą bez hierarchii, pracy, skomplikowanych zasad i kodeksów prawnych? Tak zakiełkowała nienawiść do osiągnięć Zachodu – wiary już nie tylko katolickiej, lecz religii w ogóle, na razie tylko w rozmowach i pismach buntowano się przeciw monarchii zarówno jako systemowi hierarchicznemu, jak i jako państwu, wspólnocie politycznej, przeciwko organizacji społeczeństwa. Naturo, wróć! Myślano o tym 300 lat temu, a dziś powraca to w radykalnych postulatach klimatystów, ekologów, wegan i antynatalistów, twierdzących, że ludzie powinni przestać się rozmnażać.

Paskudne zaciemnienie – postęp

Ale mit szlachetnego dzikusa i odejścia od prastarych zasad harmonii z naturą kwitł obok innej koncepcji na dzieje ludzkości – w doktrynie postępu. Ludzkość już nie tyle oddalała się od prahistorycznego ideału, grzęznąc w okowach kultury, religii i władzy, lecz zmierzała jednak ku lepszym czasom. Wzięło się to z obserwacji rozwoju technologicznego Europy. W XVIII wieku wiara w potęgę rozumu eksplodowała, ale kreatywności w tworzeniu wynalazków technicznych zaczęły towarzyszyć projekty społeczne. Zbudowanie maszyny parowej z wielu skomplikowanych, ale jednak policzalnych części jest – mimo doniosłości wynalazku – łatwiejsze niż zaprojektowanie idealnego społeczeństwa, ba!, nawet idealnego miasta czy choćby rodziny. Człowiek jest o wiele bardziej złożony niż choćby najbardziej skomplikowana maszyna, a co dopiero tłok parowy znany w XVIII stuleciu. Ludzie oświecenia mieli o sobie na tyle dobre zdanie, by wywracać wszystko, co do tej pory stosowano w ustroju politycznym czy w wychowaniu. Immanuel Kant (1724–1804) zanotował słynne zdanie, potępiające w czambuł wcześniejszą epokę: „Oświecenie to wyjście człowieka z niepełnoletniości, w którą popadł z własnej winy". Ludzkość ma więc nieustannie wznosić się ku górze w rozwoju – zarówno technologicznym, jak i społecznym. Dawniejsze epoki, bardziej zacofane, ustępują tym nowoczesnym, z lepszym urządzeniem państwa, władzy, nauki i kultury. Filozofowie podpatrywali, jak rozwijają się technologie i urządzenia, jak prymitywna broń biała zastępowana jest przez efekowną broń palną, jak przyspieszają pojazdy, jak w warsztatach rzemieślniczych pojawiają się coraz bardziej skomplikowane narzędzia i wytwory: zegary, zamki w drzwiach, pompy i termometry. Ten widzialny krok naprzód został przełożony na relacje międzyludzkie – uznawano, że jest lepiej, niż było w średniowieczu, w renesansie, ciemnym. Pamiętano o utopiach – skoro Atlantydzi Platona czy Solarianie Campanelli nawadniali pola zmyślnymi maszynami, może da się ich naśladować także w lepszym ustroju?

Z założeń oświecenia i racjonalizmu wynikały coraz bardziej jednoznaczne pytania. Skoro ludzkość popychana jest do przodu przez postęp, może da się go przyśpieszyć? Może da się naprawić błędy przeszłości, które przestawiły cywilizacje na drogę niezgodną z geniuszem ideologów?

Bajki zapisane jako kodeksy

W świecie Zachodu jedynie żydzi i chrześcijanie inaczej zrozumieli opowieści starożytnych przodków. Relacje z Raju, zapowiedź nowego świata, zbawienie, niebo i raj, to są rzeczy, które nigdy nie będą osiągalne dla człowieka. To dzięki temu myśleniu nasza cywilizacja skupiła się na autentycznym rozwoju ziemskim. W duchu jesteśmy wolni od budowania doskonałego świata, bo to możemy realizować tylko przez Boga – gdy w filozofii ten Bóg znika, intelektualiści mówią: zróbmy to sami. Brak własności? – zrealizujmy! Panowanie nad płcią? – da się zrobić! Zamiana miłości na abstrakcyjną miłość do ludzkości? Komunizm potrafi! I tak oto naiwne bajki przeszłości, w Starym Testamencie odgrodzone rozróżnieniem pomiędzy dosłownością a moralnością, w nowoczesności stały się konkretnymi zapisami prawnymi. Fourier, Saint-Simon, Marks, Engels, a potem Lenin zaczęli opowiadać te same bajki, lecz w konkretnych postulatach politycznych. Coś, co nawet człowiek pierwotny potrafił odróżnić jako sen, „inteleklektualiści" – jak ich ironicznie nazwał Paul Johnson – zaczęli brać na serio. Nawet dzieci wyrastały z marzeń, by zostać Herkulesem odwiedzającym Atlantydę czy Gilgameszem zwiedzającym krainę zmarłych, ale Marks i Engels serio stwierdzili, że taką Atlantydę zbudują, a ludzkości zafundują nieśmiertelność.

Jest więc pewna nadzieja w prostocie ludzkiej natury, w zamiłowaniu do bajek i legend, bo to często ta podstawowa intuicja zwykłych ludzi odrzuca najtęższe wywody mędrców, którzy twierdzą, że stworzą świat równy pradawnym snom. Można powiedzieć, że jedną ze szczepionek na lewackie ideologie można stosować już od dziecka, opowiadając właśnie najbardziej wydumane baśnie, tłumacząc najmłodszym, że to tylko mity, marzenia i sny. I że głupcy, którzy próbowali je stworzyć na ziemi, zamieniali je w koszmary. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Grzegorz Wszołek

„Demiurg" – jedna z najważniejszych biografii ostatnich lat

„Demiurg" Romana Graczyka to z pewnością cenna pozycja. Opowiada o człowieku, którego całej historii życia nie opisał żaden polski autor, jedynie ścieżkę hagiografii tej postaci wytyczył francuski politolog Bouyeure Cyril. Polscy badacze historii najnowszej długo czekali na książkę o Adamie Michniku. I mimo luk, będzie ona ważnym punktem odniesienia dla historyków.

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Ponad 30 stron Roman Graczyk zapełnił genealogią przyszłego redaktora „Gazety Wyborczej". Nie ucieka od prawdy historycznej, wskazując na komunistyczne korzenie zarówno ojca, Ozjasza Szechtera, już od II RP zaangażowanego w budowę ruchu komunistycznego, jak i matki, Heleny Michnik. Poznała swojego partnera i ojca Adama we Lwowie w 1936 roku, również – tak jak Ozjasz – budowała powojenną rzeczywistość, wykładała w szkole Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i robiła karierę jako intelektualistka z ramienia PZPR. Graczyk pisze o losach rodziny w sposób niezwykle ciekawy, choć – niestety – skrótowy. Nie unika scharakteryzowania przyrodniego brata Michnika, Stefana – zbrodniarza komunistycznego, informatora owianej złą sławą Informacji Wojskowej, zhańbionego sędziego Wojskowego Sądu Rejonowego.

W atmosferze komunizmu

Jak w takim otoczeniu mógł odnaleźć się Adam Michnik i mocniej zaangażować się w rozbijanie siermiężnego socjalizmu w wykonaniu ekipy Władysława Gomułki? Otóż już na początku Graczyk stawia tezę, że żydowsko-komunistyczna rodzina spowita była moralnymi wątpliwościami i niejednoznacznością, żyjąc wśród dygnitarzy totalitarnego systemu na alei Przyjaciół. Należała do ścisłej elity komunistów, którzy przywiezieni na bagnetach wprowadzali nad Wisłą swoje porządki. Młodziutki Michnik przyswajał te wzorce, z retoryką „wrogów antypaństwowych" i antykatolicką włącznie. Przyrodni brat Stefan wyemigrował do Szwecji po marcowej nagonce na Żydów – żyje tam do dzisiaj, niekrępowany polskim wymiarem sprawiedliwości. Zresztą Ozjasz Szechter również usunął się w cień na skutek wydarzeń z marca 1968 roku. Słusznie Graczyk zauważa, że nikt nie odpowiada za grzechy bliskich, a odpowiedzialność zbiorowa była domeną minionego systemu. Nie my podejmowaliśmy za nich wybory, bohater „Demiurga" nie miał jakiegokolwiek wpływu na kariery ojca, matki, a nawet przyszywanego brata. Ogromne oburzenie budzi za to milczenie Adama Michnika, ocierające się o obronę stalinowskich zbrodni. Ta cisza jest wymowna i trwa do dzisiaj.

W początkowych rozdziałach głośnej i obszernej biografii brakuje rozmowy ze Stefanem Michnikiem. Nie wiemy, czy autor próbował się z nim skontaktować. To jedna z luk świetnie napisanej książki – bo aż prosi się o wspomnienia z domu przesiąkniętego komunizmem, o relacje z przyszłą gwiazdą opozycji. O stosunek do tamtych wyroków, serwowanych na niewinnych kontestatorach totalitarnej rzeczywistości. Ale może niemożliwe było uzyskanie wypowiedzi od ściganego listem gończym byłego sędziego stalinowskiego?

Dalej Graczyk w sposób całościowy – historią PRL w pigułce – przedstawia losy opisywanej postaci w latach 60., które wyrywały Michnika ze szponów socjalistycznego zauroczenia. Członek Hufca Walterowskiego, działacz Klubu Krzywego Koła, a następnie Klubu Poszukiwaczów Sprzeczności, gdzie zawiązała się nieformalna struktura „komandosów" – kontestatorów komunistycznej rzeczywistości: łamania praw obywatelskich, niszczenia opozycji powojennej, dostrzegających zgniliznę systemu i upadek intelektualny grupy skupionej wokół Gomułki. Co ważne, Jacek Kuroń i Adam Michnik, ale też Seweryn Blumsztajn, bazując na krytyce socjalizmu Leszka Kołakowskiego, nadal wierzyli w „uleczenie" komunizmu. Stawiali sobie za cel naprawę systemu, nie odrzucali go a priori – co dokładnie uświadamia Graczyk. Szokiem poznawczym dla ideowych rewizjonistów była, naturalnie, interwencja wojsk Układu Warszawskiego na Węgrzech w 1956 roku, a także zdławienie Praskiej Wiosny, która wydarzyła się pół roku po wydarzeniach marcowych. Dla Graczyka 1968 rok stanowi przełom w poglądach i działalności Michnika, porzucającego wreszcie wiarę w naprawę komunizmu. Z pewnością skłoniła go do tego bezwzględność ZOMO wobec protestujących, ale też realia więzienne. Michnik nie dał się złamać i – co jasno wykłada Graczyk – zachował się odważnie pod koniec lat 60., gdy wielu jego znajomych poszło na współpracę z bezpieką. Student historii – jak się później okazało – z „wilczym biletem" na Uniwersytecie Warszawskim czuł odrazę do kapusiów, bezwzględnie im wykładał, jaką głupotę popełnili, obciążając znajomych. I z tego Michnika niewiele już zostaje dwie dekady później.

Jeden z protoplastów III RP

W dalszych rozdziałach Graczyk koncentruje się na historii PRL w pigułce z uwzględnieniem niebotycznej roli bohatera książki – najpierw w środowisku KOR-owskim, a później w „Solidarności". Co ciekawe, zdaniem publicysty „Krytyki Politycznej" Jakuba Majmurka to zbędna faktografia. Lewicowiec srogo i niesprawiedliwie – według „salonowych" kalek – potraktował autora „Demiurga". Otóż, nie ma racji, gdyż najtrudniejszą część przygotowania biografii stanowi osadzenie losów głównej postaci w kontekście historycznych wydarzeń – a tych wokół Michnika i z jego udziałem było przecież mnóstwo. Graczyk nie ukrywa podziwu dla intelektu, erudycji i krasomówczych talentów opozycjonisty, co zresztą przysporzyło mu wielbicieli wśród śmietanki polskich elit: Antoniego Słonimskiego, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Zbigniewa Herberta, Jerzego Giedroycia i wielu innych. Z biegiem lat te relacje zostaną zresztą nadszarpnięte, a estyma, jaką cieszył się Michnik, zmieni się stopniowo w przekaz Herberta już w wolnej Polsce: „Michnik jest manipulatorem. To jest człowiek złej woli, kłamca. Oszust intelektualny". Kwestie życia prywatnego Graczyk porusza zdawkowo, ograniczając się do przykładów nieudanych, choć wielu ro-

fot. Grzegorz Rogiński/PAP

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

mansów. Jedno nie ulega wątpliwości, co przyznają również osoby dalekie poglądami od Michnika: robił wrażenie na kobietach, nie tyle wyglądem zewnętrznym, bo o to nie dbał, lecz pewnością siebie i inteligencją. Dla niezorientowanych w historii PRL, książka Graczyka stanie się fascynującym i dokładnym wykładem o komunizmie, trzęsącym się w posadach na skutek powstania opozycji – najpierw przedsierpniowej, a później jawnie działającej „Solidarności", wreszcie stłumienia marzeń i dążeń niepodległościowych przez juntę Jaruzelskiego i Kiszczaka w stanie wojennym. Michnik to jeden z protoplastów III RP – zaryzykuję stwierdzenie, co wynika również z lektury „Demiurga", że nikt nie wywarł takiego wpływu na kształt przemian ustrojowych jak redaktor naczelny „Gazety Wyborczej". Wiązało się to z łączeniem funkcji posła OKP i szefa największego dziennika w Polsce, co już samo w sobie jest paradoksem i – obecnie – niedopuszczalną praktyką. Tak wybitną redakcję sprowadził świadomie do roli członka sztabów wyborczych: Tadeusza Mazowieckiego, Aleksandra Kwaśniewskiego – w misji ucywilizowania postkomunistów, wreszcie Unii Wolności i Platformy Obywatelskiej. Michnika tak naprawdę nigdy nie interesowało w III RP rzetelne dziennikarstwo, bardziej zakulisowy wpływ na władzę, czego opłakane skutki odczuwa do dziś po aferze Rywina. Tamten okres – nie tylko ugodowe poglądy na sojusz z komunistami przy, a szczególnie po Okrągłym Stole – sprawił, że Michnik ma znacznie więcej krytyków niż apologetów. Polityczna droga redaktora w III RP sprowadza się do lęku przed polskim szowinizmem, antysemityzmem i przede wszystkim zoologiczną wręcz niechęcią do ONR-u, której rządy nigdy Polsce nie zagrażały. I kolejny paradoks: to właśnie w gazecie Michnika często bryluje dawna twarz Młodzieży Wszechpolskiej, czyli Roman Giertych – dziś „potężny" mecenas próbujący bez jakichkolwiek podstaw w życiorysie i intelektualnych przymiotów wcielić się w rolę bohatera „Demiurga". Szef „Gazety Wyborczej" to pieniacz na salach sądowych, pozywający również swoich dawnych przyjaciół. Samotny, starszy pan, który stracił rząd dusz – i to nie w 2015 roku, jak mogłoby się wydawać, lecz w 2005 roku, gdy wiele afer postkomunistycznego establishmentu wyniosło partie postsolidarnościowe do władzy. Nic już nie przywróci tej potęgi i blasku „Gazecie Wyborczej", przede wszystkim z pierwszych miesięcy jej istnienia, gdy zajmowała się informowaniem o najważniejszych wydarzeniach z kraju i zagranicy i pełniła rolę odnośnika dla innych redakcji.

Istotne luki

Biografia Michnika to pozycja obowiązkowa dla każdego badacza i czytelnika zainteresowanego dziejami najnowszymi. Nie jest ona pozbawiona niedomówień czy wręcz pominięć istotnych kwestii w narracji. Otóż dziennikarz mało miejsca poświęca tematowi poczynań komisji Michnika, powstałej na wniosek ministra edukacji Henryka Samsonowicza i buszującej w archiwach dawnego MSW bez jakiegokolwiek trybu i kontroli przez dwa tygodnie kwietnia 1990 roku. Czy już wtedy grupka śmiałków zdobyła wiedzę o agenturze w środowiskach opozycyjnych? Nic na ten temat w „Demiurgu" nie znajdziemy. Roman Graczyk zdawkowo traktuje wyprawę Michnika do Moskwy w lipcu 1989 roku, uznając, że miał on prawo sondować otoczenie Michaiła Gorbaczowa w sprawie przemian w „laboratorium pierestrojki". Dlaczego jednak nie ostały się żadne archiwa z tamtej wizyty? Kto dał mandat Michnikowi do zakulisowych rozmów z KPZR i dlaczego, mimo upływu czasu od publikacji IPN, nadal nie zabiera on głosu na ten temat? Ewidentnie brakuje rozmowy ze Stefanem Michnikiem, o czym już wspomniałem, oraz ze sfraternizowanymi z redaktorem „Wyborczej" postkomunistami. Nie znalazłem w „Demiurgu" informacji o słynnej „liście Michnika", czyli grupie polityków, historyków i dziennikarzy, którzy narazili się dawnemu opozycjoniście, w związku z czym uznał, iż nie warto im podawać ręki. Ta lista odbiła się szerokim echem w publicystyce, niemożliwe więc, by Graczyk o niej nie słyszał. Brak wreszcie wstrząsającego opisu psychologicznego Michnika i ludzi „Wyborczej", który wyjawił były publicysta gazety Michał Cichy w dawnym „Dzienniku": padają tam słowa o „cynglach" na każde zamówienie „góry", mieniącymi się dziennikarzami. Kiedy Graczyk nakreśla kulisy pierwszego odejścia z redakcji na początku lat 90., brakuje relacji samego zainteresowanego – śp. Krzysztofa Leskiego. „Podczas kampanii prezydenckiej 1990 żądał, bym ośmieszał Wałęsę, a Mazowieckiego chwalił. Klarowałem, że to nie robota dla reportera, że zaś on w komentarzach może pisać, co chce – bez efektu. Pewnego listopadowego dnia odbyliśmy chyba dwugodzinną rozmowę, spacerując po przedszkolnym ogródku przy Iwickiej, gdzie mieściła się wtedy »GW«. Było zimno, siąpił deszcz, a redakcja niemal w komplecie przylepiła się do okien czekając chyba, aż się pobijemy. Michnik był jednak raczej spokojny, bo się jąkał, a gdy jest naprawdę zdenerwowany lub podniecony – jąkać się przestaje. Ja swoje, on swoje. Nagle trochę się ożywił i zwrócił się do mnie niemal ciepło, po ojcowsku: – K-k-krzysiu, jeśli ty-ty-ty chcesz tu robić wo-wolną gazetę, to-to-to-to po moim trupie" – pisał na blogu w Salonie24. Wielka szkoda, że autor lub wydawnictwo nie uwzględnili tego na końcu bibliografii.

Jeśli ktoś chce przypomnieć albo poznać kulisy budowania potęgi przez Adama Michnika i środowisko opozycji „konstruktywnej", nie ma wyboru: musi sięgnąć po książkę Graczyka. Czyta się ją jak niezły thriller, wzbogacony o pokaźną liczbą relacji i literatury, akt IPN-u. Jedną z największych zalet „Demiurga" jest całościowa analiza publicystyki, która wyszła spod pióra dysydenta – od lat 60. po okres współczesny. Jak to mówi młodzież: must read. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Małgorzata Matuszak

Czym jest... wolna wola

Czy wola naprawdę jest wolna, czy w ogóle istnieje, czy wręcz przeciwnie – wolność woli jest jedynie iluzją, mrzonką podtrzymywaną dla funkcjonowania społecznego ładu? Sam fakt, że do tej pory, pomimo trwającej od dawien dawna refleksji, nie uzyskano w pełni akceptowalnej odpowiedzi na pytanie, czy człowiek w swej woli jest wolny, czy też nie, świadczy o tym, że problem wolnej woli jest jednym z zasadniczych zagadnień filozoficznych.

W tym sporze spotykają się dwa konkurencyjne stanowiska – kompatybilizm i inkompatybilizm. Pierwszy z nich zakłada, że determinizm i wolna wola są do pogodzenia. Jego zwolennicy argumentują to tym – w dużym uproszczeniu – że jeśli przyjęlibyśmy, iż nasze wolne decyzje nie byłyby zdeterminowane, musielibyśmy uznać je za przypadkowe, co z kolei kłóci się z naszym poczuciem, że podejmujemy je na podstawie swych przekonań i pragnień. Musimy więc przyjąć, że wolna wola może istnieć jedynie w świecie deterministycznym. Inkompatybiliści nie zgadzają się z tym, twierdząc, że skoro nasze decyzje są zdeterminowane, to nie moglibyśmy być za nie odpowiedzialni.

Współczesne nauki, na przykład neurobiologia i kognitywistyka, obaliły tezę zakładającą istnienie wolnej woli, a przynajmniej postawiły nad nią wielki znak zapytania. Francis Crick, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny, w swej książce „Zdumiewające hipotezy" napisał wręcz: „Ty, Twoje wybory, smutki, radości, wspomnienia, ambicje, osobowość i wolna wola, tak naprawdę nie są niczym więcej jak skutkiem pracy komórek nerwowych i związanych z nimi cząsteczek. To, kim jesteś, to tylko zbiór neuronów". Jak można mieć wolną wolę, będąc tylko zbiorem białek? Biochemiczną marionetką?

To stanowisko jednak trudno nam zaakceptować. Przecież intuicyjnie czujemy, że to właśnie my wybieramy, że to my podejmujemy decyzję odnośnie do naszego działania, nie zaś jakiś znajdujący się w naszym mózgu mechanizm potajemnie kierujący naszymi wyborami. Każdy z nas ma swoje ograniczenia, wynikające z różnych przyczyn i przejawiające się w różnych sytuacjach, ale czy to oznacza, że nie posiadamy w ogóle zdolności wyboru swojego postępowania? Poza tym jeśli nasze wybory nie mogłyby być wolne, jeśli bylibyśmy zaprogramowanymi automatami, których działanie nie mogłoby być kontrolowane przez świadomość, nie można by było mówić zarówno o odpowiedzialności osoby za swoje czyny, jak i o dobru i złu, czyli o klasyfikacji moralnej czynu, o nagrodzie i karze, o niewinności i winie. To dlatego, iż posiadamy wolną wolę, jesteśmy w stanie uczynić wiele wielkich rzeczy, zarówno dobrych, jak i złych. I możemy ponosić konsekwencje swoich czynów.

> Rzec można, że wolna wola to ta przestrzeń działania, która otwiera się wtedy, gdy potrafimy dostrzec i przewidzieć skutki naszego potencjalnego działania.

Zważywszy na to, że każdy język wyraża swoisty dla danej kultury sposób ujmowania świata, warte uwagi jest to, że w polszczyźnie i w innych językach słowiańskich – inaczej niż na przykład w angielskim czy niemieckim – związek woli i wolności jest ewidentny. W polszczyźnie wyraz „wola" początkowo oznaczał „uwolnienie wsi od danin" i w konsekwencji „wieś uwolnioną od takich świadczeń", od XIV wieku jednak zaczęło również funkcjonować znaczenie „chcenie, pragnienie; siła duszy".

Wola to zdolność lub dyspozycja do podejmowania decyzji i dokładania starań w celu osiągnięcia określonego, zamierzonego celu, a także do przyjmowania pewnych postaw i odrzucania innych. Stanowi ona jedną z cech odróżniających ludzi od innych istot żywych. Jest jednym z atrybutów osoby i można ją uznać za wyraz ludzkiej tożsamości: w sposobie, jaki człowiek wybiera i co wybiera, w jego decyzjach i działaniach, ujawnia się – i jednocześnie kształtuje – jego „ja".

Rzec można, że wolna wola to ta przestrzeń działania, która otwiera się wtedy, gdy potrafimy dostrzec i przewidzieć skutki naszego potencjalnego działania. Człowiek może czynić dobro, ale też zło, bo jest wolny. Posiada wolną wolę. I ważne, by nie używał jej do czynienia zła. Wtedy staje się w pełni sobą. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Małgorzata Matuszak

Transpłciowe dzieci

W marcu bieżącego roku w Hiszpanii odbywały się manifestacje aktywistów i sojuszników środowiska LGBT+ popierające wprowadzenie w życie nowego prawa o samookreślaniu płci. Według nowej ustawy taką możliwość mieliby już 12-latkowie, jeśli tylko uzyskaliby zgodę rodziców lub opiekunów prawnych, a od osób powyżej 16 lat taka zgoda nie byłaby wymagana. Tymczasem w Wielkiej Brytanii pod koniec ubiegłego roku zapadł przełomowy wyrok Sądu Najwyższego zakazujący dzieciom do lat 16 zażywania tzw. blokerów dojrzewania w celu zmiany płci.

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Zmiana płci to proces niezwykle trudny pod wieloma względami. Zdaniem specjalistów, bardziej poprawne byłoby używanie terminu „korekta płci", jako że w takich sytuacjach mamy do czynienia tak naprawdę z procesem uzgodnienia płci, z którą dana osoba się identyfikuje, z jej narządami płciowymi i tym, jak ją postrzega społeczeństwo. Dysforia płciowa, ów rozdźwięk między umysłem a fizycznością, staje się źródłem cierpienia psychicznego osób transpłciowych. Problem dotyczy również dzieci. W ich przypadku jednak trzeba być niezwykle ostrożnym. Dokonywanie korekt płci nastolatków, a nawet kilkulatków, pociąga za sobą nieodwracalne skutki. Trzeba być tego świadomym.

Problemy się piętrzą

„The Sunday Times" opisywał sprawę rodziców z Wielkiej Brytanii, którzy zdecydowali o zmianie płci swoich dwojga dzieci – 3- i 7-latka. Sprawa wstrząsnęła całym krajem. Tym bardziej, że wahania dotyczące tożsamości płciowej odczuwa także trzecie dziecko małżeństwa. Wielu ekspertów uważało, że to rodzice mają toksyczny wpływ na swojego trzylatka. W podobnym tonie wypowiadali się pracownicy przedszkola, do którego uczęszczał chłopiec. Skarżyli się, że rodzice ubierali go w ubrania dla dziewczynek, a kiedy ich uwagi nie docierały do małżeństwa, postanowili zgłosić problem opiece społecznej. Sąd w Preston uznał jednak, w oparciu o opinię innych ekspertów, że rodzice nie wywierają złego wpływu na dziecko, w związku z czym mogą się dalej nim opiekować.

Szefowa psychologii klinicznej w Tavistock Centre w Londynie, Bernaderre Wren, twierdziła jednak wtedy, że na trzylatka silnie wpływają rodzice i że dzieci poniżej dziesiątego roku życia nie powinny być poddawane procedurom zmiany płci. Inni eksperci byli zaś zdania, że rodzice mogą stosować szkodliwą manipulację wobec dziecka, które w tym wieku nie posiada jeszcze w pełni wykształconej świadomości na temat swojej tożsamości.

W Stanach Zjednoczonych głośno zaś było o sprawie 7-letniego Jamesa Youngera, którego rodzice toczyli, także w mediach społecznościowych, batalię o zmianę płci syna. Matka twierdziła, że James jest transseksualistą i ma dysforię płciową, która została zdiagnozowana przez trzech specjalistów, ojciec zaś utrzymywał, że syn doświadcza jedynie pewnych wątpliwości odnośnie do swojej płci, które z biegiem czasu znikną. Świadkowie powołani przez matkę potwierdzali jej stanowisko, ci zaś powołani przez ojca – jego. Matka domagała się zastosowania brokerów dojrzewania płciowego i terapii hormonalnej, ojciec z kolei nie chciał się zgodzić na takie rozwiązanie, obstając przy „przeczekaniu". Doktor Stephen Levine, psychiatra-seksuolog, powołany przez reprezentującego ojca prawnika, potwierdził, że jedenaście przeprowadzonych badań pokazuje, że kiedy przyjęto podejście „przeczekania", w 80 do 90 proc. przypadków nastąpiło zaniechanie przez utożsamiania się z płcią, na którą miała nastąpić zmiana. Sąd nie przychylił się do żadnego ze stanowisk. Orzekł, że skoro na procesy medyczne wymagana jest zgoda obojga rodziców, rodzice chłopca muszą się w tej sprawie sami dogadać.

Konflikt nawet po śmierci dziecka

4 kwietnia bieżącego roku w Perth, w Australii, w wyniku obrażeń po próbie samobójczej zmarł 15-letni chłopiec (tak płeć dziecka określano w doniesieniach medialnych na ten temat). Rodzice po jego śmierci nie potrafili dojść do porozumienia w kwestii płci dziecka, wcześniej bowiem rozpoczęło ono proces korekty płci. Ojciec utrzymywał, że jego dziecko pochować trzeba jako dziewczynkę i umieścić na nagrobku imię żeńskie, które otrzymało po urodzeniu, określane przez osoby po zmianie płci jako „deadname". Matka zaś chciała pochować dziecko jako osobę transseksualną, z imieniem, którym nastolatek posługiwał się przed śmiercią od czasu coming outu. Twierdziła, że jej syn nie zniósłby faktu umieszczenia niewłaściwego imienia na swoim pomniku, walczył bowiem o swoją tożsamość płciową i martwił się, którego imienia powinien używać przy zapisywaniu się do nowej szkoły.

Zgodnie z panującym w Australii prawem, zgodę na zmianę imienia dziecka wyrazić muszą oboje rodzice. Sprawa trafiła więc do sądu rodzinnego. Kobieta negocjowała z mężem, by na nagrobku umieścić najpierw nowe imię ich dziecka, a w nawiasie to nadane po urodzeniu, ten jednak nie chciał się na takie rozwiązanie zgodzić. Ponieważ rodzice nie potrafili dojść do porozumienia, ustalili, iż prochy dziecka podzielą i wyprawią dwa pogrzeby. Na obu nagrobkach umieszczono zaś ostatecznie obydwa imiona, nie wiadomo, w jakiej kolejności. Na akcie zgonu widnieje stare imię dziecka, 15-latek nie zdążył bowiem przed śmiercią prawnie go zmienić w akcie urodzenia.

Dziewczyna cierpiała na depresję, a rok przed śmiercią zdiagnozowano u niej zaburzenia osobowości typu borderline. Cierpiące na nie osoby odczuwają silne wahania nastroju, posiadają niestabilny obraz samego siebie, mają także problemy z budowaniem relacji międzyludzkich, silny lęk przed odrzuceniem i wykazują często działania autodestrukcyjne.

Luzowanie i zaostrzanie przepisów prawnych

W marcu bieżącego roku w Hiszpanii odbywały się manifestacje aktywistów i sojuszników środowiska

FOTADOBE STOCK

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

LGBT+ mające na celu wyrażenie poparcia dla wprowadzenia w życie nowego prawa o samookreślaniu płci. Grupa aktywistów mniejszości osób transpłciowych podjęła nawet strajk głodowy, wymuszający na rządzącej lewicowej koalicji przedstawienie stosownego projektu. Udało się. Oczekiwany projekt w Kongresie Deputowanych złożyły cztery partie. Jeśli wszedłby on w życie, Hiszpanie i Hiszpanki mogliby samostanowić o swojej płci, co w praktyce oznacza, iż do dokonania oficjalnej korekty wystarczyłaby jedynie deklaracja danej osoby, która mogłaby się określić, bez względu na płeć biologiczną, jako kobieta bądź mężczyzna. Co więcej, ustawa ta dałaby osobom binarnym – takim więc, które nie czują się ani kobietą, ani mężczyzną – możliwość wykreślenia płci w ich dokumentach.

Obecnie osoba, która chce dokonać korekty płci, musi przejść szereg badań lekarskich i przedstawić dokument orzekający o dysforii płciowej, czyli o zaburzeniu tożsamości płciowej, i udowodnić ponadto, że od co najmniej dwóch lat przyjmuje terapię hormonalną. Według nowej ustawy samostanowić o swojej płci mogliby już 12-latkowie, jeśli tylko uzyskaliby zgodę rodziców lub opiekunów prawnych, od osób powyżej 16 lat taka zgoda nie byłaby zaś wymagana.

Przeciwnicy tej ustawy utrzymują, że ustalono zbyt niski próg wiekowy pozwalający na samookreślenie płci i ten pozwalający na to bez zgody rodziców czy opiekunów.

Tymczasem w Wielkiej Brytanii pod koniec ubiegłego roku zapadł przełomowy wyrok Sądu Najwyższego zakazujący dzieciom do lat 16 zażywania tzw. blokerów dojrzewania w celu zmiany płci. Zmiana płci będzie też możliwa dopiero po uzyskaniu zgody sądu, który stwierdzi, iż leży to w najlepszym interesie dziecka, dotychczas bowiem wystarczyła wola dziecka, by mogło ono skorzystać z finansowanego przez państwo procesu zmiany płci.

23-letnia Keira Bell oraz matka 15-letniej dziewczynki z autyzmem, oczekującej na podjęcie takiej terapii, zaskarżyły czołowy brytyjski serwis Tavistock & Portman NHS Foundation Trust, zajmujący się zmianą płci u dzieci. Keira Bell zaczęła przyjmować w wieku 16 lat, po tym, jak uznała, że chce stać się fizycznie mężczyzną, środki blokujące dojrzewanie. Później podawano jej testosteron, a w wieku 20 lat przeszła mastektomię. Dziś prowadzi walkę o to, by uniemożliwić nastolatkom tak głęboką ingerencję w płeć. Przekonana własnym przykładem twierdzi, że osoba w tym wieku nie jest w stanie w pełni zrozumieć konsekwencji swoich czynów, które są nieodwracalne, bowiem już sam farmakologiczny proces zmiany płci powoduje skutki, których nie można cofnąć. Kobieta przekonuje również, że brytyjski system zdrowia pozbawiony jest zabezpieczeń chroniących dzieci w tego typu przypadkach. Sąd orzekł, że: „Jest wysoce nieprawdopodobne, aby dziecko w 13. roku życia było kompetentne, aby wyrazić zgodę na podanie blokerów dojrzewania. Wątpliwe jest, aby dziecko 14- lub 15-letnie mogło zrozumieć i wziąć pod rozwagę długoterminowe ryzyko i konsekwencje podawania leków blokujących dojrzewanie".

Niebezpieczeństwa związane ze zmianą płci

Katolickie Stowarzyszenie Lekarzy w Wielkiej Brytanii podkreśliło, iż sędziowie uznali istnienie „nieznanych potencjalnych zagrożeń, związanych z tak daleką ingerencją, które mogą spowodować trwałe szkody". Stwierdza dalej: „Nie ma dowodów na to, że ingerencja, która wzmacnia lub potwierdza preferowaną płeć, zamiast płci zdeterminowanej genetycznie i biologicznie, jest pomocna lub rzeczywiście bezpieczna. Dowody sugerują, że ingerencja afirmująca płeć nie zmniejsza poziomu depresji, nadużywania narkotyków, samookaleczeń i samobójstw wśród osób dotkniętych chorobą dysforii płciowej". Badanie przeprowadzone w Szwecji wykazało, że wskaźnik samobójstw w grupie osób transpłciowych, które przeszły przemianę medyczną, jest 19-krotnie wyższy niż w pozostałej części społeczeństwa. Ponadto osoby transpłciowe leczone hormonalnie żyją przeciętnie o 20 lat krócej niż przeciętny człowiek.

U dzieci zmiana płci nie polega na przeprowadzeniu operacji zmiany narządów płciowych, te zabiegi nie są bowiem możliwe, gdyż organizm dziecka nie zaczął jeszcze dojrzewać. Najpierw przeprowadzana jest prawna zmiana płci, możliwa również w Polsce. Polega ona na tym, że rodzice zmieniają dziecku imię – z kobiecego na męskie lub odwrotnie. Jeśli chodzi ono do przedszkola lub szkoły, informują dyrektora i pedagogów o tej zmianie i proszą o zwracanie się do dziecka nowym imieniem. Procedura taka jest możliwa po otrzymaniu odpowiednich zaświadczeń medycznych. Proces ten jest odwracalny, co oznacza, że jeśli dziecko po jakimś czasie zmieni zdanie i zdecyduje o powrocie do biologicznej płci oraz pierwotnego imienia, będzie mogło to zrobić. Wtedy rodzice znów będą musieli prawnie zmienić imię dziecka.

Jeśli jednak dziecku zacznie się podawać blokery dojrzewania i zastosuje, na dalszym etapie, terapię hormonalną, co w niektórych krajach nierzadko jest wdrażane, w organizmie dziecka zapoczątkowuje się procesy, których skutki trudno przewidzieć. Blokery dojrzewania to nie tylko „kupowanie czasu", zwykłe opóźnianie rozwoju. To więcej niebezpieczeństw niż się wydaje. Kilkunastoletnie, a tym bardziej kilkuletnie dziecko, nawet wbrew opinii niektórych specjalistów, nie jest na tyle dojrzałe, by podjąć tak brzemienną w skutkach decyzję. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Agnieszka Kowalczyk

„GAZETA POLSKA" W LATACH 1929–1939

Laur niepodległości

GAZETA POLSKA

JUŻ DO KUPIENIA

sklep.gazetapolska.pl

722 111 655

PARTNERZY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI ORAZ ODBUDOWY POLSKIEJ PAŃSTWOWOŚCI

niepodległa

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

„To była niezwykle silna indywidualność... Podziwiałem go i ceniłem, choć był w jednej osobie, za przeproszeniem, wieprzem, lisem, tygrysem i orłem. Myślę, że byłby dumny z takiej oceny, a dla Wisły oddałby zawsze wszystko" – wspominał go Stanisław Voigt, przedwojenny krakowski optyk, działacz Wisły Kraków. Adam Obrubański był piłkarzem, trenerem reprezentacji Polski, a także pierwszym polskim sędzią, który prowadził międzynarodowe zawody. Ale chyba najbardziej zapamiętany został jako dziennikarz, który wywołał krakowsko-warszawską wojnę, opisywaną w całej Europie. Nie było natomiast powszechną wiedzą, że porucznik Obrubański był także pracownikiem polskiego kontrwywiadu. Zginął rozstrzelany przez Sowietów w Katyniu.

Piotr Lisiewicz

Wojna krakowsko-warszawska Adama Obrubańskiego

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

FOT. NAC

To była afera, którą żyła prasa sportowa w Europie. O co poszło? Wiedeński dziennik sportowy „Sporttagblatt" pisał w 1930 roku o dyskwalifikacji, jaką PZPN nałożył na Adama Obrubańskiego: „Jeszcze nigdy i w żadnym kraju Związek nie miał czelności zdyskwalifikować swojego działacza dlatego, iż on w swoim zawodzie jako dziennikarz wyraził krytykę". Jak oceniała wiedeńska gazeta, „w żadnym wypadku nie może podlegać dyskusji, czy p. Obrubański odnośnie swej krytyki związku miał, czy nie miał słuszności. Musi się jednak całkowicie stanąć po stronie całej polskiej prasy, za wyjątkiem warszawskiej, i postępowanie Związku napiętnować, jako niesłychany fakt, dotychczas w sporcie piłkarskim nie notowany".

▶ Terroryzowanie za postulat „Zabrać PZPN Warszawie"

Belgijska gazeta „Le Matin" pisała z kolei: „Dowiadujemy się z Polski o niesłychanym wydarzeniu. Kierownik sekcji piłkarskiej mistrzowskiej drużyny Wisły p. Obrubański, a zarazem redaktor jednego z większych dzienników sportowych, napisał krytykę przeciw członkom zarządu PZPN, zresztą bardzo słuszną, na skutek braku sukcesów reprezentacji narodowej. Niepowodzenia te p. Obrubański przypisał złej selekcji reprezentacji... Napisanie tego było oczywiście jego prawem dziennikarskim. PZPN rozsądził atoli zupełnie inaczej i zdyskwalifikował dziennikarza tylko na dwa lata!... doprawdy, gdzież jest wolność prasy?".

O co poszło, tak wyjaśniał zmarły niedawno Andrzej Gowarzewski, chodząca encyklopedia polskiej piłki nożnej: „Otóż późnym latem 1930 red. Adam Obrubański, związany z Wisłą i koncernem prasowym IKC, opublikował krytyczny artykuł o PZPN, zarzucając działaczom centrali niegospodarność i brak troski o związkową kasę przy wyjazdach na mecze reprezentacji. Poczuł się w obowiązku bronić warszawskiej centrali naczelny Przeglądu Sportowego red. Marian Strzelecki, ale Obrubański zmieszał z błotem adwersarza, wyzwał go od osobnika bez krztyny honoru, a ważniakom w PZPN dołożył, w istocie – bez umiaru. Zaapelował przy okazji, aby »Zabrać PZPN Warszawie«".

Według Gowarzewskiego, w tle tego sporu był zatarg pomiędzy „Ilustrowanym Kurierem Codziennym" a „Przeglądem Sportowym". W efekcie na Wiśle „odmówiono akredytacji prasowej korespondentowi warszawskiej gazety sportowej i przez kilka tygodni drukowano w tym piśmie sprawozdania okrojone do suchego wyniku".

Gowarzewski trafnie pisze, iż Obrubański w prasowych polemikach był zdolny do tego, by w ferworze walki zmieszać przeciwnika z błotem. Ale oto po jego dyskwalifikacji zdarzył się niemal cud – po stronie Obrubańskiego stanął także jego krakowski przeciwnik, działacz socjalistyczny, redaktor Maksymilian Statter, który na łamach pisma „Naprzód" napisał: „Z panem Obrubańskim ścierałem się niejednokrotnie w sposób nawet bardzo ostry... wobec czego nikt mnie nie może posądzić o subiektywną ocenę faktów... Postępek Zarządu PZPN, wysoce lekkomyślny, muszę skwalifikować jako niedołężną próbę terroryzowania niezależnej opinii publicznej".

▶ „Walił na odwyrtkę jak siekierą"

To była jedna z wielu awantur publicystycznych redaktora Obrubańskiego, choć żadna nie wywołała tak daleko idących międzynarodowych reperkusji. Jerzy Jakub Rohatiner, doktor medycyny, który pisał do działu sportowego „Ikaca", po latach pisał o Obrubańskim: „Pisał tak jak się mówi... Polszczyzna Obrubańskiego była świeża jak chłopski chleb razowy z kwaśnym mlekiem. Gdy go ktoś zaczepił w innym piśmie, nie znał się na żartach: walił na odwyrtkę jak siekierą". Skąd wziął się ten jego charakter?

Adam Józef Obrubański urodził się 28 grudnia 1892 roku w Kopyczyńcach, w powiecie Husiatyń w obwodzie tarnopolskim w Austro-Węgrzech. Jego ojcem był Leon Obrubański – urzędnik, a matką nauczycielka Wanda z Bojarskich Obrubańska. Wcześniej pracowała ona w swoim zawodzie w zaborze rosyjskim, co skończyło się kłopotami. „Po wykryciu przez żandarmerię rosyjską, iż uczyła po kryjomu dzieci języka polskiego i religii w języku polskim, zmuszona była rzucić posadę, a nie chcąc zarazem przejść na prawosławie, schroniła się do Małopolski, gdzie w Kopyczyńcach objęła kierownictwo szkoły powszechnej, pracując i wychowując z całym poświęceniem i zamiłowaniem kilka pokoleń w duchu patriotycznym" – czytamy we wspomnieniu o niej w „Ikacu".

▶ Likwidacja sekcji ze względów wychowawczych

Adam uczył się w Gimnazjum IV w Krakowie przy ul. Podwale, w kamienicy browarnika Goetza-Okocimskiego. Wtedy zaczął grać w piłkę – w latach 1908–1913 w AZS Kraków. W 1910 roku został jednym z organizatorów piłkarskiej drużyny akademickiej, ale pod koniec 1912 roku uległa ona likwidacji ze względów wychowawczych. Jej likwidatorzy,

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

w tym Obrubański, pisali: „W miarę jak weszliśmy w bliższą styczność z ruchem futbolowym, ogarniało nas coraz większe rozczarowanie, poznaliśmy wiele wypadków i sposobów działania, o jakich nie mieliśmy pojęcia, że mogą się rozwinąć na podłożu sportu. Nie tylko namiętna rywalizacja klubów, lecz również wprost niewłaściwy kierunek wprowadziły w ramy tego sportu dziwne pierwiastki, niegodne myśli tych, którzy pierwsi poruszyli u nas ideę sportu jako czynnika wychowania; poziom kulturalny gry w piłkę nożną obnaża się coraz bardziej, charakter jej przybiera duże znamiona profesjonalizmu, zawody stają się dziką walką, nie pozbawioną nieraz brutalnych momentów".

Jak piszą autorzy wiślackiej Wiki, „był to jedyny w historii polskiej piłki nożnej przypadek likwidacji sekcji ze względów wychowawczych!". Wiadomo, że z Wisłą Obrubański był związany od roku 1914, przez 10 lat z przerwami, grając w niej jako napastnik. Nie wiemy, jak wyglądał jego szlak bojowy w czasie I wojny światowej. Wiadomo, że początkowo wcielony został do armii austriackiej, a po ukończeniu Szkoły Oficerów Zapasowych w 1916 roku otrzymał stopień podporucznika. 6 grudnia 1918 roku wstąpił ochotniczo do Wojska Polskiego.

Wiadomo, że gdy jako żołnierz kierowany był do innych miejsc w Polsce, czasowo zmieniał klub. Tak w 1920 roku trafił do łódzkiego ŁKS-u. O tym, co robił w Łodzi, dowiadujemy się z artykułu „ŁKS – pionier sportu polskiego", który ukazał się w „Przeglądzie Sportowym" z 2 czerwca 1939 roku, z okazji 30-lecia ŁKS-u: „Pojawia się na gruncie łódzkim krakowianin, któremu ŁKS wiele zawdzięcza. Jest nim porucznik Adam Obrubański (obecnie redaktor „Raz, Dwa, Trzy"), zawodnik i działacz TS Wisła. Zostaje on kapitanem pierwszej drużyny, odmładza ją, poddaje pilnemu treningowi, zestawia szczęśliwie i w rezultacie w r. 1921 ŁKS zdobywa po raz pierwszy w Odrodzonej Polsce mistrzostwo Łodzi, które utrzymuje nieprzerwanie do r. 1925".

Nieudana Olimpiada i poselska nietykalność

Tymczasem Obrubański wrócił do Krakowa, gdzie w 1923 roku wraz z „Białą Gwiazdą" sięgnął po wicemistrzostwo kraju. O jego miłości do Wisły Marek Pampuch, autor tekstu „Święta wojna – fakty, mity, anegdoty", pisze tak: „Rywalizacja Cracovii i Wisły przyczyniła się do wzrostu poziomu polskiego futbolu. Pamiętam sympatyczne nastawienie do »świętej wojny« wiślaków, szczególnie ich oddanego prezesa dr. Obrubańskiego i jego słynne zdanie: »Niech Cracovia będzie najsilniejsza na świecie, tylko my jeszcze silniejsi!«".

W czasie Olimpiady w 1924 roku w Paryżu Obrubański był kapitanem związkowym, czyli trenerem-selekcjonerem reprezentacji Polski. Po przegranej z Węgrami 0:5 „Ikac" w rubryce humoru komentował: „Opowiadają sobie po Krakowie, że prezes dr Cetnarowski i kapitan związkowy Obrubański dotąd nie przybędą do Polski, dokąd Sejm ustawodawczy w Polsce nie uchwali im poselskiej nietykalności. Uruguay wygrał mistrzostwo na Olimpiadzie paryskiej, gdyż nie trenował ich inż. Biro".

Inna epoka

„Dziś piłkarze zarabiają miliony. Obce są im trudności dnia codziennego. Dawniej sportowcy martwili się, jak pogodzić ciężką pracę w fabryce z graniem w piłkę. Teraz niemałym problemem jest wybór nowego (zazwyczaj kolejnego) samochodu. W poprzednim stuleciu nierzadko piłkarze nie tylko pracowali, trenowali, ale sięgali po broń. Wielu z nich walkę o wolność kraju przypłaciło życiem" – pisze o kolejach losu Obrubańskiego i jego kolegów Kamili Kijanka z portalu RetroFutbol.pl.

Nikogo nie dziwiło wówczas łączenie funkcji piłkarza, trenera, sędziego i dziennikarza sportowego. W 1921 roku Obrubański sędziował finały Mistrzostw Polski. 5 czerwca 1921 roku był arbitrem głośnego meczu derbowego Cracovia–Wisła o mistrzostwo klasy A. Wisła przegrała 0:5 po trzech bramkach Kotapki i dwóch Kałuży. „Po meczu jego serce krwawiło z bólu, ale podczas spotkania nie wykonał ani jednego gestu, który mógłby wskazywać na faworyzowanie jego ukochanego klubu" – czytamy w wiślackiej Wiki.

„Ceniono go przede wszystkim za bezstronność podczas prowadzenia spotkań. Świadczyć może o tym mecz o finał Mistrzostw Polski z 1921 roku. Jego ukochana Wisła przegrała wówczas z największym rywalem – Cracovią, aż 0:5. Obrubański nie zrobił jednak nic, co mogłoby sugerować o faworyzowaniu Białej Gwiazdy" – pisze Kamil Kijanka z portalu RetroFutbo.pl.

Szwedzi strzelają ze spalonych

W 1924 roku jako pierwszy Polak sędziował mecz międzynarodowy w Budapeszcie Węgry–Austria. Od 1924 roku znalazł się na liście sędziów FIFA. Jednocześnie w latach 1922–1924 był trenerem reprezentacji Polski. Jak na trenera reprezentacji kraju, który dopiero zaczął istnieć, wyniki osiągał nie najgorsze. Przegrał z mocnymi Węgrami 0:3, wygrał ze Szwecją 2:1, dwukrotnie zremisował z Rumunią 1:1. Przegrał z Jugosławią 1:2 i z Finlandią 3:5. Z Estonią wygrał

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

4:1, ale gorzej już poszło ze Szwecją, z którą zremisował 2:2 i przegrał 1:5. Z Węgrami zbierał kolejne bęcki 0:5 (to na wspomnianej Olimpiadzie w Paryżu) i 0:4, przegrał też z USA 2:3. Ale wygrał z Turcją 2:0 i z Finlandią 1:0.

O realiach ówczesnych meczów tak czytamy w wiślackiej Wiki: „Czasy były ciężkie, część klubów bojkotowała kadrę, a sam Obrubański nie do końca panował nad sytuacją, do tego stopnia, że skład wyjściowej jedenastki znał najpierw rywal, a potem dopiero jego zawodnicy. Tak było przed meczem ze Szwecją w Sztokholmie 18 maja 1924 roku, przegranym 5:1. Drużynę częściowo usprawiedliwia trudna podróż – pociągiem z przesiadką w Berlinie, przez Stralsund, potem parowcem do Trellebroga i znów pociągiem do Sztokholmu. Przy tym jeszcze życzliwi i sprytni Szwedzi zaserwowali Polakom zwiedzanie ich stolicy, tak więc na odpoczynek i trening wiele czasu nie zostało".

Dalej dowiadujmy się, że „Polska rozpoczęła spotkanie przeciw słońcu i wiatrowi i jak można sądzić z doniesień prasowych, także sędziemu, który uznał 2–3 gole dla Szwedów strzelone podobno ze spalonych".

▶ Nowa specjalność: dziennikarz sportowy

Portret Obrubańskiego, który odnaleźć można w Wikipedii, namalował Vlastimil Hofman, malarz urodzony w czesko-polskiej rodzinie, uczeń Leona Wyczółkowskiego, Jacka Malczewskiego i Jana Stanisławskiego. Tak ów kibic Wisły pisał o swojej fascynacji piłką nożną, a w szczególności światem współczesnych kiboli: „Pierwszy raz poszedłem na stadion Wisły w Krakowie już w 1925 r. razem z żoną i od razu połknąłem haczyk. Odkryłem, że ludzie na stadionie stają się prawdziwsi niż w biurach czy na ulicy. Są szczersi, pełni entuzjazmu. Częstokroć spotykają się na jakimś meczu pierwszy raz, a już po kilku minutach nawiązują rozmowy, znajomości, niekiedy nawet przyjaźnie. Krzyczą, skaczą, podrzucają czapki, całują się, gwiżdżą, tupią... Podoba mi się ten obraz".

A Obrubański został dziennikarzem wspomnianego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego", gazety o największym nakładzie w Polsce. Poeta Jalu Kurek w tekście „Błyskawiczna lista wspomnień" tak pisał o ówczesnym krakowskim dziennikarskim światku: „Połowa dziennikarzy krakowskich w okresie międzywojennym parała się literaturą. A raczej było odwrotnie. Gdzie tknąć literata – siedział w prasie. Nie było tu zbyt wielu żurnalistów w zawodowym tego słowa znaczeniu. To połowa literatów w Krakowie pisywała na łamach prasy... W tamtym okresie literaci nie byli w stanie utrzymać się z samego pisarstwa – ja byłem tego przykładem – a prasa krakowska oferowała im pewne możliwości w tym kierunku". W swoim tekście Jalu Kurek tak charakteryzował Obrubańskiego: „Spokojny, rzeczowy, obiektywny działacz sportowy. Szef tygodnika „Raz, dwa, trzy" (w puli koncernu „IKC"). Jego prawą ręką (może raczej obu rękami) był W. Długoszewski, niegdyś as polskiego wioślarstwa".

Piotr Borowiec, autor książki „Jesteśmy głosem milionów. Dzieje krakowskiego wydawnictwa i koncernu prasowego »Ilustrowany Kurier Codzienny« (1910–1939)", tak pisze o jego redakcji sportowej: „W skład redakcji pism koncernu wchodzili ludzie o różnych specjalnościach, zawodach, wykształceniu i pochodzeniu. W tygodniku sportowym »Raz, Dwa, Trzy...« pracowali jako dziennikarze byli sportowcy: Józef Kałuża (piłkarz), Adam Obrubański (piłkarz), Włodzimierz Długoszewski (wioślarz). Wszyscy oni dysponowali autentyczną znajomością problemów sportu. To właśnie oni zapoczątkowali nową specjalność dziennikarską – dziennikarzy sportowych".

▶ Olimpiady, Tour de France i Giro d'Italia

We wspomnieniach wielu ówczesnych początkujących zawodników pojawia się anegdota, jak zjednywał ich sobie kierownik Obrubański – rozdając im cukierki. Ale jego wpływy w futbolu, również tym międzynarodowym, rosły. To on sprowadził do Polski londyńską Chelsea, która zagrała z Reprezentacją Polski oraz z Wisłą – w ramach obchodów jej 30-lecia.

Uściślijmy, że najpierw dodatek sportowy „Ikaca" nazywał się „Kurier Sportowy" i w nim zaczynał pisać Obrubański. A potem w oparciu o jego dziennikarzy powstał tygodnik „Raz, Dwa, Trzy...", pierwsza gazeta skierowana wprost do kibiców, której naczelnym został Obrubański. W pierwszym numerze tygodnik ten pisał: „Chcemy przynieść naszym Czytelnikom wszechstronny obraz życia sportowego, ujęty w formę najbardziej rozmaitą i barwną. Pismo nasze chce informować żywo, rzetelnie, wszechstronnie. Na łamach naszego pisma znajdzie się miejsce dla wszystkich gałęzi sportu i dla wszystkich wybitnych piór sportowych. W piśmie naszym, jak w zwierciadle, przeglądnie się cała sportowa Polska i zagranica".

W marcu 1929 roku „Przegląd Sportowy" przeprowadził wywiad z Obrubańskim jako kierownikiem sekcji piłkarskiej w TS Wisła. Mówił on: „Podobnie jak w latach ubiegłych tak i obecnie zarząd dołożył starań, aby graczy utrzymać w należytej kondycji fizycznej przez umożliwienie im uprawiania gimna-

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

styki oraz sportów zimowych podczas przerwy piłkarskiej. Tak więc część graczy uczęszczała pilnie na gimnastykę, która ze względu na niepewną jeszcze pogodę trwać będzie do 15-go marca, inni, jak Skrynkowicz i Koźmin, odbywają kurs instruktorski w Ośrodku W.F., inni wreszcie wykorzystali martwy sezon piłkarski na uprawianie wszelkiego rodzaju sportów zimowych, jak hokej, narciarstwo itp.".

Doktor praw

„Raz, Dwa, Trzy..." ukazywało się w latach 1931–1939, miało 16 stron i kosztowało 30 gr. Średni nakład wynosił wówczas 53–54 tys. egzemplarzy. Jak pisał „Dziennik Polski", pojawiał się on różnych miastach Polski o różnych godzinach: „W Krakowie, zachodniej Małopolsce i na Górnym Śląsku tygodnik trafiał do sprzedaży w poniedziałki około godz. 10. W Warszawie, Lwowie, Poznaniu i Łodzi można go było kupić we wczesnych godzinach popołudniowych, a na Pomorzu i w Wilnie wieczorem. W sumie ukazało się 465 numerów; ostatni z datą 3 września 1939 r.". Wśród stałych rubryk znajdowały się „Kalejdoskop zagraniczny", „Kalejdoskop sportowy", „Z tygodnia", „Z boisk i bieżni całego kraju", „Humor w sporcie" i „Sport w radio". Ukazywała się tam proza literacka związana ze sportem, powieści, wspomnienia i humoreski.

To „Raz, Dwa, Trzy..." co cztery lata relacjonowało polskiemu czytelnikowi igrzyska olimpijskie – zimowe w Lake Placid w 1932 i Garmisch-Partenkirchen w 1936 roku, letnie w Los Angeles w 1932 i Berlinie w 1936 roku. Korespondenci relacjonowali też tenisowy turniej w Wimbledonie, Puchar Daviesa, Tour de France, Giro d'Italia, wioślarski wyścig łodzi uniwersytetów Oxford i Cambridge.

Zdaniem historyka sportu Bogdana Tuszyńskiego, krakowski tygodnik był jednym z najważniejszych czasopism sportowych II RP: „Odznaczał się wysokim poziomem, aktualnością, elegancką szatą graficzną i dużą liczbą zdjęć. Teksty pisane były przystępnym językiem, bez sensacyjności. Redakcja starała się akcentować piękno sportu i inne wartości, jakie niosła ze sobą sportowa aktywność". A w międzyczasie Adam Obrubański studiował na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie w 1932 roku uzyskał tytuł doktora praw.

Jako publicysta Obrubański znany był z ostrego pióra. Jak pisze wiślacka Wiki, to on „stworzył doktrynę o trwałych, antagonistycznych interesach sportowych Krakowa i Warszawy. Był osobą, która »utrudniała życie« PZPN-owi, gdy jego siedzibą stała się Warszawa. „Obrubański honorowo odcierpiał karę, doczekał się dymisji Lotha (selekcjoner PZPN, którego krytykował) i krytyki komisji rewizyjnej PZPN za rozrzutną gospodarkę zarządu. Kiedy okres dyskwalifikacji minął, powrócił znów do pracy jako działacz Wisły i krakowskiego OZPN" – czytamy.

„Gdy czuł, że wymaga tego dobro nadrzędne – wchodził w konflikty. Walka o ligowy model klubowej rywalizacji przyniosła sukces. Oskarżenie piłkarskiej centrali o stosowanie protekcyjnych praktyk przy powoływaniu kadrowiczów i siłą rzeczy obniżenie prestiżu krakowskich piłkarzy zakończyło się sankcją dwuletniego zakazu piastowania jakiejkolwiek funkcji w piłkarstwie. I wedle PZPN było to łagodną karą, przy uwzględnieniu wcześniejszych zasług Obrubańskiego" – oceniało tę sytuację krakowskie „Tempo".

„Jedna z największych postaci"

Nie znamy okoliczności, w jakich Obrubański stał się jeńcem sowieckich bandytów. Wiadomo, że trafił do Kozielska na podstawie listy 029/5 z kwietnia 1940 roku, poz. 7, teczka personalna 2382. Został wywieziony do lasu katyńskiego i tam bestialsko pozbawiony życia strzałem w tył głowy, dzieląc los tysięcy polskich oficerów. I to był powód, dla którego nie można było o nim mówić za komuny.

Tablicę upamiętniającą go odsłonięto w Krakowie w maju 2010 roku, tuż po Smoleńsku, a w uroczystości wzięło udział wielu działaczy PZPN z komunistycznym rodowodem, również milicyjnym, z czasów, gdy Wisła została za sprawą komunistów klubem „gwardyjskim". Krakowskie „Tempo" pisało: „O tej ofierze Obrubańskiego za Ojczyznę długo nie chciano pamiętać, a choćby o niej informować. Śmierć oficera kontrwywiadu wojskowego stanowiła temat wstydliwy i przypuszczalnie obłożony cenzurą szczególną... Urzędowe, a nade wszystko haniebne milczenie na temat życia i śmierci kapitana Adama Obrubańskiego trwało po wojnie wystarczająco długo, aby wreszcie oddać hołd bohaterowi".

Ale gdy pojawił się pomysł, by nazwiskiem Obrubańskiego nazwać jedną z krakowskich ulic, miejscy urzędnicy nie sprawdzając prawdopodobnie informacji o życiu kandydata, zwrócili się o opinię do... IPN. „Obrubański to jedna z największych postaci nie tylko sportowego życia międzywojennej Polski. Tym większe zdziwienie budzi decyzja rzeczonej na wstępie komisji, która zwróciła się do IPN o sprawdzenie życiowych dokonań Obrubańskiego. Zdziwienie bierze się stąd, że kandydującego pośmiertnie do roli patrona krakowskiej ulicy »sprawdzili« stalinowscy oprawcy, skazując go na strzał w tył głowy, wymierzony przez enkawudzistę z Katynia!" – pisał wówczas śp. redaktor Andrzej Gowarzewski. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

CENA HONORU

Dariusz Jarosiński

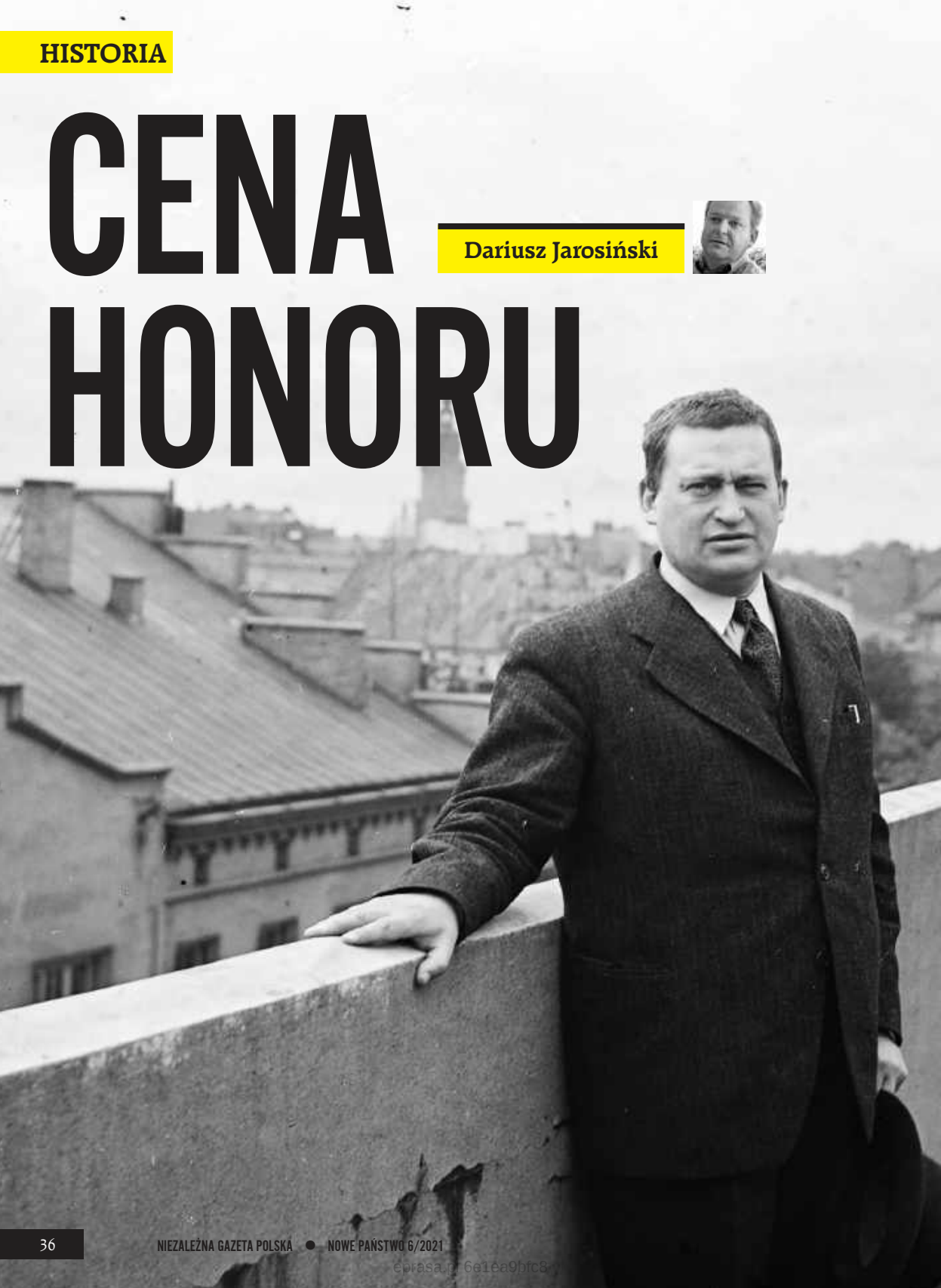

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Obu braci ukształtowało Wilno. Jednak choć Józef Mackiewicz niewątpliwie w życiu kierował się zawsze zasadami moralnymi, Stanisław pogubił się, odsunął na bok wartości moralne, o czym mogą świadczyć choćby jego kontakty z funkcjonariuszami komunistycznych służb specjalnych. W przeciwieństwie do Józefa, Cat gotów był opuszczając emigrację, poświęcić swój honor dla lepszego, wygodniejszego życia, a to lepsze życie mieli mu zapewnić komuniści.

FOT. NAC

Bieżący rok związany jest z dwiema ważnymi rocznicami dotyczącymi Stanisława Cata-Mackiewicza: 18 lutego minęła 55. rocznica jego śmierci, 18 grudnia minie 125. rocznica urodzin. Należałoby dodać jeszcze jedną ważną datę, która stanowiła istotną cezurę w życiu pisarza, a mianowicie 65 lat temu, 14 czerwca 1956 roku, przyjechał do PRL-u z długoletniego pobytu na emigracji.

Właściwie należałoby zacząć od przedstawienia: Stanisław Cat-Mackiewicz, brat Józefa – bo to twórczość młodszego o sześć lat brata Józefa dominowała w ostatnich kilkudziesięciu latach w polskich dyskursach politycznych, literackich wywoływała spory. Dzięki wznowieniu w ostatnim czasie dzieł Cata, a także wydaniu listów, powrócił on do krwiobiegu polskiej literatury historycznej i politycznej.

Boże, dopomóż w słusznej walce

Wspominając Cata, nie sposób nie pisać o jego oryginalnej osobowości, słabościach – a miał ich sporo – nie możemy jednak tracić z oczu jego wkładu w rozwój polskiej myśli politycznej. Stanisław w wieku 26 lat został redaktorem naczelnym wileńskiego dziennika „Słowo", wydawanego w latach 1922–1939, do którego finansowania przekonał kresowe ziemiaństwo, przede wszystkim księcia Albrechta Radziwiłła, Stanisława Wańkowicza, hrabiego Jana Tyszkiewicza, hrabiego Mariana Broel-Platera. Na łamach „Słowa" ziemiańskie środowiska zachowawcze lansowały koncepcję krajową, będąca antytezą idei Narodowej Demokracji. W latach dwudziestych pojawił się w wileńskim dzienniku program „Polski mocarstwowej", nawiązujący do tradycji jagiellońskiej. Cat opowiadał się za przywróceniem w Polsce monarchii, władzy królewskiej. Był zwolennikiem silnej głowy państwa, jego zdaniem obok władzy wykonawczej powinny jej przysługiwać pewne prerogatywy władzy ustawodawczej i sądowniczej.

Endecja była postrzegana przez wileńskich konserwatystów jako stronnictwo antymonarchistyczne. W opinii „Słowa" endecki nacjonalizm hamował ekspansję tradycyjnego polskiego imperializmu na Wschód, próbował ów pochód, jak pisał Cat, „odrzucić, powstrzymać państwo polskie, skurczyć i ścieśnić do obszarów etnograficznie polskich". Cat dowodził, że „[...] demo-nacjonalistyczna doktryna narodowej demokracji została zbudowana na idei ludowej, nie konserwatywnej".

Stanisław Mackiewicz wraz ze znanymi konserwatywnymi publicystami „Słowa", Eustachym Sapiehą, Aleksandrem Meysztowiczem, Marianem Zdziechowskim, pierwsi spośród polskich środowisk konserwatywnych poparli majowy zamach stanu w 1926 roku dokonany przez Józefa Piłsudskiego. Państwo polskie

eprasa.pl 6011ea9bfc8

przed zamachem majowym było zanarchizowane przez sejmowładztwo, korupcję poselską, partyjniactwo. Cat-Mackiewicz uważał zamach majowy, niewątpliwie będący aktem niepraworządności, za mniejsze zło wobec działań poselskich naruszających fundament państwa. Poparcie przez Cata przewrotu majowego spotkało się z ostrą krytyką endecji, środowisk lewicowych.

Już wcześniej, w 1925 roku, doszło do zbliżenia młodego redaktora „Słowa" z Józefem Piłsudskim. Obaj panowie spotkali się w lipcu tego roku w Druskiennikach i w Wigilię Bożego Narodzenia w Sulejówku. Cat stał się twórcą sojuszu, porozumienia Marszałka ze środowiskami konserwatywnymi, polską arystokracją, ziemiaństwem. Dużym sukcesem politycznym Cata było zorganizowanie w październiku 1926 roku zjazdu „żubrów" wileńskich na zamku Radziwiłłów w Nieświeżu, którego gościem był Józef Piłsudski. Poparcie Marszałka przez konserwatystów pozwoliło mu na uzyskanie dystansu do środowisk lewicowych, a także zdobycie atutów w prowadzonym z endecją sporze politycznym. Cat okazał się świetnym organizatorem, zręcznym politykiem.

Za swego mistrza ideowego Mackiewicz uznawał Władysława Studnickiego, będącego jednym z filarów „Słowa", o którym pisał: „Dla mnie Studnicki to nie ekonomista, nie polityk, to po prostu »jakiś polski święty«. Podobnych należy szukać tylko wśród tych ludzi średniowiecza, którzy wbrew wszystkim, wbrew społeczeństwu, wbrew hierarchom kościelnym, bronili swojej prawdy. Bronili jej wbrew wszystkim, otrzymując od wszystkich za to tylko cięgi".

Obaj bracia Mackiewiczowie darzyli ogromnym szacunkiem Władysława Studnickiego. Józef, choć był, jak pisał w liście do Jerzego Giedroycia, „największym entuzjastą Studnickiego jako człowieka, jego odwagi, jego bezkompromisowości, jego bohaterskiej postawy stawiającej czoło całemu narodowi, wreszcie jego »dziewiętnastowiecznej« uczciwości osobistej" – nie był zwolennikiem jego polityki. Zarówno Józef Mackiewicz, jak i Władysław Studnicki byli skazani na emigracji na ostracyzm, bezpodstawne oskarżenia.

W latach 1928–1935 Stanisław Mackiewicz był posłem na Sejm z ramienia Bezpartyjnego Bloku Wspierania Reform (BBWR). W Sejmie wykazywał się dużą aktywnością, domagał się zmiany konstytucji, zmiany ustroju w kierunku zwiększenia prerogatyw głowy państwa. Częściowo jego postulaty zostały spełnione w zapisach Konstytucji kwietniowej z 1935 roku. Po śmierci Józefa Piłsudskiego 12 maja 1935 roku, Cat przeszedł do opozycji wobec tzw. rządu pułkowników. Z tej pułkownikowskiej grupy najwyżej cenił płk. Walerego Sławka, desygnowanego przez Marszałka na swego następcę i prezydenta RP, ale jak wiadomo, plan ten nie został zrealizowany. W kwietniu 1939 roku płk Sławek popełnił samobójstwo.

W opinii Cata powstały w 1937 roku Obóz Zjednoczenia Narodowego (OZON) realizował bardziej program polityczny Romana Dmowskiego niż Józefa Piłsudskiego. Cat pisał coraz bardziej zjadliwe wstępniaki w „Słowie", coraz częściej też jego teksty były konfiskowane przez cenzurę. Krytykował szczególnie ostro płk. Józefa Becka za prowadzenie nieporadnej polityki zagranicznej. Sojusz z Francją i Anglią w obliczu zagrożenia ze strony Niemiec uważał za egzotyczny, świetnie zdawał sobie sprawę z tego, że ani Francuzi, ani Anglicy nie będą umierać za Polskę. Zdaniem Mackiewicza Polska, przyjmując gwarancje angielskie, ściągnęła na siebie atak niemiecki. Cat krytykował też marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, dowodził, że Polska jest nieprzygotowana militarnie do prowadzenia wojny. Po ukazaniu się na pierwszej stronie „Słowa" karykatury – rysunku ogromnego czołgu niemieckiego z czarnym krzyżem, a naprzeciwko niego małej sylwetki polskiego kawalerzysty z krzywą szabelką, Stanisław Mackiewicz został internowany w obozie w Berezie Kartuskiej. Notabene niegdyś sam był za utworzeniem owego obozu. W Berezie przebywał 17 dni, od 23 marca do 8 kwietnia 1939 roku. Jako bezpośredni powód internowania podano jego artykuł z 18 marca 1939 roku, w którym żądał dozbrojenia Polski przez zaciągnięcie pożyczek za granicą oraz skoordynowanie polityki z Węgrami i Litwą Kowieńską.

Cat miewał jednak odstępstwa od swoich poglądów konserwatywnych, na przykład cenił twórczość Tadeusza Boya-Żeleńskiego, dopuszczał też na łamy „Słowa" lewicową młodzież wileńską, poetów, pisarzy związanych z „Żagarami", m.in. Czesława Miłosza.

Po ataku sowieckim na Polskę Mackiewicz zdążył opublikować ostatni numer „Słowa". „Boże, dopomóż w słusznej walce i zmiłuj się nad Wilnem" – pisał w pożegnalnym artykule z 18 września 1939 roku.

Na emigracyjnym bruku

Stanisław Mackiewicz nie czekał, aż Sowieci wywiozą go na Syberię, wraz z wieloma mieszkańcami Wilna i Kresów udał się na Litwę, a stamtąd dotarł do Paryża. W Wilnie pozostawił poślubioną w 1920 roku żonę Wandę Krahelską oraz dwie córki, Barbarę i Aleksandrę. W grudniu 1939 roku został powołany przez prezydenta Władysława Raczkiewicza w skład Rady Narodowej, namiastki parlamentu. Korzystając z rządowych subsydiów udało się Catowi wznowić we Francji wydawanie „Słowa". Wydanych zostało w sumie 21 numerów. Z pismem współpracowali bracia Wacław i Karol Zbyszewscy, Ksawery Pruszyński, Ignacy Doboszyński, Ignacy Matuszewski.

W czerwcu 1940 roku Francja skapitulowała przed Niemcami, upadł rząd Paula Reynauda i powstał gabinet marszałka Filipa Pétaina, który podjął pertraktacje

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

kapitulacyjne z Niemcami. Stanisław Mackiewicz w obliczu tych zdarzeń zaproponował w rozmowie w cztery oczy prezydentowi Raczkiewiczowi podobny ruch ze strony polskich władz. Propozycje te zostały odrzucone. Mackiewicz po wojnie w wielu publikacjach, choćby w londyńskich „Wiadomościach" czy w książce „Zielone oczy", powracał do tej sprawy. Zdaniem Mackiewicza bohaterski wódz spod Verdun świadomie dla ratowania Francji poświęcił własny honor. „Pétain był całkowicie świadomy swej roli i z góry był przygotowany na to, że czeka go w przyszłości gilotyna i potępienie rodaków – pisał Cat w »Wiadomościach«. [...] Pétain jako patriota, jako charakter, jest godzien najwyższego podziwu".

Cat post factum miał nawet gotowy scenariusz, świadczący o tym, że nie brakowało jego autorowi wyobraźni: „W chwili gdy Francja kapitulowała, rząd polski, rezydujący wówczas w Libourne, mógłby się przyłączyć do tej kapitulacji, wysławszy oczywiście do Londynu gen. Sikorskiego, aby odegrał tam rolę de Gaulle'a. Gdyby gen. Sosnkowski podjął się roli Pétaina, Hitler by z nim pertraktował. Oczywiście że Sikorski musiałby ogłosić w Londynie Sosnkowskiego za zdrajcę, a po wojnie naród polski Sosnkowskiego by skazał na śmierć. Ale byłoby zapewne w Polsce o kilka milionów mniej trupów, i polski organizm narodowy nie byłby tak zniszczony przez tę wojnę i przez ofiary całkowicie niepotrzebne. Ale my mamy trochę inne pojęcie. »Vitam patriae, honorem nemini«. Z naszych generałów każdy z największą pogardą i największym oburzeniem odrzuciłby proponowaną sobie rolę Pétaina jako niezgodną z jego honorem. Ojczyźnie gotowi byli dać swe życie, ale nie swój honor".

Po klęsce Francji Cat wyjechał wraz z innymi politykami, działaczami, dziennikarzami do Londynu. Tutaj w krótkim czasie powstała jego „Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.", błyskotliwy esej o dziejach dwudziestolecia międzywojennego, może z przesadzonym tytułem. Zaczął ją pisać we wrześniu 1940 roku i dedykował córkom „Basi i Ali z Jańcza Mackiewiczównom". Esej ten jest dobrym przykładem, jak pisać o historii i nie zanudzać. Później, po latach, napisze w „Zielonych oczach", że „o historii trzeba mówić pogodnie i anegdotycznie". Dzieje dwudziestolecia to historia konfliktu dwóch geniuszy politycznych, Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego, twórców odrodzonej Rzeczypospolitej. Mackiewicz ubolewał, że ci dwaj wybitni ludzie musieli żyć obok siebie. Obaj posiadali bezkrytycznych wyznawców, którzy toczyli ze sobą boje. W 1943 roku wyszedł spod pióra Cata szkic biograficzny „Klucz do Piłsudskiego", jednak książka nie zyskała już takiej popularności jak „Historia...".

W Londynie przeszedł do opozycji wobec rządu RP. Generała Władysława Sikorskiego, ówczesnego premiera i naczelnego wodza w jednej osobie, krytykował za prowadzenie polityki wschodniej, przede wszystkim za zawarcie fatalnego w skutkach układu z Sowietami, tzw. paktu Sikorski–Majski, który w żaden sposób nie gwarantował utrzymania na wschodzie granicy ryskiej. Po powrocie Sikorskiego z Moskwy w grudniu 1941 roku domagał się postawienia rządu przed Trybunałem Stanu. Jeszcze bardziej krytyczny był wobec Stanisława Mikołajczyka, który objął urząd po Sikorskim. Mikołajczyka nazywał handlarzem i szachrajem. Głównym kryterium oceny każdego polityka na emigracji przez Cata był jego stosunek do granic na wschodzie. Cat nie wyobrażał sobie, by Polska mogła utracić Kresy. Z emigracyjnych polityków najbardziej cenił gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

Kiedy rząd odmówił Catowi przydziału papieru na tygodnik, własnym sumptem wydawał broszury, w których toczył polemiki z politykami rządowymi. Począwszy od października 1941 roku do końca wojny wydał 36 broszur, a ogółem w czasie pobytu na emigracji – ponad 40. Jego działalność określano nawet „działalnością broszurową". Wyszydzał głupotę polskich polityków, którzy naiwnie wierzyli, że alianci zadbają o polskie sprawy. Dowodził, że Anglikom zależało wyłącznie na polskim mięsie armatnim, podobnie jak na hinduskim, nowozelandzkim czy australijskim. Cat piętnował kompleks niższości polskich polityków wobec polityków Zachodu. Oczywiście adwersarze nie pozostawali mu dłużni, zarzucali mu porywczość, niewyparzony język, brak poczucia odpowiedzialności.

Mackiewicz w swoich broszurach kreślił sylwetki polityków realistów, prezentował ich sposób myślenia o polityce. Pisał m.in. o Talleyrandzie, Bismarcku, analizował politykę prowadzoną przez Churchilla, Stalina, de Gaulle'a. Nie trzeba dodawać, że sam uważał się za realistę politycznego. Boje toczył niemal ze wszystkimi, mając jedynie wsparcie w emigrantach pochodzących z Kresów.

▶ Bracia

Po 1945 roku Cat pozostał na emigracji. Nadal najważniejsze były dla niego sprawy obrony Kresów. W 1946 roku zaczął wydawanie i redagowanie tygodnika „Lwów i Wilno". Z pismem współpracowali dawni publicyści z wileńskiego „Słowa": Władysław Studnicki, Michał Kryspin Pawlikowski, Wacław Zbyszewski, do tygodnika pisał też brat Józef, który w 1945 roku znalazł się na emigracji. Większość artykułów Cata skierowanych było przeciwko Anglii i Anglikom.

W maju 1949 roku Józef zerwał współpracę z redagowanym przez Cata tygodnikiem. W liście do brata z 12 maja tłumaczył swoją decyzję: „Drogi Stasiu, po długim przyznam namyśle, ale ostatecznie powziąłem decyzję powstrzymania się od dalszego pisania do »Lwowa i Wilna«, decyzję, którą przyspieszył Twój ostatni artykuł pt. »Odpowiedź P. Bierutowi«. [...] Poświęcanie łamów »Lwowa i Wilna« systematycznej walce z prawdziwą czy

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

urojoną agenturą amerykańską, w chwili, powtarzam, gdy toniemy po uszy w agenturze sowieckiej, wydaje mi się co najmniej za jednostronne, za jednostronność wysoce szkodliwą w otaczającej nas rzeczywistości. Ponieważ uważam, że każdy pisarz odpowiedzialny jest nie tylko za to co pisze, ale i za to, co przemilcza, tedy przemilczając te sprawy na łamach »Lwowa i Wilna«, czuję się za to milczenie współodpowiedzialny, gdyż 99 % czytelników nie wie o tym, że pewnych dziedzin poruszać nie mogę, jak to m.in. wykazał casus z moim artykułem o Bierucie, którego Tyś nie zgodził się wydrukować".

Właściwie drogi Józefa i Stanisława wówczas się rozeszły.

Obu braci ukształtowało Wilno, w tym mieście obaj chodzili do prywatnego Gimnazjum im. Winogradowa. Obaj walczyli jako ochotnicy z bolszewikami w oddziale kawalerii braci Jerzego i Władysława Dąbrowskich, słynnych zagończyków. Nie sposób ich nie porównywać – obaj są fascynującymi pisarzami, obaj byli nieprzeciętnie inteligentni, osamotnieni i bezkompromisowi w ferowaniu swoich intelektualnych, politycznych poglądów. Gdyby dalej szukać podobieństw braci, to na pewno obaj byli niepodatni na nacjonalizm, był im on obcy. I jeden, i drugi byli wrogami sanacji po śmierci Piłsudskiego. W „Roku myśliwego" Czesław Miłosz nazwał Stanisława „krwistym awanturnikiem" pośród szlachty Wielkiego Księstwa Litewskiego, a Józefa określił jako „typ awanturnika cichego a zaciekłego, co to nie popuści". Józef lubił przyrodę, obcowanie z prostymi ludźmi, był liberałem zabiegającym o prawa człowieka, godność, wolność. Stanisław podkreślał przynależność do stanu szlacheckiego, był konserwatystą, lubił bywać na arystokratycznych salonach, aktywne, dostatnie życie. Do dzisiaj i Józef, i Stanisław wzbudzają kontrowersje, są niezrozumieni, ich styl myślenia wymaga wysiłku, odwagi odrzucenia wtłaczanych do głów banałów, stereotypów na temat polskiej historii, filozofii polityki.

Cat pisał w listach do Michała K. Pawlikowskiego o tym, jak bardzo bolało go to, że Józef zerwał z nim kontakty: „Józio wchodząc do autobusu, którym wszyscy jechaliśmy na pogrzeb Studnickiego, odwrócił głowę, aby się nie przywitać ze mną" (21 stycznia 1953 roku). Podobnych zdań można znaleźć w listach więcej, najbardziej chyba obraźliwe jest następujące: „Józio jako pisarz jest człowiekiem wielkiego talentu, tylko jako polityk jest dureń, a jako brat – skończona świnia".

Józef niewątpliwie w życiu kierował się zawsze zasadami moralnymi. Stanisław pogubił się, odsunął na bok wartości moralne, o tym mogą świadczyć choćby niektóre listy pisane do Michała K. Pawlikowskiego, ale też późniejsze jego kontakty z funkcjonariuszami komunistycznych służb specjalnych. W przeciwieństwie do Józefa gotów był opuszczając emigrację poświęcić swój honor dla lepszego, wygodniejszego życia, a to lepsze życie mieli mu zapewnić komuniści. Przed wojną Józef żył w cieniu starszego brata, pisał w „Słowie" o sprawach lokalnych, przyziemnych, Stanisław zajmował się wielką polityką, brylował na politycznych salonach, po wojnie Józef dzięki swojej twórczości literackiej, politycznej przyćmił brata.

Józef Mackiewicz w liście z 6 stycznia 1958 roku skierowanym do siostry, Seweryny Orłosiowej, podał inny powód zerwania stosunków ze Stanisławem: „Ja zerwałem z nim nie dziś, a równo dziesięć lat temu. Była taka afera: tutejszy wódz emigracji w sposób niesłychanie bezczelny ukradł mi napisaną na zamówienie książkę i – wydał pod swoim nazwiskiem po francusku. W dodatku nie zapłacił pieniędzy. Naturalnie miał wszystkich ludzi w kieszeni, a ja byłem zupełnie bezsilny, żeby się procesować, albo chociaż znaleźć sojuszników dostatecznie wpływowych. W normalnych warunkach byłby to skandal na miarę państwową, a krzywda mnie wyrządzona wprost niesłychana. W tym czasie Staś kręcił właśnie tam »na górze«. Pierwszy raz zwróciłem się doń z konkretną prośbą, aby zechciał mnie poprzeć w całej sprawie. Otóż nie tylko nie poparł, ale kręcąc się jak zawsze u tronu wodza, »sprzedał« mnie, jak słusznie mówi Barbara [chodzi o Barbarę Toporską-Mackiewiczową – przyp. D.J.]" (Kazimierz Orłoś „Józef Mackiewicz w świetle listów rodzinnych, Zmagania z historią. Życie i twórczość Józefa Mackiewicza i Barbary Toporskiej", IPN, Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu, Warszawa 2011).

Cat premierem

Cat nigdy nie poznał dobrze języka angielskiego, obracał się jedynie w bardzo wąskim polskim towarzystwie. Czuł się obco w Anglii, nie lubił Londynu. Anglików nie znosił wręcz chorobliwie, ich język uważał za jakiś niewykształcony żargon. W liście do Michała K. Pawlikowskiego pisał w 1953 roku o Anglikach jako o urodzonych sadystach: „Francuzi mordują dla pieniędzy albo z zazdrości, miłości i innych rzeczy wybaczalnych, albo wreszcie w gniewie. Natomiast Anglik morduje dla samego procederu. On morduje ciotkę, sieka ją na kawałki, robi z niej plum pudding i dopiero później chędoży. Na tym polega wielka różnica".

Po przegranym procesie w sądzie angielskim Cat musiał zamknąć w 1950 roku tygodnik „Lwów i Wilno". Sąd nakazał Mackiewiczowi wypłacić kwotę 4 tys. funtów Tadeuszowi Zawadzkiemu-Żenczykowskiemu jako zadośćuczynienie za zniesławienie go. Cat napisał o nim, że to „były szef propagandy Ozonu, czyli swego rodzaju Goebbels obozu sanacyjnego". Mackiewicz nie zapłacił Zawadzkiemu zasądzonej kwoty, bo po prostu nie miał takich pieniędzy. Żył z dnia na dzień, ledwo wiązał koniec z końcem, tonął w długach. Pisał błagalne listy do

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Grydzewskiego i Giedroycia, by zapłacili mu zaliczki, bo nie ma co jeść. Jeżeli uzbierał jakąś większą kwotę, to przejadał ją w jeden wieczór w dobrej restauracji.

Na początku lat 50. doszło do współpracy części polskiej emigracji z amerykańskim i angielskim wywiadem. W zamian za utrzymywanie łączności z krajem i przekazywanie informacji o tym, co się dzieje za żelazną kurtyną, politycy Rady Politycznej, organu o charakterze parlamentu, otrzymywali duże sumy pieniędzy. Ważnym celem było też szerzenie nastrojów antykomunistycznych w Polsce, podtrzymywanie oporu wobec komunistów. Wywiad PRL rozpracował akcję, wprowadził swoją agenturę do środowisk emigracyjnych, do struktur łączności, kurierów, mało tego, Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego przejęło większość pieniędzy przez podstawionych kurierów. Akcja współpracy emigracyjnych polityków z obcymi wywiadami została nazwana aferą Bergu. W 1953 roku władze PRL ujawniły aferę, co stało się przyczyną długotrwałego kryzysu naszej emigracji politycznej w Londynie. Emigracja została mocno skompromitowana przez komunistów jako „chodząca na pasku obcych wywiadów".

Stanisław Mackiewicz poddał ostrej krytyce w swoich broszurach polityków Rady Politycznej. Tak się złożyło, że w aferę Bergu byli uwikłani politycy opozycyjni wobec grupy „Zamku", czyli prezydenta RP, Augusta Zaleskiego. 8 czerwca 1954 roku prezydent Zaleski powołał Stanisława Mackiewicza na urząd premiera. Funkcję tę sprawował formalnie do 8 sierpnia 1955 roku, a faktycznie do 21 czerwca.

Realnej władzy, jak wiadomo, premier Rządu RP na Uchodźstwie nie posiadał, miał za to do wypełnienia sporo obowiązków o charakterze kurtuazyjnym, reprezentacyjnym. Pełniąc funkcję premiera, Cat podreperował swoje finanse, nie musiał już prosić o pożyczki czy zaliczki. W czasie pełnienia urzędu nie zajmował się pracą literacką, jego ostatnią książką była biografia króla Stanisława Augusta Poniatowskiego wydana w 1953 roku.

Po złożeniu urzędu Cat powrócił do realizacji planów powrotu do Polski. Kilka tygodni po dymisji swego rządu spotkał się z Jerzym Putramentem, wilniukiem, pisarzem, działaczem komunistycznym. „Żaląc się na bardzo złą sytuację materialną, wziął od Putramenta 240 funtów tytułem »osobistej pożyczki«" (Krzysztof Tarka „Powrót Cata", „Newsweek", nr 25, 2004).

Już w 1947 roku przemyśliwał o powrocie do kraju – prowadził na ten temat rozmowy z Jerzym Borejszą, Jerzym Putramentem, Jerzym Michałowskim, ówczesnym ambasadorem komunistycznej Polski w Londynie. 25 czerwca 1949 roku rezydent wywiadu PRL w Londynie, kapitan Marcel Reich-Ranicki, późniejszy słynny krytyk literacki w Niemczech, podjął próbę zwerbowania Cata. Mackiewicz odmówił: „[...] nie mogę się zgodzić pod żadnym pozorem na jakąkolwiek niejawną współpracę. To jest całkowicie wykluczone. Nie jestem materiałem na konfidenta".

W sierpniu 1955 roku został zarejestrowany przez Departament I Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego jako kontakt operacyjny „Rober", co zdaniem historyków IPN, Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka, badających tę sprawę, nie dowodzi, że podjął agenturalną współpracę, chociaż „od marca do czerwca 1956 otrzymał od oficera Departamentu I 1085 funtów, później jeszcze 300 dolarów amerykańskich".

W kwietniu 1956 roku, a więc na krótko przed przyjazdem do Polski, Cat pisał do Jerzego Putramenta: „W Polsce od założenia »Słowa« w roku 1922 do września roku 1939 byłem uczniem Władysława Studnickiego. Główne niebezpieczeństwo widziałem w Rosji, a główny cel swego życia w obronie Ziem Wschodnich. Byłem człowiekiem o wiele inteligentniejszym od tych, którzy dawali się unieść wiarą w siłę powersalskiej Polski i moja doktryna polegała na tym, że nie możemy wojować na dwa fronty, toteż chciałem dobrych stosunków z [Franzem von] Papenem, chciałem dobrych stosunków z Hitlerem, byłem przeciwnikiem wzniecania waśni na dwa fronty. Będąc uczniem Studnickiego, sam stworzyłem szkołę myślenia, której najwybitniejszym przedstawicielem był Adolf Bocheński. Moi koledzy ideowi, do których należał i Pruszyński, i Aleksander Bocheński, wyprzedzili mnie w roku 1945. Jeśli zostałem na emigracji, to dlatego, że moje przywiązanie do Wilna było zbyt silne. Ale przyznaję, że oni mnie wyprzedzili, zresztą nigdy ich nie potępiałem. Na emigracji, dopóki były jakieś możliwości nadziei, prowadziłem walkę o nadanie polityce polskiej charakteru antyrosyjskiego. W tym celu wydałem przeszło czterdzieści broszur w walce z polityką Sikorskiego i Mikołajczyka. Walka całego mego życia była najzupełniej ideową".

Przyjazd Cata do Polski rządzonej przez komunistów wywołał wielkie poruszenie, wszak przyjeżdżał do kraju jako były premier Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie, będącego kontynuacją rządu II RP. Polska emigracja uznała ten fakt za zdradę i dezercję, bo to ona była depozytariuszem trwania niepodległego polskiego państwa, honoru, niezłomności, bez względu na to, jakie targały nią wówczas nieporozumienia. Stanisław Mackiewicz przyjeżdżając do PRL-u, legitymizował władzę komunistyczną narzuconą przez Moskwę. I kto jak kto, ale on sobie zdawał z tego sprawę. ■

_____

Bibliografia: Jerzy Jaruzelski „Stanisław Cat Mackiewicz 1896–1966, Wilno – Londyn – Warszawa, Warszawa 1987; Jadwiga Karbowska „Z Mackiewiczem na ty", Warszawa 1994; Grzegorz Eberhardt „Pisarz dla dorosłych. Opowieść o Józefie Mackiewiczu", Wrocław 2008; „Odsłony Cata. Stanisław Mackiewicz w listach", KARTA, Warszawa 2020.

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Agnieszka Kowalczyk

„Ja w piersi mam i gwiazdy, i harfy, i miecze!”

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

W polskiej literaturze Kazimiera Iłłakowiczówna stanowiła zjawisko odosobnione, „typ twórczy najzupełniej jednostkowy i konsekwentnie samotniczy” – mówił o niej Witold Hulewicz. Była nie tylko uznaną poetką i tłumaczką, lecz także siostrą miłosierdzia na froncie I wojny światowej, jedyną kobietą na stanowisku urzędniczym w Ministerstwie Spraw Zagranicznych II RP, wreszcie osobistym sekretarzem Józefa Piłsudskiego.

O tym, że coś „rusałczanego” kryło się w jej jasnoniebieskich oczach i „nieco drapieżnym uśmiechu”, i że wytwarzała wokół siebie jakąś „srebrzysto-melancholijną aurę”, pisze w swej książce „Iłła. Opowieść o Kazimierze Iłłakowiczównie” Joanna Kuciel-Frydryszak, odsłaniając drogę życiową tej znanej polskiej intelektualistki, która niemal przez blisko sto lat zmagała się z tym, co niósł jej przekorny los.

Wnuczka „Promienistego”

Przyszła na świat w Wilnie, w 1889 roku, jako nieślubne dziecko Barbary Iłłakowiczówny – nauczycielki języków obcych – i Klemensa Zana – wziętego adwokata, działacza antycarskiej organizacji Ziemia i Wolność, człowieka żonatego, ojca czwórki dzieci. Przez całe życie ukrywała prawdę o swoim pochodzeniu, uważając, że jest ono czymś wstydliwym i społecznie dyskryminującym. Stanowiła bowiem owoc zakazanej miłości, podobnie jak urodzona kilka lat wcześniej jej siostra Basia. Dziadkiem Iłły – jak sama siebie nazwała – był „Promienisty”, uzdolniony poetycko Tomasz Zan – serdeczny przyjaciel Adama Mickiewicza, twórca tajnych stowarzyszeń młodzieżowych, aresztowany i zesłany w głąb Rosji. Drugi zaś dziad przyszłej poetki, Zygmunt Iłłakowicz, był poliglotą i po nim to Iłła odziedziczyła talent do języków, gdyż biegle władała francuskim, angielskim, niemieckim, rosyjskim, znała też węgierski i rumuński, co ułatwiło jej przetrwanie II wojny światowej z dala od ojczyzny.

Nowy dom u „matki Zofii”

Kazimiera miała zaledwie kilka lat, gdy na gruźlicę zmarła jej matka – samotna, trzydziestoletnia kobieta, zubożała i pozbawiona wsparcia bliskich. Żegnała się z życiem w majątku swych krewnych mieszkających w Śniegach koło Wilna. By chronić dziewczynki przed społecznym napiętnowaniem z racji ich urodzenia, postanowiła „przypisać” je do innych rodzin – starszą Basię adoptowali krewni Wołkowie, a Kazimierę – brat matki Jakub. Po pogrzebie zostały rozdzielone – Barbara pojechała do Warszawy, a Kazimiera do wujostwa w Dyneburgu, gdzie czuła się bardzo nieszczęśliwa, zaniedbywana i skazana jedynie na posługi ordynansa. W tym czasie w jej fotografię, znajdującą się w krasławickim dworze, z zaciekawieniem wpatrywała się goszcząca w nim pewna arystokratka Zofia Buyno z Plater-Zyberków. Dowiedziawszy się, że jest sierotą, postanowiła się nią zaopiekować. I tak nowym domem Kazimiery stał się majątek hrabiny w Baltynie na Witebszczyźnie, a ona sama – najbliższą i najdroższą osobą, którą dziewczynka szczerze pokochała, nazywając

fot. NAC

eprasa.pl 5e1ea9bfc8

„matką Zofią". Jej postać zawsze fascynowała Iłłakowiczównę, pociągała swą szlachetnością i pełną godności postawą wielkiej damy, która wywodziła się z tego samego rodu co Emilia Plater.

Hrabina uczyła ją języków obcych i dobrych manier, czuwając nad jej intelektualnym i duchowym rozwojem. Namówiła nawet Kazimierę do prowadzenia pamiętnika, w którym spisywała najskrytsze myśli i przeżycia, dzieląc się nimi ze swą opiekunką i otwierając przed nią tajnie własnej duszy. Więź łącząca obydwie była szczególna. Iłłakowiczówna czuła się akceptowana, kochana i bezpieczna. Jakże wielka była radość dziewczyny, gdy okazało się, że w domu hrabiny zamieszka także jej siostra Basia, z którą przed laty musiała się rozstać. Odtąd wspólnie już dzieliły obowiązki i przyjemności. Nie miały czasu na nudę wychowywane zgodnie z nowoczesnymi metodami pedagogicznymi Pestalozziego – najpierw lekcje do godziny drugiej, po obiedzie obowiązkowy spacer, a potem wspólny czas spędzony z hrabiną na głośnej lekturze francuskich i niemieckich książek albo na słuchaniu wykładu o historii Polski. Niedzielę uświęcał wyjazd do kościoła w Indrycy bądź w Warnowiczach, bo hrabina przywiązywała ogromną wagę do wpajania swym podopiecznym chrześcijańskich wartości. Pod bacznym jej okiem dziewczęta odkrywały też swoje talenty literackie – zachwycały się Trylogią Sienkiewicza, pisały wiersze, a wieczorami opowiadały sobie fabuły wymyślonych książek. Radość pisania była ogromna!

„Mam na czole czarną plamę"

Ostatnie klasy gimnazjum zgodnie z wolą hrabiny Iłłakowiczówna miała ukończyć w Warszawie, w katolickiej szkole prowadzonej przez Cecylię Plater-Zyberk. I tam to właśnie doznała wielkiego upokorzenia i wstrząsu, dowiadując się od jednej z nauczycielek, że nie powinna z nikim otwarcie rozmawiać o swoim pochodzeniu, bo jest napiętnowana, skalana... Pytając hrabinę, co znaczą te słowa, dowiedziała się prawdy o swoich rodzicach. W akcie rozpaczy i buntu postanowiła niezwłocznie porzucić szkołę, „matkę Zofię" i wyjechać gdzieś daleko, gdzie nikt jej nie zna. Hrabina zaś nie była w stanie jej zatrzymać. Z tego okresu pochodzi przepojony cierpieniem wiersz Kazimiery „Czarna plama": „Noszę hańby czarnej znamię/na czole.../Aż się serce z bólu łamie, / gdy na moje patrzą znamię/ ludzie. Jego zmyć nie mogę,/ więc w daleką pójdę drogę,/ przez pole". Wyruszyła zatem do Petersburga, gdzie kontynuuowała naukę i gdzie rodziła się jej młodzieńcza poezja. W „Tygodniku Ilustrowanym" zamieszczony został debiutancki utwór Iłły pod tytułem „Jabłonie", wzruszający i nastrojowy. Ona tymczasem stała się świadkiem rewolucji 1905 roku i „z ramion gorliwej katoliczki, jaką była hrabina Buyno, wpada wprost w objęcia młodzieży postępowej". Rozżalona i zagubiona odsunęłą się od Boga i uznała za zdeklarowaną ateistkę. Nie zerwała jednak całkowicie z hrabiną. Spotykały się we Fryburgu w Szwajcarii, dokąd przeniosła się Zofia. Nadal dbała ona o edukację swej podopiecznej, wysyłając ją do Genewy, by tam uczyła się angielskiego. Ambitna i chłonna wiedzy Kazimiera wyjechała następnie do Oksfordu i w prestiżowym college'u Norham Hall ukończyła szkołę dla zagranicznych studentek języka angielskiego, literatury i historii Anglii. W Londynie natomiast trafiała pod skrzydła cenionej pisarki Elsy D'Esterre-Keeling, znanej wszystkim jako Amica. Prowadziła ona jedyny w swoim rodzaju salon literacki w miejscu, które zyskało miano Domu Prostego Życia, gdzie „łóżka zamieniały się w stoły, nie było ani firanek, ani dywanów. Obowiązywała surowa dieta, żadnego mięsa i jaj, podstawą były herbata, marmolada pomarańczowa, orzechy, mleko i warzywa". Pod czujnym okiem swej mentorki Iłłakowiczówna brała udział w warsztatach literackich, zgłębiała sztukę przemawiania i kompozycji, stając się mistrzynią w pojedynkach literackich. Los jednak okazał się dla niej bezlitosny. Oto poraziła ją wieść, że „matka Zofia" jest ciężko chora, że to nowotwór i że zostało jej niewiele czasu. Rzuciła więc wszystko i pojechała do Fryburga. Czuwała przy niej aż do śmierci. „Tęsknię do ciebie stąd! [...]/ tylko mi jedno pomaga/ – nić, którą ty w górze trzymasz./ Po tej nitce takiej znikomej – / spływa miłość niby rosa po źdźbełku słomy" – pisała, nie mogąc sobie wybaczyć, że się od niej odsunęła.

Na Szlaku u Piłsudskiego

Jej nowym domem stał się artystyczny Kraków przesiąknięty wciąż duchem młodopolskiej bohemy. Tam w 1910 roku rozpoczęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pochłaniały ją zwłaszcza zajęcia z historii literatury za Zygmunta Augusta, twórczość poetów polskich II połowy XIX wieku, arkana teorii poznania, wykłady o Szekspirze. Jej mistrzami byli legendarni profesorowie krakowskiej polonistyki – Ignacy Chrzanowski i Stanisław Windakiewicz. W 1912 roku ukazał się jej pierwszy tomik poetycki „Ikarowe loty", opublikowany pod nazwiskiem K.I. Iłłakowicz. Sądziła bowiem, że jako pisząca kobieta może zostać odrzucona, choć w istocie krytyk literacki Jan Dąbrowski przypisał jej prawdziwy talent poetyckiego patrzenia na świat, porównując ze Słowackim. Równie pochlebne opinie pojawiły się w wileńskim „Słowie", „Museionie" i w „Kurierze Warszawskim". Z „ogniw tego cyklu bryzgają krew i łzy" – pisał Czesław Jankowski, dostrzegając, że

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

młodopolskie poczucie smutku i marazmu zostało przezwyciężone w nim przez wiarę, optymizm i gotowość podjęcia czynu.

Kraków miał dla Iłłakowiczówny swój szczególny urok także dlatego, że spotkała w nim Józefa Piłsudskiego, który wraz ze swą żoną Marią mieszkał przy ulicy Szlak. To właśnie pod ten adres przychodziła w odwiedziny do swojej siostry Basi, która pomagała przyszłemu Marszałkowi w redagowaniu pism wojskowych. „Na Szlaku było ciasno i ubogo – wspominała Iłła – pachniało mocno kuchnią, pani Maria gospodarowała z jowialnym hałasem, który mnie dręczył". To miejsce jednak, pełne życia i gwaru, przyciągało ją z magnetyczną siłą za sprawą Komendanta, który na Kazimierze już na samym początku uczynił niesamowite wrażenie. Wspominała później, że promieniowała od niego „dobroć ojcowska, łagodność zupełnie nasza, litewska, wileńska. W stosunku do mojej sierocej, surowej młodości [...] miał tylko wyrozumiałość. Śmiał się do łez [...] z moich zmartwień karnawałowych i z mojego nieporadnego stosunku do rzeczy najważniejszych – politycznych".

Wówczas to Iłłakowiczówna publikowała już w prestiżowym piśmie „Krytyka" redagowanym przez Wilhelma Feldmana. Autorka jej biografii zdradza, że „jest „pewna siebie i świadoma wartości swojej poezji, targuje się twardo o honoraria, stawia warunki (piętnaście halerzy od wiersza) [...] i denerwuje się, kiedy omyłkowo jej wiersz zostaje wydrukowany jako utwór Iłłakowiczówny. Chce pozostać Iłłakowiczem, domaga się utrzymania tej formy nazwiska". Czym była dla niej poezja? Czy kwestią natchnienia, czy skomplikowanym procesem twórczym? Wyznała, że dla niej „wiersz rodzi się z poczucia samotności i jako ucieczka od ciżby, z siły i bezsiły, z szoku radosnego i bolesnego, ale najpewniej – z nudy, z pustki. Natchnienie? Nic o nim nie wiem. Talent – jest jak zapasy w spiżarni. Skoro tam są, no to są, można po nie sięgać".

Wojenna misja Iłły

W 1914 roku wyjechała na kilka tygodni do Londynu, gdzie poznała bliżej Mariana Dąbrowskiego, męża autorki „Nocy i dni", i od niego dowiedziała się, że Piłsudski tworzy w Galicji Legiony Polskie i że w Londynie powstaje wspierająca je organizacja wojskowa. Natychmiast do niej wstąpiła, opłaciła składki, a nawet zamierzała nauczyć się strzelania. To jednak dla niej wciąż za mało, więc uparła się, by wstąpić do wojska i zostać prawdziwym żołnierzem. Pragnęła swym piórem służyć walczącym, więc napisała wzywającą do boju pieśń „Trzy struny", w której mocno wybrzmiewa tyrtejskie wezwanie: „Do broni!". Wiersz ten przesłała Piłsudskiemu z myślą, że stanie się hymnem Legionów. Jednocześnie zaproponowała mu, że zostanie jego adiutantem.

Piłsudski tłumaczył jej jednak, że jest przeciwnikiem służby kobiet w wojsku i że ich miejsce może być jedynie w służbach pomocniczych. Urażona Iłła podarła list, nie traciła jednak bojowego ducha. Stworzyła przepojony patriotycznym uczuciem tomik „Wici" i postanowiła zostać siostrą miłosierdzia na froncie. Weszła w skład czołówki sanitariuszek, której patronką była księżna Franciszka Woroniecka. Ta zakupiła siedmiu siostrom jednakowe granatowe suknie z białym kołnierzykiem od Hersego, a do tego sprawiła im porządne buty od Kasprowicza i biało-granatowe czepki. Tak przysposobiona do służby Kazimiera zasiadła ze współtowarzyszkami na wozie osłoniętym brezentowym daszkiem. Odtąd „wędrują po wielkich połaciach carskiej Rosji. Śpią w zgrzebnych, zapchlonych chałupach, w których rozstawiono kilkanaście łóżek, bez wychodków, gdzie w kącie za prześcieradłem stoi kubeł do mycia, z żelazną kozą obok. Czasem sypiają w ziemiankach [...]. Jak na Wołyniu, gdzie wykopano je w glinianym brzegu długiego stawu". Dla Iłłakowiczówny czas wojny to czas wewnętrznej przemiany. Poznaje, czym jest ludzkie cierpienie, bezradność wobec śmierci, okrucieństwo wojny... Przez dziesięć lat „nieprzyjaciółka Boga" przechodzi głębokie nawrócenie i odzyskuje wiarę. Stało się to w czasie, gdy zachorowała na czerwonkę i gdy z frontu przewieziona została do szpitala polowego w Mińsku, gdzie „z czarnego pyska śmierci" wyrwał ją żydowski doktor. Krwawa wojna, rewolucja w Rosji, szerzący się głód i umacniający bolszewizm sprawiły, że równocześnie rosła w niej i umacniała się „zupełna, żarliwa i bezapelacyjna wiara w Józefa Piłsudskiego".

W „najciekawszym biurze stolicy"

W ostatniej chwili udało się jej uciec z ogarniętego bolszewicką rewolucją Piotrogrodu. Wróciła szczęśliwie do ojczyzny – była zupełnie sama, bez pieniędzy, domu i rodziny. Cały jej kapitał to wykształcenie i gruntowna znajomość języków. Zamierzała zainstalować się na stałe w Warszawie, a o pomoc w znalezieniu pracy poprosiła Piłsudskiego. Wkrótce potem, bo już 15 listopada 1918 roku, została zatrudniona na stanowisku młodszego referendarza w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i była jedyną kobietą, która piastowała w nim urząd. Jednym z jej pierwszych zadań było przetłumaczenie na francuski i wystukanie na maszynie depeszy obwieszczającej Europie, że rodzi się wolna Polska. Mimo iż dyskryminowana przez mężczyzn, którzy nie tolerowali kobiet na stanowiskach urzędniczych, czuła się szczęśliwa. Mieszkała teraz w pokoiku wynajmowanym w oficynie Pałacu Błękitnego przy Senatorskiej.

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Wzorowo wykonywała swoje obowiązki, nie rezygnując z uprawiania twórczości literackiej. Bycie urzędniczką państwową i bycie poetką to dwie integralnie ze sobą związane sfery życia. Do jej mieszkania pielgrzymowali poeci z kręgu Skamandra z prośbą, by przystąpiła do ich ugrupowania. Iłłakowiczówna zgadziła się i odtąd widzimy ją na wieczorach poetyckich w legendarnej kawiarni „Pod Pikadorem".

Wydarzeniem, które wstrząsnęło Iłłakowiczówną, była tragiczna śmierć prezydenta II Rzeczypospolitej Gabriela Narutowicza. W 1922 roku został on szefem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a więc jej nowym zwierzchnikiem. W oczach poetki był człowiekiem sprawiedliwym i wielkodusznym, prostym w obejściu i pełnym swoistego, litewskiego humoru. Po wyborze na prezydenta stał się ofiarą rozwścieczonej prawicy. W dniu jego zaprzysiężenia nienawistny tłum opozycjonistów obrzucił go kamieniami, kijami i lodowymi bryłami, a jeden z mężczyzn zamierzył się na niego laską z żelazną gałką, ale pod spojrzeniem prezydenta spuścił wzrok i zaniechał ataku... Najgorsze jednak miało nadejść za kilka dni w Salonie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. W tym właśnie feralnym momencie w gmachu znalazła się również Kazimiera w towarzystwie zaprzyjaźnionego malarza Jana Henryka Rosena. Nagle usłyszeli za sobą trzy strzały, a potem rozdzierający krzyk i płacz. Jedna z kul przeszyła pierś prezydenta. Śmierć zadał mu Eligiusz Niewiadomski – fanatyczny narodowiec, malarz, profesor Akademii Sztuk Pięknych. Prezydent leżał na podłodze, oparty głową o kolana klęczącej przy nim Iłłakowiczówny, która rannemu pospieszyła z natychmiastową pomocą. Na umierającego z beznamiętnym wyrazem twarzy patrzył morderca. „Wydawało mi się okropnym – wyznawała – aby Prezydent, o ile jeszcze coś widział, musiał ciągle na niego właśnie patrzeć. Błagałam kogoś, aby go zabrali. Wyprowadzono go do sali, gdzie wisi »Grunwald«". Prezydent już nie żył. Iłłakowczówna zamknęła mu oczy, a twarz owinęła szalikiem. Ręce przesiąkłe krwią zamordowanego umyła dopiero w gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

▶ Osobisty sekretarz Marszałka melduje się!

W 1926 roku Piłsudski zaproponował Iłłakowiczównie, by została jego osobistym sekretarzem w Ministerstwie Spraw Wojskowych. I choć wymawiała się, że nie jest socjalistką, że nie czyta lewicowego „Kuriera Porannego", wreszcie, że nie lubi wojska, to jednak w końcu przystała na jego propozycję. Od 26 czerwca rozpoczęła więc swoje urzędowanie w przestronnym, jasnym pokoju przy ulicy Królewskiej. Jej zadaniem było dbać o wizerunek Marszałka i być łączniczką między nim a obywatelami. Odpisywała na wszystkie listy, które przychodziły do państwa Piłsudskich, oraz dysponowała pieniędzmi przeznaczonymi na zapomogi. Piłsudski nie krył przed nią, z czym będzie musiała się zmagać na co dzień: „Będą ciebie oczerniać, będą na tobie psy wieszać. Reputacji możesz się spodziewać jak najfatalniejszej... Nie zostawią na tobie suchej nitki". Od razu też otrzymała do rozpatrzenia dwa kosze listów i podań. Pierwszym przyjętym przez nią interesantem okazał się rabin z Baranowicz, który chciał udzielić błogosławieństwa Marszałkowi, a pierwszym prezentem przyjętym w imieniu swego zwierzchnika był obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej, który ku jego uciesze zaraz powiesiła na ścianie. W pracy musiała być twarda i nieustępliwa, ze stoickim spokojem znosić wszelkie awantury i skargi ze strony niezadowolonych z załatwienia sprawy. Z biografii poetki dowiadujemy się, że „listy pisali wielbiciele i czciciele Marszałka, biedni prosili o zapomogę, chłopi o komasację ziemi, niewidome dzieci przysyłały zrobioną przez siebie serwetkę, a pisarze – swoje książki. Zdarzali się pieniacze, nienawistnicy, psychopaci i potencjalni mordercy, grożący Marszałkowi śmiercią [...]. Z całej Polski nadchodziły zaproszenia w kumy, czyli prośby, aby Marszałek został ojcem chrzestnym nowo narodzonego dziecka". Iłła z zaangażowaniem i pieczołowitością przyglądała się każdej sprawie i odpisywała na każdy list. Obliczyła nawet, że w ciągu swojej dziewięcioletniej służby przeczytała 250 tysięcy listów i podań.

Równocześnie żyła poezją. Jej tomik „Popiół i perły", dedykowany „Matce Zofii", wyrażał „miłość i tęsknotę dojrzałej kobiety do opiekuńczych ramion matki, do ciepła i bezpieczeństwa domu dzieciństwa, ale i do mitycznej krainy leszczyn, berberysu, bagiennych łąk, nad którymi krążą jastrzębie i czajki". W wierszu „Do chrześcijan" apelowała do sumień tych, którzy się nimi mienią, by nieśli pomoc najbardziej potrzebującym – tym, co „mrowią się po więzieniach/ W szałasach skleconych z tektury,/ W suterynach, budach pod murem, jak szczury". W innym znów utworze „Nie wiem" zastanawiała się nad osądem Rity Gorgonowej oskarżonej o zabójstwo córki swego kochanka, wołając o miłosierdzie dla skazanej na śmierć, którą rozwścieczony tłum gotów był ukamienować.

Po śmierci Piłsudskiego (12 maja 1935 roku), mając wewnętrzną potrzebę utrwalenia jego pamięci i współtworzenia legendy, wydała w 1936 roku zbiór „Wierszy o Marszałku", a dwa lata później napisała książkę „Ścieżka obok drogi", z której wyłania się jego portret – nie koturnowy i wyidealizowany, lecz promieniujący optymizmem, swojski i bliski.

▶ „Historia płaczu pełna"

We wrześniu 1939 roku jej świat budowany z takim uporem i konsekwencją zawalił się w jednej chwili. Ewakuowana wraz z rządem do Rumunii była zmuszo-

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

na walczyć o przetrwanie na obcej ziemi. Aby przeżyć została nauczycielką języków obcych, nawiązując wiele przyjaźni ze swoimi uczniami. W rumuńskim Klużu doszła do niej przerażająca wieść o zbrodni radzieckiej popełnionej na Polakach w Katyniu. Na wystawie zorganizowanej przez Niemców oglądała fotografie polskich oficerów ze związanymi drutem kolczastym rękoma, księdza święcącego groby, stosy ludzkich trupów. Pod wpływem tych makabrycznych obrazów stworzyła wiersz „Kolęda katyńska", a potem jeszcze dwa inne – „O Boże!" i „Matka Boska Katyńska". Stała się również świadkiem masowych wywózek Żydów. Bardzo boleśnie przeżyła moment, gdy zabierano chasydzką rodzinę Szwarców, u których dotąd mieszkała. Tego dramatycznego dnia „usłyszała szlochanie i [...] podeszła do płaczącej Żydówki. Uklękła, objęła ją i razem się kiwały". Iłłakowiczówna długo jeszcze spoglądała z balkonu na odjeżdżających, myślała o tym, że Szwarcowa niedowidzi i strasznie boi się, że zgubi w tłumie swoją córkę. Pod wpływem tych wypadków napisała wiersz „Pogrom w Kolozvárze": „Historia płaczu pełna, straszliwy psalm Dawida,/ miasto wydało zbrodni swoich Żydów,/ Powywlekało z domów stuletnich staruchów;/ babki mchami porosłe – zaklęte w bezruchu/ osłupiały. Niemowląt płacz trąca bruki".

Jakże więc bardzo musiała ucieszyć ją wieść o tym, że jej siostra i siostrzenice żyją. Po tym, jak do miasta wkroczyły wojska radzieckie, za wszelką cenę próbowała przedostać się do kraju. W końcu dzięki pomocy Juliana Tuwima otrzymała długo oczekiwany paszport i powróciła do Polski. W nowej komunistycznej rzeczywistości trudno jednak było się Iłłakowiczównie odnaleźć. Jej warszawskie mieszkanie spłonęło w czasie wojny, nie miała pracy, a napisanych wierszy nie chciało drukować żadne z wydawnictw. Swój nowy dom odnalazła w Poznaniu, który przypominał jej dawny świat, a Wielkopolska kojarzyła się z Inflantami hrabiny Zofii, językiem pełnym staropolskich zwrotów, „Marcińskimi rogalami", „pegazem na Operze i Mickiewiczem". W mieszkaniu rodziny Żyndów, u których wynajęła pokój przy ulicy Gajowej, roiło się od ludzi – w jednym z pomieszczeń zainstalował się były żołnierz armii Andersa, w drugim – Armii Ludowej, a w kolejnym – Armii Krajowej, następne zajmowały siostry pani Żyndy: małomówna Janina i Józefa Kafarskie – łączniczki AK, które wróciły z zesłania w głąb Rosji. Kazimiera, by przeżyć, tak samo jak w Rumunii, uczyła języków obcych. Tymczasem wraz z umacnianiem władzy ludowej wzrastał terror wymierzony w rzeczywistych i potencjalnych wrogów systemu. Bratowa właściciela domu oraz jej siostra, działające w akowskim podziemiu, zostały aresztowane i brutalnie przesłuchane, a mieszkańcy Gajowej byli stale obserwowani i inwigilowani. Trudno też mówić o wolności twórczej w sytuacji, gdy jedyną obowiązującą doktryną stał się socrealizm. Wiersze Iłłakowiczówny drukowały jedynie katolickie czasopisma – „Tygodnik Powszechny" oraz „Dziś i Jutro". W związku z tym próbowała ona dorabiać tłumaczeniami dzieł literackich, dokonując kongenialnego przekładu „Anny Kareniny" Tołstoja, a także utworów Heinego, Goethego, Büchnera, Dürrenmata czy Bölla. Sama też stale pisała. Do historii przeszedł jej wiersz „Rozstrzelano moje serce w Poznaniu", będący żywą reakcją na wypadki, które w czerwcu 1956 roku wstrząsnęły Polską, kiedy to władza ludowa wydała rozkaz strzelania do robotników żądających wolności i chleba i kiedy przeciwko 10 tysiącom demonstrantów stanęło 10 tysięcy żołnierzy i 360 czołgów.

„Niewidzącymi oczami wodziła za słońcem"

Kazimiera Iłłakowiczówna przeżyła ponad dziewięćdziesiąt lat, na długo przed śmiercią pogrążona w ciemnościach z powodu jaskry – nieodwracalnej choroby oczu. Przy życiu utrzymywało ją prowadzenie korespondencji z przyjaciółmi. Poznański pisarz Przemysław Bystrzycki wysyłał do Iłły swoje córki – Zofię, Elżbietę i Barbarę, które czytały poetce książki i gazety, wyprowadzały ją na spacery i zabierały na niedzielną mszę. Starzejącą się Iłłę, która w ostatnich latach mogła liczyć na pomoc nie tylko przyjaciół i znajomych, lecz także studentek z duszpasterstwa, sióstr pasterek, redaktorek, pracownic pomocy społecznej, tak oto zapamiętała zaprzyjaźniona z nią Barbara Jęczowa: „Pytała o drzewa, kwiaty, niewidzącymi oczami wodziła za słońcem, szukała ciepła. Po śpiewie rozpoznawała gatunki ptaków, żywo reagowała na płacz dzieci – dochodziła przyczyny. [...] Skromna w obejściu, więcej niż skromna w ubiorze, bez wymuszonej grzeczności rozprawiała z dozorcą, listonoszem, znajomą tramwajarką". Powoli oswoiła się ze swoim kalectwem, przyjmując postawę pokornej zgody na to, co ją spotkało. Ogromnym przeżyciem stała się dla niej wiadomość o wyborze Karola Wojtyły na papieża – „Trwam ciągle zaczadzona od szczęścia, a zatem jeszcze bardziej nieporadna niż zwykle" – wyznawała, śledząc odtąd uważnie działalność Jana Pawła II i prosząc, by czytano jej pisma papieża Polaka.

Swe długie życie zakończyła w środę popielcową, 16 lutego 1983 roku, o godzinie siódmej rano. Zgodnie z jej wolą pochowano ją na Powązkach. Do końca swych dni pozostała żywym wcieleniem poezji – „Poezja żyła w niej nadal, [...] otaczała szczególną aurą. Żyjąc po trosze w swoim świecie, oddzielonym niewidzącymi oczami – nazywała ten świat, ot, tak, bez wysiłku – zupełnie własnym językiem. Przywoływała pejzaż ogrodów dzieciństwa: Litwy, Łotwy, dawnych polskich Kresów, pełen ziół i zwierzaków – i pełen Boga". ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Ewa Polak-Pałkiewicz

Długi cień „Mistrza”

W drzwiach paryskiego domu Mickiewicza stanął schludnie ubrany nieznajomy. Oświadczył, że jest z Litwy, „posiada prawdę”, a jego celem jest uzdrowienie żony poety. Zapowiedział też wielkie zmiany i „wielkie rzeczy”, które niebawem stać się miały w życiu Mickiewicza. Z niepojętych powodów przesadnie wręcz ostrożny poeta uwierzył we wszystko, co prawił nieznajomy, i otworzył mu swój dom... Tak oto w życie wieszcza wkroczył Andrzej Towiański.

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Ostatnie swoje spotkanie z Adamem Mickiewiczem w Paryżu, w 1955 roku, odnotował Cyprian Kamil Norwid we wspomnieniach – impresji „Czarne kwiaty". „Wesoło spojrzał na mnie i uścisnął, i rozmawiałem z nim do zachodu słońca, bo pamiętam, że czerwono zrobiło się w oknie, kiedy myśliłem odejść. Pokoik był mały z piecykiem dobrze zapalonym, gdzie od razu pan Adam poprawiał węgle kijem.

Ubrany był pan Adam w futerko wytarte, szaraczkowym suknem powleczone, które skąd w Paryżu można dostać, tej barwy, kroju i podżyłości?... pytanie ciekawe – bowiem: była to, zdaje się, kapota, jaką zagonowa szlachta zimą nosi w prowincjach dobrze od Warszawy oddalonych. W pokoiku wysiała piękna rycina przedstawiająca ś. Michała Archanioła podług oryginału, który jest u Kapucynów w Rzymie...".

Mickiewicz pracował wówczas jako bibliotekarz w gmachu Biblioteki Arsenału w okolicach placu Bastylii. Żył z niewielkiej pensji, jaką wypłacał mu rząd francuski jako byłemu już wykładowcy w Collège de France. A przecież to nie zaawansowany wiek wieszcza spowodował, że musiał rozstać się z karierą podziwianego w Paryżu profesora.

Jego wykłady były wydarzeniem bardziej chyba jeszcze politycznym, artystycznym i towarzyskim niż naukowym. Mistrz umiał wywołać atmosferę niesłychanego intelektualnego i emocjonalnego napięcia. Porywał słowem, a obcy akcent dodawał uroku jego bogatej francuszczyźnie. „Wyraźnie pamiętam tę pełną dramatyzmu chwilę, gdy Mickiewicz wchodził do audytorium przepełnionego słuchaczami" – wspominał po latach jeden ze słuchaczy prelekcji w Collège de France. „Te jego siwizną przyprószone włosy, ta postać znużona i cierpiąca, pośród polskiej emigracji płci obojga, mężczyźni ubrani w ciemne, wytarte czamary, kobiety strojnie i arystokratycznie".

Na sali renesansowego gmachu Collège de France Paryż witał nowego profesora owacjami na stojąco. „Sądzę, żem oddał przysługę Francji" – bez fałszywej skromności zwierzał się prasie minister Cousin, który wyszarpał od rządu na katedrę Literatury Słowiańskiej 5 tysięcy franków.

▶ „Taka katedra jest niczym mniej niż kapłaństwo"

„[...] twarz marzyciela i mistyka, zaorana już zmarszczkami, o zmrużonych oczach i wspaniałej, posiwiałej z gęsta czuprynie... Mówił z mocą, używając dziesiątek malowniczych obrazów, porównań, przenośni. Był poetycki, błyskotliwy, melancholijny i wzniosły" – pisano w 1841 roku w prasie paryskiej o nowym wykładowcy Collège de France. Choć Mickiewicz nie był zawodowym uczonym, w Paryżu i w całej intelektualnej Europie ceniony był jako znawca literatury i historii Europy. Podziwiano jego wirtuozerię jako artysty. Jako kandydat na nowo utworzone stanowiska profesora literatury słowiańskiej w paryskiej uczelni okazał się bezkonkurencyjny.

Ponadto autor „Dziadów" był przedstawicielem narodu, który budził wśród Francuzów, ogarniętych gorączką kolejnych odsłon rewolucji, rodzaj zazdrości, bo okazał się zdolny do czynu. Wśród paryskiej inteligencji nastroje zaś były polonofilskie; w 1830 i 1831 roku na ulicach śpiewano piosenki J.P. Bérangera o Polsce. („Podajcie mi tylko rękę, Francuzi! Będę ocalony!" – brzmiał refren utworu o księciu Józefie Poniatowskim). Pismo „L` Avenir" żądało od władz francuskich, by pomogły militarnie Polsce, zwycięstwo powstania uznawano za punkt honoru całej Europy, jeśli nie ludzkości. Cynizm słów ministra spraw zagranicznych Sebastianiniego: „Porządek panuje w Warszawie", które padły po upadku Warszawy, oburzał paryżan.

Mickiewicz był jednak sceptycznie nastawiony wobec uczuć Francuzów. Miał tylko wdzięczność dla wydawcy „L` Avenir", księdza Lamennais – kilkanaście lat później buntownika skonfliktowanego z papieżem, religijnego modernisty i propagatora socjalizmu, wtedy jednak jeszcze ultramontanina, a przy tym żarliwego obrońcy Polaków – zdruzgotanego papieskim breve z lutego 1831 roku, potępiającym powstanie listopadowe. „Jest to jeden Francuz, który szczerze płakał z nami; jego łzy były jedyne, którem widział w Paryżu" – mówił Mickiewicz.

Mickiewicz traktował swoje wykłady jako misję („taka katedra nie jest niczym mniej niż urząd, niż kapłaństwo" – mawiał), podobnie jak jego francuski kolega Jules Michelet, historyk.

Kwestię zdrady państw Europy w dobie rozbiorów Polski, w imię interesów politycznych, Mickiewicz uczynił jednym z głównych motywów prelekcji, udowadniając, że zgadzając się na rozszarpanie Polski Europa wyzuła się ze swojej przynależności do kultury łacińskiej.

„Jestem cudzoziemcem, panowie, i trudno mi wysławiać się w mowie, której charakter nie odpowiada w niczym tej, co służy mi zwykle za narząd do wypowiadania myśli... Gdybym miał jedynie na oku własny interes literacki, jedynie me własne dobro jako artysty, moją godność osobistą, zrzekłbym się owego niebezpiecznego zaszczytu, jakim jest przemawianie z tego miejsca" – zaczął swój pierwszy wykład. „Ale względy znacznie ważniejsze przykuły

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

mnie do tej mównicy. Zostałem tu wezwany do zabrania głosu w czasach, gdy słowo jest potęgą, w mieście – mogę to wyznać ja, cudzoziemiec – które jest stolicą słowa. Zasadnicze względy nie mogą mnie więc powstrzymywać".

Wizja degrengolady moralnej Europy przedstawiona przez Mickiewicza w wykładach paryskich nie pozostała bez echa. W publicystyce historycznej i literackiej jego prelekcje żyły jeszcze długi czas. Wydawano je drukiem w języku francuskim i niemieckim, rozchodziły się w odpisach po całym kontynencie.

A jednak Mickiewicz Paryża nie cierpiał

Nie zapominajmy, że Mickiewicz znalazł się tutaj z przymusu, nie z wyboru, po długiej podróży po Rosji, Berlinie, gdzie przyjmowano go z entuzjazmem, po Dreźnie, arystokratycznym Rzymie, gościnnej i dostatniej Szwajcarii. I choć gdy pisał „Pana Tadeusza" nie był wielbicielem Francji, wkrótce stał się jednym z najgłośniejszych tu artystów. I mimo że pojawiał się w omówieniach literackich wśród najznakomitszych twórców, mimo że George Sand opublikowała właśnie głośny esej: „Szkic o dramacie fantastycznym. Goethe – Byron – Mickiewicz", wieszcz przymierał głodem (zanim podjął wykłady, był na rządowym zasiłku).

W tym powszechnym, pełnym napięcia przeświadczeniu, że Mickiewicz okaże się nie tylko historykiem literatury, lecz także historiozofem, a zarazem w słusznym podejrzeniu, że ma on w gruncie rzeczy dosyć karmienia siebie i innych wyłącznie słowem – jak prawdziwemu romantykowi potrzebny jest mu czyn – kryło się już przemyśliwanie o możliwości zastawienia na bożyszcze intelektualnego Paryża pewnej inteligentnej, trudnej do przewidzenia pułapki. Nie uprzedzajmy jednak wydarzeń.

Mickiewicz, jak przypomina Maria Dernałowicz, od lat szukał „wyższych" prawidłowości w sensie dziejów – „olśniony koncepcjami historiozoficznymi Lelewela; później jako dojrzały już poeta i myśliciel znalazł je w mesjanizmie. Od dawna odrzucał też racjonalistyczne pojęcie narodu jako grupy etnicznej związanej wspólnymi interesami. Szukał sensu jego istnienia, szczególnych właściwości, predestynujących do wypełnienia boskiego planu. W latach 1836–1837 pracował nad historią Polski. Nie dokończył jej nigdy, ale w obszernym początkowym fragmencie napotykamy wiele myśli, które będą organizować wizję Słowiańszczyzny i świata w »Prelekcjach paryskich«". Nawet dziś mocno przemawia do wyobraźni wywołany w pierwszym wykładzie poety obraz rodu prasłowiańskiego jako „polipa", który szerzył się „płodny i rozgałęziony, do ziemi przybity" – nieznający jeszcze religii objawionej i pozbawiony politycznego przywództwa, które uznaje prawdziwego Boga.

W jednym z listów z tego czasu strofował swojego wykładowcę z Wilna i przyjaciela Joachima Lelewela: „szkoda tylko, że dla uczonych badań zdajesz się opuszczać właściwą historię". Tą „właściwą historią" było dla poety „wyjaśnianie dziejów, wyjaśnianie ich kierunków i celu".

Mickiewicz posiadał subtelny zmysł historii. Dostrzegał rozchwianie umysłów klasy politycznej Zachodu. Utożsamiał je z przyjęciem przez rządzących państwami kryteriów protestanckich, czysto materialistycznych. Ofiarą wypaczenia solidarności chrześcijańskich państw nieuchronnie musiała stać się Polska. Tak jak Lamennais „nienawidził rewolucji, ale widział w niej wynik historycznego procesu, w którym ludzkość oddaliła się od Kościoła i głoszonego przez niego Objawienia. Procesu, w którym zasadniczą rolę odegrała reformacja, ów masowy bunt indywidualnych dociekań. Anarchia wierzeń pociągnęła za sobą anarchię społeczną, wyzwolenie pychy ludzkości, i w końcu doprowadziła do katastrofy – do Wielkiej Rewolucji".

Pierwsze dwa lata wykładów Mickiewicza w paryskiej uczelni zostały zapamiętane na długo. W ciągu dwóch lat kolejnych (1842–1843) entuzjazm przygasał, by ustąpić miejsca przykremu uczuciu konsternacji. Nad życiem Mickiewicza zaciążył cień jego dziwacznego „mistrza", Towiańskiego.

„Oświadczyła, że manatki zabierze i wróci..."

W tym czasie poeta przeżywał dramat osobisty. Zaledwie kilka lat wcześniej (w 1834 roku) jego żoną została dwudziestodwuletnia Celina Szymanowska (1812–1855). Przyjechała wprost na ślub z Warszawy, upewniana wcześniej przez doktora Stanisława Morawskiego, filaretę, że poeta pragnie pojąć ją za żonę. Ojca straciła dużo wcześniej, niedawno osierociła ją matka, słynna pianistka, Maria Szymanowska, która zmarła nagle na cholerę. Wkrótce porzucił ją narzeczony, upewniwszy się, że Celina nie odziedziczyła po matce majątku. Tymczasem Mickiewicz widywał ją tylko przelotnie, jako podlotka w Petersburgu, w salonie matki – kobiety obdarzonej szczególnym wdziękiem, zaprzyjaźnionej z poetami, malarzami i muzykami z całej Europy. Trudno było tu mówić o jakimkolwiek uczuciu. Poeta, poruszony jednak do głębi nieszczęśliwym losem dziewczyny, córki osoby, z którą był szczerze zaprzyjaźniony, najprawdopodobniej powiedział ko-

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

muś w roztargnieniu: „Możebnym się z nią ożenił, gdybym ją spotkał". Przekazano jej to, zapewne w najlepszej wierze – bo i starokawalerstwo Mickiewicza było przedmiotem troski jego przyjaciół – jako formalne oświadczyny poety.

Przyjazd Celiny do Paryża był dla Mickiewicza całkowitym zaskoczeniem. „Nie uwierzysz, jak się zdziwiłem, słysząc, że już w drodze i prosto do mnie" – pisał do Antoniego Odyńca. „Chciałem ją z niczym odprawić, ale Celina zmieszała mnie bardzo dobrym znalezieniem się, oświadczając, że manatki zabierze i wróci, nic do mnie nie mając na sercu. Żal mi było narażać ją na tyle kłopotu... I wiele byłoby jeszcze pisać, jak w tych czasach byłem smutny i ciężar życia bardzo mnie dusił. Obaczymy, czy będzie lżej, czy ciężej".

Biografka poety opisuje sytuację pary oryginalnych narzeczonych: „Uroda Celiny i jej odwaga, jej gotowość na wszelką przygodę ujęła Mickiewicza; miał w pamięci atmosferę domu jej matki, atmosferę odważnego, pogodnego, pełnego wdzięku koleżeństwa. Czy liczył, że Celina taką atmosferę stworzy?" (prof. Maria Dernałowicz).

Małżeństwo z poetą, który już za życia stał się własnym pomnikiem, na co złożyła się także działalność zastępów „uroczystych badaczy i rozdętologów", jak pokpiwał Adolf Nowaczyński, nie mogło być czymś tak prostym i nieskomplikowanym, jak widzieli to przyjaciele obojga. Zwłaszcza dla bardzo młodej, pozbawionej doświadczenia życiowego dziewczyny. „Rozczarowanie Celiny musiał łagodzić blask jego sławy; rozczarowanie to płynęło nie tylko z niezbyt zachęcającego przyjęcia; zapamiętała świetnego bywalca petersburskich salonów, »polskiego Byrona« – zobaczyła niedbale ubranego, szpakowatego mężczyznę o szorstkim sposobie bycia. Wielki poeta; tak jednak było, że nie poetyzował swego życia, nie »układał dramatu«, wprowadził swoją żonę do trudnej prozy: miała dbać o polską kuchnię, bo nie lubił francuskiej, miała mu grać na fortepianie wtedy, gdy sobie tego życzył, miała być żoną nie przejmującą się biedą" (Maria Dernałowicz).

Gdy poeta rozpoczynał prelekcje w Paryżu, Celina Mickiewiczowa była już matką ich trójki dzieci – później przyszło na świat jeszcze troje – i z trudnością radziła sobie z rolą żony geniusza i zarazem pani domu, pełnego także materialnych potrzeb. Poeta pozostał sam z bagażem swoich wewnętrznych rozterek, a ona, świadoma, że nie sprostała wyznaczonej jej roli, popadła w ostry kryzys psychiczny. Najprawdopodobniej obowiązki intelektualnego i duchowego towarzyszenia mężczyźnie, który uczynił przed nią – przedwcześnie, być może – spowiedź z całego życia, niczego nie koloryzując i nie ukrywając, przekroczyły jej psychiczne możliwości; kryzys, w który popadła, w ówczesnych kategoriach medycznych mógł mieć tylko jedno miano: obłędu.

Wyznał, że „posiada prawdę"

I właśnie wtedy, gdy Mickiewicz przytłoczony był nawrotami choroby żony, troską o dzieci, koniecznością zmieniania mieszkań, ubóstwem – pomimo przyzwoitej pensji profesorskiej – a do tego dręczony stale świadomością, że wszystko, co czyni na emigracji, jest zupełnie nieadekwatne do rzeczywistych potrzeb ojczyzny – zapukał do jego drzwi przy rue d`Amsterdam niewysoki, siwy jegomość o łagodnym spojrzeniu jasnych oczu.

Został jakimś trafem wpuszczony, mimo że służąca miała stanowczy zakaz otwierania komukolwiek. Gość kazał powtórzyć, że „przybywa z Polski i ma obowiązek do spełnienia". Mickiewicz wyznawał potem, że obawiał się, że to już kolejny, który „przychodzi prawić mi o jakichś spiskach. Zasmuciłem się na myśl cierpień, które każda taka próba sprowadza na kraj". Tym razem jednak schludnie ubrany nieznajomy miał inne przesłanie. Oświadczył, że jest z Litwy, nazywa się Andrzej Towiański, „posiada prawdę" i jego celem jest uzdrowienie jego żony. Widząc rezerwę gospodarza zapytał jakby mimochodem: „Czy żona nie aby z hrabiów Szymanowskich?"

Jeden z biografów poety z goryczą zauważa, że zdołał tym „mizernym, snobistycznym chwytem" ostatecznie pokonać ostatnie szańce domu przesadnie wręcz ostrożnego Mickiewicza. Zapowiedział też wielkie zmiany i „wielkie rzeczy", które niebawem stać się miały w jego życiu. Z niepojętych powodów poeta przestał się wahać. Uwierzył we wszystko, co prawił nieznajomy, i otworzył mu swój dom.

Jak ćma do światła

Wkrótce podparyska wioska Nanterre, która nie aspirowała nawet do miana letniska, bo była zapyziała i nieciekawa, stała się „kolebką nowego ruchu religijnego, którego prorokiem był Towiański, a Mickiewicz pierwszym uczniem" (Ksawery Pruszyński). Poeta ciągnął jak ćma do światła za Towiańskim. Oślepiony, posłuszny, bezwolny. Mglista, pełna wypowiadanych uroczyście nonsensów, nawiązująca do mesjanizmu nauka „proroka" sprowadzała się do kilku banałów: przemiany świata są jego właściwością i oto właśnie zaczyna się kolejna. Jej skutkiem będzie koniec zniewolenia Polski, emigranci powrócą do ojczyzny. Sprawi to potęga ducha – wspólna wiara tych, którzy oddadzą się Sprawie – czyli misji

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Towiańskiego, który jest „wybranym duchem", zupełnie tak jak Napoleon, z tym że on jest duchem potężniejszym. Wszystko to podlane obficie sosem religijnej egzaltacji i zasilone rzewną słowianofilską nutą. Niepozbawione typowych dla sekciarstwa akcentów erotyzmu – bo oprócz „braci" w sekcie Towiańskiego były również „siostry". Jedną z nich, Xawerę Deybel („Księżniczkę Nowego Jeruzalem"), „mistrz" nasłał na dom Mickiewicza, rzekomo do pomocy przy dzieciach; stała się ona jeszcze jedną przyczyną eskalacji rodzinnego dramatu. „Już to żaden z założycieli religii w historii, nawet Mahomet ze swymi czterema ślubnymi połowicami, nie zrobił ze swojej »nauki« tak kuchenno-sypialnianej sprawy jak wzniosły mistrz Andrzej" – szydzi Pruszyński. Wypadki toczyły się szybko. „Z nastaniem jesieni (1841 r.) Mistrz Andrzej i brat Adam – tak się bowiem teraz zwali – wrócili do Paryża i rozpoczęli apostolstwo".

„Najbardziej egzaltowani spośród zwolenników Towiańskiego prowadzili całkiem poważnie dyskusje na temat, czy »Mistrz« jest Duchem Świętym, Chrystusem Pocieszycielem, drugim wcieleniem Słowa czy też raczej jakimś sakramentem" – przypomina jeden z czeskich badaczy historii „Koła", Pavel Zahradnik.

Raz jeden udało się Towiańskiemu doprowadzić Celinę do przytomności, podczas seansu hipnotycznego, gdy sprowadzono ją z „domu zdrowia" w Vavey. (Później zresztą choroba wracała, ale ostatecznie żona Mickiewicza odzyskała zdrowie w sposób trwały bez jego wątpliwej pomocy.)

Służąc „Sprawie"

Związany z Towiańskim Mickiewicz nadal prowadził wykłady, dwa razy w tygodniu, we wtorki i piątki – i początkowo były one równie znakomite, a nawet coraz bardziej olśniewające. „Ta wymowa pana Mickiewicza – surowa, energiczna, wypływająca z przekonania" – entuzjazmował się jeden z recenzentów – „wymowa błyszcząca, męskiej piękności, bogata w samorodną poezję... to nie zwyczajna mowa profesorów". Oczywiście, bowiem Mickiewicz nie tylko znał dzieła pisarzy i poetów, o których mówił, znał też ich samych, z wieloma z nich się przyjaźnił. Był nie tylko jednym z najbardziej oczytanych ludzi epoki, lecz także jednym z najruchliwszych – docierał do krajów, gdzie żyli mało znani we Francji, a utalentowani twórcy. Trudno się dziwić, że zachwycali się wykładami także słuchający ich Rosjanie, fragmenty dotyczące literatury, a zwłaszcza poezji rosyjskiej, ich analiza porównawcza, należą do najciekawszych części prelekcji. I choć publiczność szalała, wśród słuchaczy przybywało cudzoziemców, powoli „służba Sprawie" kładła się ponurym cieniem na pracy Mickiewicza – i na jego twórczości. Poeta palił rękopisy, w wykłady coraz częściej wplatał wątki budzące zdumienie.

„Niebawem wykłady w Collège napełniły się istotnie rozważaniami o wędrówce dusz w coraz inne wcielenia; o kolumnach duchów, jakie kierują ludzkością, o nowym chrystianizmie, o Napoleonie jako o wielkim duchu, który zgrzeszył pychą i został pokarany, ale wróci w nowym wcieleniu; o tym, że narody francuski, polski i żydowski mają prowadzić świat. Wszystko to było pościągane przez Towiańskiego to od Saint-Simona, to od Vintras, to od Saint-Martina, to od Enfantina. Koniec ubiegłego a początek obecnego stulecia były pełne religijnych i socjalnych utopistów, reformatorów obyczaju i po prostu szalbierzy" – podsumowywał złośliwy Pruszyński. Nie zabrakło też Swedenborga oraz innych współczesnych mu pseudomistyków i teozofów, najwyraźniej wywodzących się z Kabały. „Pism tego proroka czytać dziś bez męki nie sposób – dodaje Maria Dernałowicz – czujemy zażenowanie na myśl, że Mickiewicz i Słowacki zobaczyli w nim Męża Bożego i wierzyli każdemu jego słowu, z upokorzeniem czytamy listy Mickiewicza – towiańczyka". Mickiewicz z katedry w Collège de France coraz częściej namiętnie krytykował Kościół. We francuskiej Izbie Deputowanych zaczęło wrzeć.

„Rzuca się w objęcia cara!"

Można powiedzieć, że koronkowa operacja przechwycenia głównej idei autora prelekcji i doprowadzenie do tego, by zamieniła się ona we własną karykaturę, okazała się operacją ze wszech miar udaną.

„[...] zapiera się świętej religii nauki Jezusa Chrystusa [...], niszczy chrześcijanizm, głosi jako postęp symbolizm religijny" – wyliczano ze zgrozą w jednym z pism emigracyjnych, „odmawia Chrystusowi bóstwa i robi nowych mesjaszy. Ażeby uzyskać dla swoich celów wsparcie politycznej władzy – rzuca się pod maską słowianizmu w objęcia cara – przestaje być Polakiem".

Także w prasie francuskiej zaczęły się niebawem prześmiechy, ironizowanie i ostrzeganie przed sekciarstwem poety. Margrabia Barthémemy w Izbie Deputowanych płonął z oburzenia: „Tego jeszcze było potrzeba, by ludzie, którym w imieniu państwa poruczono święte zadanie nauczania, płatni przez państwo, starali się w swoich wykładach i pismach zachwiać wśród nas powagę Ewangelii".

Mickiewicz rozdawał tymczasem słuchaczom na ostatnim swym wykładzie obrazek z Napoleonem,

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

litografię malarza-towiańczyka, na której cesarz w welonie na głowie, z oczyma zamglonymi łzami, drżącymi dłońmi odejmuje mapę Europy.

Jeden Michelet robił wszystko, by nie dopuścić do zawieszenia wykładów poety. Szalę przeważyło ostatecznie oskarżenie o szerzenie przez Mickiewicza kultu Napoleona. Niegdyś gorący wielbiciel poety, autor przedmowy do „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego", Charles Montalembert, pisarz, historyk, żarliwy katolik, protestował w Izbie Parów przeciw opieszałości władz francuskich, które tolerują gorszące poglądy głoszone publicznie w Collège de France. „Ostatni wykład Mickiewicza odbył się 28 maja 1844 roku. W trzy dni później minister Villemain zapewniał prefekta policji, że polski poeta więcej już wykładać nie będzie" (Maria Dernałowicz).

Następcą Mickiewicza na katedrze w Collège de France został niejaki pan Robert, „uczony całkowicie mierny, ale i całkowicie bezpieczny", jak się wyrażano w sferach rządowych. Mickiewiczowi wypłacano nadal połowę profesorskiej pensji i dodatek za porządkowanie biblioteki uniwersyteckiej, w sumie 4000 franków. A wkrótce otrzymał – jako przejaw wielkoduszności rządu – posadę bibliotekarza w Arsenale, za 2000 franków, „co na Paryż jest niczym", jak pisał rozżalony poeta do brata Franciszka.

„Jakby ryki krajanego nożem"

Po dwóch latach potężnie zasilone przez przyjaciół i znajomych Mickiewicza szeregi wyznawców „Koła" poczęły rzednąć, sam Towiański został z Francji wydalony. „Brat Adam" zaś siłą niemal wyrwany z jego objęć przez energicznych zmartwychwstańców z ks. Semenenko i ks. Jełowickim na czele. Dla nich Towiański nigdy nie stanowił żadnej zagadki. Od początku uważany był za sekciarza i hochsztaplera.

Wielką rolę odegrał tu ks. Aleksander Jełowicki. Ten kresowy szlachcic, powstaniec listopadowy, poeta i tłumacz, przyjaciel i mecenas Mickiewicza na emigracji, wydawał własnym sumptem jego dzieła, założył Księgarnię i Drukarnię Polską w Paryżu – w 1841 roku przyjął święcenia kapłańskie, a w następnym wstąpił do zmartwychwstańców. Został przełożonym Misji Polskiej w Paryżu. Jeszcze jako człowiek świecki był świadkiem na ślubie Mickiewicza i Celiny Szymanowskiej.

Spowiedź Mickiewicza u ks. Jełowickiego, jak odnotowano sumiennie w kołach emigracyjnych, trwała siedem godzin. Zygmuntowa Krasicka będąc z pokoju obok „słyszała jakby krzyki rozpaczy, jakby ryki krajanego nożem". (W 1849 roku ten sam kapłan spowiadał i nawrócił tuż przed śmiercią Fryderyka Chopina, który na łożu śmierci wyznał mu: „Bez ciebie, mój drogi, byłbym zdechł – jak świnia!").

Mętna, pseudofilozoficzna nauka „mistrza" zdołała jednak trwale uwieść wielu Polaków. A legenda trwała długo po jego śmierci. Jan Styka jeszcze pod koniec XIX wieku umieszczał Towiańskiego na swych obrazach obok trzech wieszczów.

Starannie utkane z zapożyczeń pseudomistyków i pseudofilozofów przedsięwzięcie, wykorzystujące osobistą sytuację Mickiewicza, by zaczadzić najwybitniejsze emigracyjne umysły złudzeniami, że skoro wszyscy Polacy „odrodzą się z ducha", czyli uwierzą w Towiańskiego, „niewola skończy się sama", było najprawdopodobniej dobrze zaplanowaną i sprytnie przeprowadzoną psychomanipulacją. W kilku polskich środowiskach emigracyjnych i w wydawanych we Francji pismach ostrzegano jednak już wcześniej przed Towiańskim jako carskim prowokatorem.

„Gdy niebawem, na zlecenie Mistrza, wyjdzie z kół Słowiańszczyzny pismo do cara, by i on przyjął ich wiarę, w emigracji zakotłuje się i zakipi. Nim się to stało, nabrała podejrzeń również francuska policja i po kilku miesiącach Mistrz Andrzej otrzymał nakaz opuszczenia Francji" – pisze Pruszyński. Osiedliwszy się w Brukseli, począł z kolei szturmować Rzym, by i papieża oświecić swoją wiarą i natchnąć proroctwami. Wtedy pojawił się policyjny nakaz natychmiastowego wyjazdu z Rzymu. W tamtych czasach nie zwlekano z tego typu decyzjami; policja pilnowała, by szemrane postacie nie zawracały głowy ludziom władzy, nie głosiły swobodnie swoich poglądów. Brano na serio niebezpieczeństwa sekciarstwa i wrogiej Kościołowi propagandy. Dziś wielu historyków uważa, że Towiański wypełniał specjalną misję na zlecenie rządu rosyjskiego, starając się doprowadzić do kompromitacji i ideowego rozkładu polskiej emigracji.

Jeśli tak było, to co do osoby Mickiewicza misję wypełnił perfekcyjnie, choć nie do końca skutecznie. Musiał jednak dobrze zdawać sobie sprawę, z jakiego typu człowiekiem ma do czynienia. Czy było to trudne zadanie? Trudne i łatwe jednocześnie, bo Mickiewicz był kimś wyrazistym i jednorodnym – pomimo bujności swojej natury i wszechstronności talentów.

Dzięki wytrwałości zmartwychwstańców, których zasługi dziś jeszcze nie zawsze są doceniane, a wręcz pomniejszane, a którzy nie mieli taryfy ulgowej dla sekciarzy, Mickiewicz, choć nieraz jeszcze wadził się z Kościołem, nie wrócił już nigdy do pseudomistycyzmu. Zmarł dziesięć lat później w Konstantynopolu jako katolik. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Piotr Lisiewicz

O tym, jak po II wojnie światowej postanowiono stworzyć gatunek „dobrych Niemców", wiemy przeważnie bardzo mało. Gdy go wymyślano, Polacy pod butem Stalina mieli zupełnie inne problemy. Potem propaganda komunistyczna mówiła nam o dobrych Niemcach z NRD i złych z RFN. Intuicyjnie podejrzewaliśmy więc, że może być odwrotnie. Adam Pragier w artykule z 1952 roku w londyńskich „Wiadomościach" zabawnie opisuje owo poszukiwanie na siłę dobrych Niemców. Jak pisze, koniunkturę na nich stworzył Stalin, strasząc Zachód wojną. Pragier, na podstawie książki Louisa Hagena, w czasach Hitlera emigranta z powodów rasowych, opisuje losy trojga zwykłych Niemców, czyli wyhodowanego przez Führera nowego człowieka. Hodowanego „w stajni zarodowej ulepszonej rasy niemieckiej", wierzącego w Hitlera i przekonanego, że to opanowana przez Żydów Polska napadła na Niemcy. Mocna lektura!

Adam Pragier

Dobrzy Niemcy

Sytuacja dobrych Niemców po drugiej wojnie światowej jest trudniejsza, niż była po pierwszej. Hitler wyniszczył materiał ludzki, z którego ta odmiana polityczna może powstawać. Ukształtował jednolity naród samych złych Niemców. Ten naród wraz z nim prowadził wojnę i wraz z nim ją przegrał.

Wysoką koniunkturę dla odmiany „dobrego Niemca" stworzył – Stalin. Po przegranym przez Zachód pokoju spostrzeżono, że w zapowiadającej się nowej wojnie globalnej Zachód rozporządza zachodnioeuropejskim przyczółkiem mostowym, niełatwym do skutecznej obrony, i pozbawionym załogi. Wtedy przypomniano sobie o Niemczech, o ich centralnym położeniu, o bitności wojska, o talencie organizacyjnym.

Na miejscu dobrych Niemców nie znaleziono

Na miejscu dobrych Niemców nie znaleziono. Próbowano przywieźć ich z Ameryki. Thomas Mann, który dobrze tę rolę spełniał w czasie wojny, bardzo się już postarzał i u schyłku życia skłania się ku komunizmowi. Jako obywatel amerykański mówi o swojej dawnej ojczyźnie w trzeciej osobie. Pozwolił się zawieźć do Niemiec i prędko udał się do strefy sowieckiej, gdzie po wymianie komplementów otrzymał z rąk komunistów nagrodę Goethego.

Liczni profesorowie niemieccy za granicą nie zechcieli wrócić. Przyszedł komuś do głowy rozpaczliwy pomysł przywiezienia w charakterze dobrego Niemca Grzegorza Strassera, dlatego że pokłócił się kiedyś z Hitlerem. Ale Strasser powiedział, że może powrócić tylko jako zły Niemiec, więc siedzi dalej w Kanadzie.

Przeszukiwania obozów koncentracyjnych także nie dały dobrego wyniku. Najgłośniejsze nazwiska ludzi z tych obozów to pastor Niemöller i przywódca socjalistyczny Schumacher. Obaj autentyczni męczennicy i z obu więcej jest kłopotu niż pociechy. Niemöller jest czymś w rodzaju niemieckiego Dean of Canterbury, niedawno bawił w Moskwie, skąd wyniósł najlepsze wrażenia. To samo czyni Schumacher, przy zastosowaniu frazeologii socjalistycznej.

Złych powieszono, reszta wydobrzała

Pozostaje Adenauer. Trzeba się było cofnąć o dwa pokolenia wstecz, aby znaleźć to reprezentacyjne wykopalisko. Cała reszta rządzącego zespołu w Niemczech Zachodnich, z nielicznymi i podrzędnymi wyjątkami, została po prostu, w drodze niepisanego dekretu anglosaskiego, uznana za dobrych

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Niemców. Obowiązujący dziś slogan brzmi: wszyscy Niemcy są dobrymi Niemcami; złych powieszono, reszta wydobrzała.

Louis Hagen napisał książkę* właśnie o tych, którzy wydobrzeli. Zmuszony do emigracji w r. 1936, z przyczyn rasowych, osiedlił się w Ameryce i podobnie jak Thomas Mann, pisze o swojej dawnej ojczyźnie z dalekiego dystansu. Ale zna dobrze kraj i ludzi i umie obserwować. Doszedł do przekonania, że o stanie moralnym dzisiejszego Niemca nie można wnosić ani z wypowiedzi ludzi, którzy zajmowali kiedyś stanowiska wybitne, ani tych, którym system hitlerowski wyrządził krzywdy. Najbliższy rzeczywistości obraz można sobie wytworzyć przez przyjrzenie się tym, którzy w okresie Hitlera po prostu żyli i przeżyli jego upadek. Powstało w ten sposób dziewięć życiorysów, z tych cztery dotyczą hitlerowców niższych kondycji, trzy nie-hitlerowców współpracujących z reżymem, oraz dwa – antyhitlerowców. [...]

▶ Hodowanie nowego gatunku ludzkiego

Wystarczy podać trzy opowiadania, szeregowca S.A.-Manna, oraz samca i samicy nowego gatunku ludzkiego, wyhodowanego całkowicie w ustroju hitlerowskim.

Fritz Mühlebach był marynarzem. W r. 1932 stracił pracę. Kolega marynarz zaprowadził go do Sturmlokalu S.A. i nauczył polityki. Wskazał mu, że to Żydzi międzynarodowi w r. 1914 napadli na Niemcy, a potem przerzucili winę za wojnę na naród niemiecki. Teraz bojkotują Niemcy gospodarczo, wskutek czego jest sześć milionów bezrobotnych. S.A. w 90% składała się właśnie z bezrobotnych.

W Sturmlokalu dostawał bezpłatny obiad, często dziczyznę z dóbr wschodniopruskich Parteigenossen. Brał udział w bitkach na wiecach, w nocy malował hasła hitlerowskie na murach. Był „żołnierzem politycznym" Hitlera. Powiedziano mu, że myśli za niego Führer. Czasami rozmawiał z przyjacielem o polityce, ale po kryjomu. W r. 1933 w jego kompanii było 40% ex-komunistów, 10% takichże socjalistów, 30% Deutsch-Nationale, reszta starzy hitlerowcy. Wspomina o paradzie przed szefem sztabu, Röhmem, z przykrością dowiedział się później, że Röhm zdradził Führera i że musiano go zastrzelić wraz z kilkoma tysiącami współzdrajców. Po tym zdarzeniu S.A. usunięta została w cień przez S.S. On sam zniechęcił się tym bardzo, ale zachował wiarę w Führera. Führer przecie przebudował Niemcy, skasował stany, zniósł bezrobocie, przywrócił wojsko i, co najważniejsze, zapewnił krajowi samowystarczalność gospodarczą. To właśnie sprawiło, że Żydzi amerykańscy, od których Niemcy przestały kupować naftę i kauczuk, zaczęli podżegać świat do nowej wojny. Führera to nie zraziło. Co więcej, zaczął on troszczyć się o los Niemców żyjących poza Rzeszą. Ułatwił Austrii przyłączenie się do Rzeszy, obronił Niemców sudeckich, roztoczył nad nimi opiekę i zajął się mniejszością niemiecką w Polsce. Polacy zaczęli wtedy strzelać poprzez granicę, co trwało długie miesiące.

Ludzie odetchnęli wreszcie, gdy Führer obwieścił 31 sierpnia 1939, że dłużej tego nie ścierpi i że każe odtąd odpowiadać żołnierzom niemieckim na napaści polskie. Gdy w kilkanaście dni po tym oświadczeniu Polska się rozsypała, wszyscy byli przekonani, że na tym się skończy, zwłaszcza że Führer miał wobec Francji i Anglii zamiary jak najbardziej pokojowe. Byli też bardzo rozczarowani, że Francuzi i Anglicy nie chcą pokoju, choć Polska przestała już istnieć. Słuszną karę poniosła Francja za mieszanie się do nieswoich spraw. Wojna z Rosją była przykrą niespodzianką, ale Mühlebach rychło przekonał się, że i tym razem Führer miał słuszność. Wyjaśniono mu mianowicie, że żydowscy komisarze chcieli napaść na Niemcy i że Führer ich uprzedził. [...]

Ku końcowi wojny Mühlebach znalazł się w Prusach Wschodnich, brał udział w panicznej ucieczce spod Królewca. Wina za tę klęskę ciąży na reakcyjnych oficerach i na oddziałach rumuńskich i fińskich, które pierwsze uciekły. Po drodze znaleźli nie naruszony od lat magazyn wojskowy i zaopatrzyli się w sardynki, czekoladę, szampana i cygara. Führer na pewno nie wiedział, że tego magazynu nie rozdzielono wcześniej między żołnierzy. W utarczce na moście został ranny i przewieziono go do szpitala w Berlinie. Tam dowiedział się o śmierci Hitlera. Nie zarejestrował się jako dawny członek S.A., więc go skazano na pięć miesięcy aresztu. Teraz czeka na miejsce w więzieniu, by odbyć karę.

▶ Wstydził się ojca-chrześcijanina

Erich Dressler miał ojca, którego się wstydził, gdyż był on chrześcijaninem, a chrześcijaństwo jest schyłkową formą ideologii żydowskiej, obcą duszy Niemca. W r. 1934, jako 10-letni chłopiec, w tajemnicy przed ojcem wstąpił do hitlerowskiego Jungvolk. Tam nauczyli go posłuszeństwa, które jest pierwszą cnotą wojownika. Odbywał ćwiczenia polowe z karabinem maszynowym, zrobionym z konewki, rurki gazowej i paska od spodni. W szkole, gdy nie umiał lekcji, zasłaniał się ćwiczeniami polowymi. W 14-m roku życia przyjęto go do Hitlerjugend. Podpalał żydowskie sklepy i synagogi. Szkoły nie skończył, ale się tym nie martwił, gdyż postanowił zostać oficerem, do czego szkoła nie jest potrzebna.

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Gdy Polska napadła na Niemcy, odbywały się właśnie manewry w Prusach Wschodnich, więc Führer mógł od razu wszcząć akcję obronną. Potem była wojna we Francji. W Dunkierce Anglicy pozostawili cały sprzęt i uciekli, przy czym niemal wszyscy potonęli. W 17-m roku życia wstąpił do wojska i znalazł się na Sycylii. Tam przekonał się o tchórzliwości Anglików: atakowali dopiero po długim przygotowaniu artyleryjskim i lotniczym, dzięki czemu Niemcy wcale nie mogli zacząć się bić. Musieli się wycofać, bo Anglicy mieli pięciokrotną przewagę lotniczą. Z Sycylii uciekł na łodzi i został ranny, gdyż Anglicy strzelali do bezbronnych żołnierzy na morzu. W szpitalu w Turyngii zobaczył po raz pierwszy zakonnice. Były dla niego dobre i nie pytały, czy wierzy w Boga, pewnie się bały Gestapo. Gdy ze szpitala powrócił do Berlina, Anglicy rozpoczęli ataki lotnicze na kobiety i dzieci w bezbronnej stolicy. Potem był we Francji, tam przekonał się, że kobiety, rasowo mieszane, systematycznie demoralizują żołnierzy niemieckich. Wytrąceni z równowagi przez wino i te kobiety, Niemcy sprzedawali benzynę, samochody i broń i posyłali do domów żywność i odzież. [...]

Potem posłali go na front wschodni. Po odwrocie spod Lwowa stracił ochotę do wojowania. Był zmęczony. Był potem ranny na Węgrzech. Leżał w szpitalu w Wiedniu, potem w Pradze. Gdy front się zbliżał z trzech stron, uciekł na własną rękę z miasta. Poddał się Czechom. W niewoli udawał lekarza, co mu trochę pomogło. Uciekł wkrótce i wrócił do Berlina. Dom rodziców zastał zburzony i próbował odszukać ukryte klejnoty. Przy sposobności odkopał także i pogrzebał rodziców. Rozpoczął nowe życie. Znalazłszy dawnych kamratów, uradził wraz z nimi, że o przeszłości myśleć nie należy. Winę za klęskę ponosi reakcyjne dowództwo, które nie umiało prowadzić nowoczesnej wojny totalnej.

Okupanci są nadal nieprzyjaciółmi. Obowiązkiem Niemca jest przetrwać klęskę i szkodzić na każdym polu nieprzyjacielowi. Prowadził więc handel z okupantami. Wraz z przyjacielem zorganizowali coś w rodzaju ruchomego domu publicznego dla Murzynów. Kobiety były zarażone, więc był to raczej ośrodek wojny bakteriologicznej. Był potem szoferem u Francuzów i kradł im benzynę. Organizował systematyczne włamania do domów oficerów amerykańskich i sprzedawał zdobycz Rosjanom. Potem organizował włamania w strefie sowieckiej i sprzedawał zdobycz Amerykanom. Handlował fałszowaną penicyliną, prawdziwymi papierosami i prawdziwymi oraz fałszowanymi dolarami. Czasem także kokainą i nylonami. [...] Teraz jest szoferem u Amerykanina, któremu ułatwia nabywanie obrazów, klejnotów i dziewczynek. Gdy rozmawiał z Hagenem, miał jeszcze mundur „Africa Corps", na szyi krzyż na ciężkim złotym łańcuchu, sygnet i złotą bransoletkę.

▶ W stajni zarodowej ulepszonej rasy niemieckiej

Hildegard Trutz. Ojciec czeladnik piekarski. Do Bund Deutscher Mädel wstąpiła po obejrzeniu filmu „Hitlerjunge Quex". Matka sprzeciwiała się, gdyż była reakcyjną chrześcijanką. Ojciec należał od r. 1933 do S.A. i jego zgoda wystarczała, by została przyjęta. Piekarz Stielke, pracodawca ojca, był także reakcjonistą i potępiał bojkotowanie Żydów. Ojciec doniósł o tym, gdzie trzeba, Stielkego umieszczono w zakładzie reedukacyjnym, celem uczynienia z niego „dobrego Niemca". Zakład jego mieścił się w Sachsenhausen. Stielke nie doczekał wyniku reedukacji i w trakcie tej procedury zmarł. Ojciec miał z tym kłopot, gdyż po wywiezieniu Stielkego, musiał przejąć jego piekarnię, co wymagało wiele pracy. Potem kupił tę piekarnię od żony Stielkego piekarnie były wtedy bardzo tanie. Bund Deutscher Mädel mieścił się w dawnym protestanckim ogródku dziecięcym, zarekwirowanym przez partię. Tam dowiedziała się, że głównymi wrogami Niemiec są Żydzi, masoni, papież i marxiści i że narzędziem ich jest Anglia i Ameryka. Żydów nie lubiła nigdy, gdyż są tłuści, mają płaskie stopy i nie patrzą w oczy. Teraz dowiedziała się, że ta jej niechęć była żywiołowym wyrazem instynktu rasy. Po niejakim czasie zrobiono ją organizatorką sportową. Na paradzie przed Jugendführerem Baldurem von Schirach stała na czele swojego oddziału. Była bowiem najwyższa, miała blond włosy, niebieskie oczy, długie nogi i szeroką miednicę. Zdała maturę na podstawie egzaminu z żywotów Hitlera i Schlagetera, źle wypadł egzamin z matematyki, ale przewodniczący komisji oświadczył, że matematyka jest właściwa analitycznemu umysłowi żydowskiemu, umysł zaś nordycki jest skłonny raczej do syntezy. [...]

Z obozu zgłosiła się do S.S. Lebensborn (źródła życia), w zamku pod Tegernsee. Była to stajnia zarodowa przyszłej ulepszonej rasy niemieckiej. Przebywało w niej czterdzieści dziewcząt, jasnowłosych i niebieskookich, pochodzenia „niewątpliwie aryjskiego". Miały oddzielne pokoje, świetne jedzenie, nie znały wzajemnie swoich nazwisk. Dwudziestu bezimiennych, również jasnowłosych i niebieskookich SS-Mannów towarzyszyło im w zabawach i grach, a wieczorem w tańcu i w kinie. Po tygodniu profesor specjali-

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

sta z SS-Sanitätskorps wyjaśnił im w odczycie, co i jak. Wybrany chłopiec odwiedzał ją w jej pokoju trzy razy tygodniowo w ciągu dwu tygodni. Gdy szybko znalazła się w odmiennym stanie, ucieszyła się tą oznaką dobrej rasy. Dziecko zaraz jej zabrano, dla dalszej hodowli; proszono, by przyszła ponownie za rok. O dalszym losie dziecka i jego ojca nic nie wie.

Powróciła potem do Berlina, gdzie poznała swego przyszłego małżonka, podoficera SS, służącego w Gestapo. Powiedział jej, że mają oboje typ germański i że chciałby mieć z nią dużo dzieci tegoż typu. Zamieszkali w osiedlu SS w Krumme Lanke. Meble były germańskie, dębowe, krzesła kryte ręczną tkaniną, żyrandol z kutego żelaza, w bawialni portrety Führera Baldura von Schirach i Reichsfrauen-Führerin Frau Scholz-Klink. Ślub odbył się w tymże mieszkaniu, dał go dowódca kompanii małżonka, przed obrazem Führera. Narzeczona miała wianek mirtowy. Nie brakło także ceremonii religijnej: przyszły szwagier przebrał się za księdza, wyśpiewywał hymny i wygłosił kazanie, ku uciesze gości weselnych. [...]

W roku wojny, gdy Polska, opanowana przez Żydów, napadła na Niemcy, urodził im się synek, nazwali go Norfried. Nie brakło uroczystej ceremonii: ojciec wniósł do bawialni pierworodnego syna, na tarczy z tektury oklejonej złotym papierem, okrytego kołderką z wyhaftowaną swastyką w wieńcu liści dębowych. W obecności oficera SS rodzice przez położenie rąk na główce dziecka wprowadzili go w społeczność germańską. Potem mąż został kurierem i jeździł do Warszawy, Krakowa i Paryża. Przysłał jej dwa futra, kilka par bucików i pończochy. Jeździł później w różne strony świata, ona sama przebywała w Berlinie aż do końca wojny. Gdy Anglicy rzucali bomby na kobiety i dzieci, nie schodziła do schronu, wystarczał jej koniak, który mąż wciąż przywoził.

Wycofała się na zachód z dziećmi w przeddzień upadku Berlina, spotkała męża po drodze i dowiedziała się od niego, że wojna jest przegrana, a on sam wraca do Berlina, gdyż kazano mu pracować w „Wehrwolfie". Zrobiła mu wtedy awanturę, że był całe życie niedołęgą i nie umiał wybić się jak inni, którzy dziś własnymi samochodami uciekają do Bawarii. Potem przyszli Rosjanie. Zgwałcili ją, zanim się opatrzyła. Zorientowała się rychło, że nie trzeba czekać na gwałcenie, i było jej z tym dobrze. Po tygodniu miała pełną walizkę szynek, jaj i masła. Wróciła spokojnie do siebie. Mieszkanie jej było zajęte przez byłych więźniów K.Z., ale przyjaciele sowieccy wyrzucili ich stamtąd. Potem przekonała się, że dobrzy są także Amerykanie, mają kawę i papierosy. Z Amerykanami były jednak trudności, gdyż był na nich wielki popyt. Znalazła wreszcie Murzyna, którego bardzo polubiła.

Obowiązujący dziś slogan brzmi: wszyscy Niemcy są dobrymi Niemcami; złych powieszono, reszta wydobrzała.

Miała także kłopoty rodzinne, z mężem i z ojcem. Mąż odnalazł się w więzieniu brytyjskim, chciała się z nim rozwieść, bo sam wszystkiemu był winien, ale Anglicy odmówili zezwolenia. Ojca władze nie chciały uznać za ofiarę hitleryzmu: zgłosiła się wdowa po piekarzu Stielke i wiele zaszkodziła. Mścili się także Żydzi i kłamali, że ojciec odmawiał im sprzedaży chleba. Ojciec pójdzie więc do więzienia, a na razie siedzi jej na karku. Jest nadzieja, że przynajmniej mąż pozostanie przez dłuższy czas w więzieniu, nie można przecież zaprzeczyć, że był w SS i w Gestapo. Jedyna rzecz, która jej się świeżo udała, to nowy boy-friend – polski Żyd z U.N.R.A. Bogaty (bo handluje brylantami) i mało wymagający. Synek Norfried Bogu dzięki rośnie. ■

* Follow My Leader. By Louis Hagen, Londyn, Allan Wingate, 1951; str. XI i 1nl. i 374 i 2nl.

_____

Przedruk za: „Wiadomości", 18.05.1952, Londyn, Rok 7, Nr 20 (320).

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Piotr Kuligowski „Radykałowie polistopadowi i nowoczesna galaktyka pojęć (1832–1888)", Universitas, Warszawa 2020.

Krzysztof Wołodźko

RADYKALNE POLSKIE DROGI

W XIX wieku Polacy mierzyli się nie tylko z klęskami, jakie przyniosły rozbiory i beznadziejnie przeciągająca się niewola, znaczona kolejnymi insurekcyjnymi zrywami i traumami porażek. Polscy myśliciele, na ogół emigracyjni działacze, bacznie przyglądali się tworzącej się nowoczesności, społeczno-gospodarczej i metapolitycznej modernizacji, jakiej doświadczały państwa Zachodu.

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Radykałowie polistopadowi i nowoczesna galaktyka pojęć (1832–1888)" Piotra Kuligowskiego to wymagająca książka popularnonaukowa. Zdecydowanie bardziej dla czytelnika i czytelniczki, którzy znają pejzaże XIX-wiecznych idei europejskich i polskich, mają też pewne pojęcie o kształtowaniu się zrębów nowoczesnych doktryn w rodzimym piśmiennictwie. Równocześnie to bardzo dobry punkt wyjścia do rozważań nad tym, co składa się na sprawę polską, jak przenikały się w niej przez dobre dwa stulecia tematy narodowe, społeczne, cywilizacyjne i religijne. W XIX wieku na znaczeniu zyskiwała kwestia „podniesienia ludu", zarówno w prawach politycznych, w społecznym dobrostanie, jak i w przywiązaniu do polskości.

Sponiewierani ludzie

Dziś, choć zapanowała pewnego rodzaju moda na rozważanie ludowej historii Polski, w życiu publicznym wciąż spotykamy się z głęboko zakorzenioną pogardą, niechęcią i uprzedzeniami wobec mniej zamożnych, gorzej wykształconych, żyjących na wsi i w miasteczkach Polek i Polaków. Niektórzy publicyści sugerują wręcz, że im chętniej liberalny czytelnik wzrusza się ostatnio wypisami z dziejów polskiego ludu, tym bardziej robi mu się nieswojo w wyobrażonym nawet spotkaniu z realną klasą ludową, głosującą dziś na Prawo i Sprawiedliwość.

Warto zaznaczyć, że Piotr Kuligowski ze swoją wieloletnią publicystyką trafia zdecydowanie częściej do tych, którzy nie cierpią na podobne dolegliwości poznawcze. Autor w 2019 roku obronił rozprawę doktorską na Wydziale Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, należy do redakcji lewicowej „Praktyki Teoretycznej", publikował również na łamach „Nowego Obywatela".

Kim są bohaterowie książki Kuligowskiego? Najważniejsi z nich to Jan Czyński, Jan Nepomucen Janowski, Henryk Kamieński, Ludwik Królikowski i Stanisław Worcell. Nietrudno spostrzec, że są to postacie, na których z dużą pewnością potknęliby się uczestnicy popularnych teleturniejów. To myślicie, działacze, patrioci, którzy zniknęli w głębokich cieniach naszej wspólnej niepamięci, historii idei pokiereszowanej w XIX i XX wieku, właściwie nieobecni w kanonach polityki historycznej III Rzeczypospolitej. W swoich czasach polistopadowi radykałowie byli ludźmi znaczącymi, powoływano się na nich i do nich odwoływano, uczestniczyli w pracach, sporach, polemikach epoki. Byli rozpoznawalni nie tylko przez polską diasporę, nie tylko przez rodzimą emigrację – po obu stronach oceanu Atlantyckiego współtworzyli ruch ikaryjski, saintsimonizm, fourieryzm...

Po powstaniu listopadowym każdy z tej piątki prędzej czy później trafił na emigrację. Wielka Emigracja, wielce też skłócona, w podręcznikowych zapisach obejmowała niejednorodne nurty: konserwatywno-arystokratyczny, demokratyczny, rewolucyjny. Radykałowie polistopadowi doświadczali wszystkiego, z czym w swojej masie zmagali się polscy tułacze i pielgrzymi: były to postaci „jak gdyby podwójnie sponiewierane, zmagały się bowiem nie tylko z wykorzenieniem ze znanego sobie otoczenia, ale również, udając się do krajów Europy Zachodniej, doświadczały modernizacji w sensie [...] zwielokrotnionym". Wynalazczość, czyli przemiana społeczeństw przez naukę i technologię, rozwój miast i przemysłu – emigranci zobaczyli na Zachodzie to, co miało stać się dopiero polską przyszłością. Ucieczka ze zniewolonej, znów tragicznie przegranej Polski przenosiła ich w czasie. Z całą naiwnością i szczerością ludzi pełnej na ogół optymizmu epoki, którzy niczego nie mogli wiedzieć o inżynierii społecznej XX-wiecznych totalitaryzmów, o zaganianiu ludzi do powszechnej szczęśliwości, pośród emigracyjnych burz chcieli naszkicować, zaprojektować lepszą przyszłość – wolnej ojczyzny i jej uboższych warstw.

Wskrzesić Polskę, zbawić świat

Pięknie opisał to Kuligowski: „Z pozoru wszystko było takie jak zwykle – rozrzucone książki, fragmenty nieukończonego rękopisu, spotkanie, do którego nie doszło, kolejna głośna kłótnia w hotelu Taranne [przy ulicy Taranne 12 w Paryżu odbywały się posiedzenia demokratów polskich w latach 1832–33 – przyp. K.W.]. A potem kolejne zadrukowane szpalty czasopism, w których autorzy wyrażali wzajemne pretensje i ubolewali nad utraconą jednością niedawnych towarzyszy broni. Wstrząsy docierały jednak do tej wspólnoty także z zewnątrz. To doniesienia o kolejnych ofiarach na ziemiach polskich, alarmistyczne raporty o potędze Rosji, reakcje opinii publicznej Zachodu na sprawę polską, a także zetknięcie z szeregiem nieznanych na ziemiach polskich zjawisk społecznych czy gospodarczych. Te pojedyncze, rozchwiane emocje – obawy, nadzieje, wzmożenia, rozczarowania – [...] przyczyniły się do istotnych przesunięć w obrębie wyobraźni politycznej".

Często pamiętamy ich jako skłóconych, rozognionych, pogubionych. Ale gdy wstąpić do głębi, widać program dobrze znany jako tytuł głośnej

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

niegdyś książki: „Wskrzesić Polskę, zbawić świat. Antologia polskiej chrześcijańskiej myśli społeczno-radykalnej 1831–1864". Rzecz przygotowana na początku lat 80. XX wieku przez Damiana Kalbarczyka, była ważna choćby dla księdza Jerzego Popiełuszki. Nie bez powodu. Uniwersalizm i ponadczasowość myśli polistopadowych radykałów szły w parze z ich zainteresowaniem polskimi zagadnieniami. Nie do przecenienia była rola chrześcijańskiego utopisty Ludwika Królikowskiego, jednego z liderów – obok Étienne Cabeta – ruchu ikaryjskiego. „Dzięki serii jego tekstów – podkreśla Kuligowski – opublikowanych na łamach »Gazety Polskiej« w 1831 roku, do polskiego imaginarium weszły nowe figury". W znacznej mierze były to kwestie dotyczące podziałów społecznych, toczących narody społeczno-ekonomicznych nierówności, które postrzegano jako poważny problem dla realnej demokratyzacji metapolitycznego porządku. Królikowski uważał, że tylko ewangeliczne nauczanie może zmieść świat pełen krzywd, że radykalna przemiana społeczna zrodzi się z uczucia, którym „gorzał Chrystus, kiedy gromił piśmienników, faryzeuszów, kapłanów, bogaczów, celników i kupców".

Rzecz nie tylko w dostrzeżeniu wyzwań nowoczesności i próbach ich opisywania z pomocą nowych pojęć. Ambicją polistopadowych radykałów było tworzenie ogólnoświatowych rozwiązań. Rzecz nie w wykorzenieniu, lecz w pewności, że mogą – jak równi pośród równych – tworzyć rozwiązania i formułować doktryny, które przyniosą pożytek także społeczeństwom i państwom Zachodu. Jak pisze Kuligowski: „w przeciwieństwie do licznych intelektualistów z europejskich peryferii, którzy zastanawiali się, czy lepszą odpowiedzią na ich problemy będzie np. liberalizm w wydaniu angielskim, czy francuskim, polscy radykałowie mieli ambicję do dokonywania redefinicji o charakterze uniwersalnym. [...] Ich rozważania miały determinować [...] losy całej ludzkości".

Od saintsimonizmu do ultramontanizmu

Naukowiec precyzyjnie bada galaktykę XIX-wiecznych pojęć. Pokazuje, w jaki sposób polscy myśliciele i działacze polityczni reagowali na przeróżne „-izmy" (demokratyzmy, socjalizmy, komunizmy), które zadamawiały się w podlegającej coraz szybszym metamorfozom przestrzeni Zachodu. Na marginesie – z właściwą dla siebie językową intuicją to nabrzmiewanie pojęć opisał Jacek Kaczmarski w „Ostatnich dniach Norwida": „Po Bonapartem ścichły echa wyzwisk / Szańce Komuny w bieg życia wessało / I świat w bezduszną obrasta dojrzałość / Knuty z jedwabiu przemysł, socjalizmy / Nabite Działo!".

Przyglądamy się również spotkaniu nauki i chrześcijaństwa, które w sposób mało dziś oczywisty łączyło ewangeliczne uzasadnienia z przekonaniem, że życie społeczne da się zaprojektować wedle naukowych sposobów. Rzadko dziś pamiętamy, że myśliciele, których nieco później Karol Marks na dobre naznaczył piętnem „utopijnych socjalistów", uważali, że dokonują syntezy myślenia naukowego, społecznego i religijnego/duchowego. Ich chrześcijaństwo bardzo ostrożnie możemy porównać do współczesnego katolicyzmu kulturowego. Było przede wszystkim projektem społecznym, tyle że zdecydowanie lewicowym, często odwołującym się do opinii, że nauka Chrystusa stoi u początków metapolitycznego komunizmu. Tylko nieliczni, jak Bogdan Jański, przyjaciel Ludwika Królikowskiego, przeszli od saintsimonizmu do ultramontanizmu.

Paryski Związek Braci Zjednoczonych, a następnie Domek Jańskiego, nie bez wpływu Adama Mickiewicza, dały początek zgromadzeniu księży zmartwychwstańców, które w kolejnych dekadach XIX wieku miało odegrać niebagatelny wpływ na emigracji i na ziemiach polskich. To dzięki kapłanom emigrantom Mickiewicz w marcu 1848 roku rugał Piusa IX podczas audiencji, jakiej papież mu udzielił. Nikt po tym spotkaniu nie był zadowolony: ani wieszcz, ani papież, ani coraz bardziej zasmuceni Mickiewiczem zmartwychwstańcy, którzy mocno okrzepli w ortodoksji. I u zarania niepodległości Polski zdecydowanie bardziej kojarzyli się z konserwatywnym katolicyzmem niźli wieloletnią fascynacją Jańskiego myślą Henriego de Saint-Simona i Roberta Owena.

Polistopadowi radykałowie zmierzyli się na Zachodzie z żywiołem, który był im wcześniej nieznany. To proletariat, czyli robotnicy przemysłowi, „klasa industrialna". To zagadnienie ukazywało głęboką różnicę cywilizacyjną między Polską w niewoli a zachodnioeuropejskimi państwami, których stolice stopniowo zamieniały się w kapitalistyczne centra, pożerające ciężką pracę fizycznych pracowników najemnych, mężczyzn i kobiet, dorosłych i dzieci. Było to wyzwanie głęboko wiążące język i pojęcia z rzeczywistością – początkowo polscy wygnańcy posługiwali się przede wszystkim francuskim terminem ouvriers, oznaczającym robotników. Niektórzy jednak już w latach 30. XIX wieku w ojczystym języku wieszczyli: „Pracownikom świat należeć

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

będzie. Pracownik nie będzie wtenczas proletariuszem potyranym jak dziś, ale kapłanem nowego życia" (Adam Gurowski).

„Za rewolucji Kościuszki"

Równocześnie szukali sposobów na włączenie proletariatu do swojego śmiałego planu wskrzeszenia Polski i zbawienia świata. Poniekąd antycypując myśl marksowską, uznali w robotnikach tych, którzy nie mają do stracenia nic oprócz kajdan. Kuligowski pisze: „Aktywność proletariatu na Zachodzie oraz brak tej warstwy na ziemiach polskich były [...] potężnym problemem dla radykałów. [...] Proletariat w dyskursie radykalnym po Listopadzie podlegał w wielu wypowiedziach pewnemu uogólnieniu, wracając jakby do swej pierwotnej definicji najbardziej zubożałych grup występujących w każdym społeczeństwie. Umożliwiało to szeroki ogląd sytuacji najuboższych klas w społeczeństwach europejskich, mieszcząc się w ramach mesjanistycznych przekonań o możliwości ich rozwiązania wraz z rozwikłaniem palących zagadnień wieku, takich jak brak niepodległości ludów".

Niemniej dla większości emigracyjnych kręgów kwestia ludowa wciąż oznaczała sprawę chłopską. To ona stanowiła punkt odniesienia. Z trudem rodziło się zagadnienie miejskie i świadomość politycznej wagi niejednorodności społecznej w obrębie polskich miast, których rozwój został zahamowany jeszcze w poprzednich wiekach. Demokraci z Clermont w drugiej połowie lat 30. XIX wieku przypominali: „Za rewolucji Kościuszki, lud to warszawski, krakowski, wileński, wojska opiekunów naszych pobił i wygnał, a naczelnych menerów Targowicy przykładnie ukarał". I zaznaczali: „klasa wyrobników, służących, najuboższych rzemieślników itp. nader liczna, jeżeli do niej biednych nędzarzy, bo z głodu umierających Żydów dodamy, jest pod względem materialnym tak jak chłopi nieszczęśliwą". Z czasem w polskim piśmiennictwie pojawiać zaczęły się pomysły wprowadzenia płacy minimalnej („Przegląd Naukowy", Warszawa, 1844 rok) i spostrzeżenia, że ubóstwo robotników to przedmiot zainteresowania „stanoznawców". Kuligowski sugeruje jednak, że polistopadowi radykałowie nie udźwignęli tego tematu. Skoncentrowani na konflikcie szlachty i chłopstwa na ziemiach polskich, spory między burżuazją a proletariatem uznawali za sprawę, która straci rację bytu, gdy wyzwolenie narodów i utopijne projekty społeczne położą kres niesprawiedliwościom dziejów.

Kazania księdza Popiełuszki

Społeczne intuicje, etyczny maksymalizm XIX-wiecznego polskiego radykalizmu nie został pogrzebany na zawsze. Wspomniałem wyżej ks. Jerzego Popiełuszkę i książkę „Wskrzesić Polskę, zbawić świat" Damiana Kalbarczyka. Warto poszerzyć ten wątek. Gdy przed laty przeprowadzałem dla Lewicowo.pl wywiad z Kalbarczykiem, mój rozmówca przypomniał: „Fragmenty z pracy »Wskrzesić Polskę, zbawić świat«, którą opublikowałem w 1981 roku, jeszcze przed stanem wojennym, bardzo często cytował w swoich kazaniach ksiądz Jerzy Popiełuszko. Często miałem spotkania w kościołach na terenie całej Polski, ponieważ ksiądz proboszcz czy biskup byli zainteresowani książką. Trzeba pamiętać, że wiele się zmieniło w myśleniu Kościoła o klasie robotniczej, sprawiedliwości społecznej przynajmniej od czasów encykliki »Rerum novarum« Leona XIII".

Kalbarczyk konkludował: „Nie dziwię się zatem, że kapelan »Solidarności« w książce znajdował idealne passusy, łączące język chrześcijaństwa z językiem lewicy, świetnie wkomponowane w kontekst kazań. Nie była to myśl systemowa, ale i tak zdziwił mnie ten oddźwięk względem kompletnie nieznanych postaci. Uważam zresztą, że myślenie ks. Popiełuszki samo z siebie było bliskie tamtym radykałom, że między jego wiarą a odczuwaniem świata w kategoriach sprawiedliwości społecznej, troski o warstwy upośledzone były bardzo silne związki".

Nie byłoby polistopadowych radykałów, gdyby nie sprawa podstawowa: zabory i niewola. Tragedia narodowa, emigracyjny dystans skutkowały nierzadko poglądami, które mogą razić naiwnością czy egzaltacją. Jan Nepomucen Janowski, wychwalając lud, nie tylko chciał pognębić arystokrację. Nadzieja dla wygnańców była nierzadko wszystkim: „Lud polski przechowuje w sobie rzeczywisty żywioł narodowy: na dnie nie skażonych jego obyczajów leżą cnót obywatelskich nasiona, których wieki ucisku stłumić nie zdołały. I niech tylko ożywczy wiatr wolności poruszy te nasiona, a Polska, wracając w swe starożytne ślady życia demokratycznego, stanie w rodzinie ludów europejskich jaśniejszym niż kiedykolwiek otoczona blaskiem".

Możemy z pobłażaniem traktować to pięknoduchostwo. Ale i z niego brały się późniejsze nadzieje polskiej niepodległości. I intuicje społeczne i narodowe, które zbyt często w naszych czasach skazywano na zapomnienie. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Olga Doleśniak-Harczuk

DOKĄD NIESIESZ TĘ GŁOWĘ, JUDYTO...

Michelangelo Mersi Caravaggio „Judyta odcinająca głowę Holofernesowi", 1598–1599, Galleria Nazionale d'Arte Antica, w Rzymie

FOT. WIKIPEDIA

Artemisia Gentileschi
„Judyta i Holofernes", około 1620

Czy wyobrażenie kobiety odcinającej głowę śpiącemu mężczyźnie może inspirować? Tak, o ile kobieta jest Judytą, a jej ofiara Holofernesem. W bazylice Santa Maria Antiqua, najstarszym kościele rzymskim na Forum Romanum, zachował się najprawdopodobniej najstarszy wizerunek biblijnej Judyty. Fresk przedstawiający pogromczynię Holofernesa liczy 14 wieków. Od tego czasu malarze wylali na płótna hektolitry Holofernesowej krwi.

W ikonografii malarskiej motyw pięknej wdowy zabijającej dowódcę wojsk Nabuchodonozora jest szczególnie obecny w twórczości artystów renesansu i baroku. To wtedy powstało najwięcej malarskich wariacji na temat krwawej kolacji bez śniadania, chociaż bibliści raczej nie ujęliby tego wątku w sposób tak dosłownie ludzki. A jednak Botticelli, Allori, Caravaggio, Artemisia Gentileschi – oni wszyscy dali się uwieść bardzo cielesnej, gwałtownej wizji Judytowego czynu. Ale mieli swoje powody. Przemycili własne emocje. Cranach to osobny temat, jego Judyta wyrasta z polityki, jest nośnikiem konfliktu dalece wykraczającego poza namiot Holofernesa.

Zazwyczaj jednak w licznych wizerunkach Judyty znajdziemy podbój, rozpacz, fortel, namiętność, poświęcenie, upadek, wolność, bywa, że i obrzydzenie malujące się na twarzy kobiety, która wprawną ręką nie tyle poskromiła niechcianego zalotnika, ile odmieniła los swojego narodu.

Realizm, dramaturgia i wyższa konieczność

Temperamentna Filide Melandroni, ulubiona modelka Michelangela M. Caravaggia, w każdym ze swoich malarskich wcieleń elektryzuje. Jako pogromczyni Holofernesa jest zdeterminowana i pełna obrzydzenia jednocześnie. Na czole, tuż nad nosem Caravaggio odmalował jej zmarszczkę mogącą świadczyć nie tylko o wysiłku, lecz także psychicznym napięciu. Są ludzie, którym taka linia zaczyna rysować się nad nosem w chwili skupienia albo gdy nad czymś wyjątkowo intensywnie myślą lub... kłamią. Felide zagrała wszystkie te stany jednocześnie. A kłamie, ponieważ wcale nie czuje się dzielną Judytą, widok krwi ją odstręcza.

Są w tym typowe dla Caravaggia nie tylko dramaturgia, lecz także realizm. Judyta-Filide to mężna kobieta działająca w imię wyższej konieczności. Jej pozorne opanowanie wynika z rezygnacji, wie, że nie ma innego wyjścia, a jednak każdy mięsień jej twarzy zdaje się świadczyć o świadomości makabry, w której uczestniczy.

Determinacja silnej kobiety

Kilkanaście lat po Caravaggiu (mowa też o wcześniejszych wersjach) tę samą scenę namalowała, zachowując Caravaggiowską staranność o psychologiczny rys malowanych postaci, Artemisia Gentileschi (1593–1654). Judyta Artemisii nie ma jednak twarzy modelki. Ma jej własną twarz, w rysach Holofernesa współcześni malarce rozpoznali zaś oblicze Agostina Tassiego, który przyjaźnił się z ojcem artyst-

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

ki. Artemisia pobierała u Tassiego lekcje z perspektywy, przyjaciel ojca cieszył się zaufaniem młodej dziewczyny. Kiedy miała 16 lat, Tassi ją zgwałcił. I zrobił to jeszcze kilkukrotnie. Doszło do procesu, który wytoczył Tassiemu ojciec Artemisii, ona sama musiała przejść serię tortur, by okazać się wiarygodną w swych zeznaniach. Tassiemu nikt palców nie wykręcał i nie poddawał go upokarzającym badaniom, w swoich zeznaniach próbował dodatkowo pogrążyć ofiarę, oskarżając ją o nierząd, związek kazirodczy z własnym ojcem, który miał ją sprzedawać chętnym „za bochenek chleba". Zeznania Tassiego stały się z czasem tak wydumane, że sąd ostatecznie uwierzył dziewczynie. Tassiemu pozwolono wybrać między pięcioma miesiącami przymusowej pracy a takim samym czasem spędzonym na wygnaniu. Wybrał tymczasową banicję. Karze jednak nigdy się nie poddał. W trakcie procesu wyszło na jaw, że Tassi już kilka razy dopuścił się gwałtu na innych kobietach, podejrzewano też, że zlecił morderstwo swojej małżonki, która pewnego dnia przepadła bez wieści. Z zachowanych materiałów procesowych wynika, że Artemisia rozważała poślubienie swojego oprawcy, by ocalić honor. Nie wiedziała, że Tassi jest żonaty. Miesiąc po zakończeniu procesu Artemisię wydano za kuzyna jednego ze świadków, który stanął w jej obronie. Mariaż miał zmyć plamę z jej honoru. Po kilku latach wspólnego życia, małżonkowie rozstali się.

Trwający siedem miesięcy proces nie tylko odcisnął na psychice Artemisii niewątpliwie piętno, lecz także ukierunkował jej styl. Judyta Artemisii odcinając głowę Holofernesa-Tassiego wygląda na skoncentrowaną. W przeciwieństwie do Judyty-Filide na jej twarzy nie widać obrzydzenia. Jest determinacja silnej kobiety, która nie bawi się w delikatność, nie wzdryga na widok krwi, takiej Judyty do tej pory nie znano. I musiała przerażać widzów tego brutalnego spektaklu na płótnie.

W namiocie mordowanego Holofernesa krew ścieka po pościeli, wsiąka w tkaninę, jest jej dużo i wygląda bardziej realistycznie niż u Caravaggia, ponieważ blaknie. A sama Artemisia sprawia wrażenie kogoś, kto bez wysiłku mógłby tę głowę odcinać choćby codziennie. Gdyby miała moc nakazać tej głowie odrastać, zrobiłaby to bez wahania. I w pewnym sensie taką moc posiadła. Do sceny z Holofernesem wracała jeszcze wielokrotnie. W wersji z 1620 roku Judyta-Artemisia ma na sobie suknię w barwach ochry, mocno nasyconą, suknia Judyty-Filide jest bledsza. Nieprzypadkowy wybór. Żółć to kolor symbolizujący nienawiść. Chociaż w przypadku Artemisii nawet jej Judyta w sukni ultramarynowej niczym nie ustępuje swoją determinacją tej odzianej w żółć. Poza tym malarka w większości namalowanych scen biblijnych odziewa kobiece postacie w szaty w odcieniach ochry (vide: Estera i Maria Magdalena).

Cristofano Allori
„Judyta z głową Holofernesa", 1613

FOT. WIKIPEDIA (2)

▶ Awanturnica XVII-wiecznej Florencji

Mocno zarysowane brwi, orzechowe oczy z ciężkimi powiekami, delikatne, ale pełne usta i ciemne włosy opadające swobodnie na granatowo-czerwony płaszcz. Pod płaszczem suknia ze złotego adamaszku, bogato wytłaczana, nałożona na długą, białą koszulę. Całość przepasana kremowym szalem z frędzlami. Wzrok tej Judyty prowokuje, nie ma w niej determinacji Artemisii, obrzydzenia Filide, wyczuwa się raczej poczucie dobrze spełnionej powinności. Judyta z obrazu florentczyka Cristofana Alloriego mówi swoim spojrzeniem „zrobiłam, co trzeba, idę dalej". Jej szaty są czyste, na obrazie nie ma ani jednej kropli krwi, posągowa piękność zaciska dłoń na włosach Holofernesa, na jego odciętej głowie. Pokonany wódz ma rysy Cristofana Alloriego. Judyta to szaleńcza miłość malarza, taka, która zostawia zgliszcza i spaloną ziemię. Judyta alias Maria di Giovanni Mazzafirri – heroina wczesnego ba-

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

roku, florencka piękność, która rozkochała w sobie Alloriego, by następnie krok po kroku roztrwonić jego majątek, a nieszczęśnika zaprowadzić na skraj rozpaczy. To wersja historyka sztuki, Filippa Baldinucciego (1625–1697), który twierdził, że urocza „La Mazzafira" miała na Alloriego fatalny wpływ. Może faktycznie „La Mazzafira" owinęła sobie malarza wokół palca i wykorzystała, a może Baldinucci nigdy nie był zakochany. Tego już się nie dowiemy. Temperamentną Marię odnajdziemy nie tylko jako Judytę, lecz także jako Magdalenę i św. Katarzynę ze Sieny. Przez kilka lat pozowała Alloriemu, Judytą stała się po burzliwym rozstaniu. Wtedy też Allori w napadzie szału podarł szkice przedstawiające ją m.in. jako Magdalenę. To teraz podsumujmy: w czasie, gdy młodziutka i skrzywdzona Artemisia Gentileschi przymierzała się do swojej Judyty, Allori już kończył „własnego Holofernesa". Wyciśniętego jak cytryna przez najpiękniejszą awanturnicę XVII-wiecznej Florencji.

2 kwietnia przypadła 400. rocznica śmierci Alloriego. Zostawił po sobie mnóstwo portretów, scen biblijnych, obrazów zdobiących ołtarze, i to nie tylko florenckich kościołów. Ale to Judyta uczyniła go nieśmiertelnym, obraz zresztą od początku cieszył się podziwem i zainteresowaniem, a płótno znalazło się w kolekcji Medyceuszy. Przez stulecia było też chętnie kopiowane przez innych twórców. W europejskich muzeach można oglądać kilka kopii tego obrazu, jedna z nich znajduje się w Łazienkach Królewskich, w Galerii Obrazów Stanisława Augusta.

Religijna alegoria

Lucas Cranach starszy chętnie powracał do historii Judyty i Holofernesa, kilka obrazów namalowano też w jego fabryczko-warsztacie. Wersja z 1525 roku przedstawia Judytę z dwiema służącymi. Kobiety są odziane zgodnie z ówczesnym ideałem mody dworskiej, ich stroje nie odbiegają od typowego dla Cranacha zamiłowania do bladolicych, chętnie miedzianowłosych kobiet wpisujących się w ideał ucieleśniany przez Sybillę von Jülich-Kleve-Berg, księżnę Saksonii. W zależności od czasu powstania kolejnych Cranachowskich wariacji na temat Judyty i Holofernesa, jego obrazom przypisywano znaczenie polityczne. Na przykład portret Judyty z 1530 roku, gdzie widzimy bladą dziewczynę z rozpuszczonymi włosami i głowę Holofernesa położoną na stole, uznano za alegorię walki protestantów z katolikami. Judyta jako sprzymierzeniec świeżego powiewu, delikatna i kobieca, lecz zdeterminowana i przez to groźna dla siły, której do tej pory nikt nie śmiał kwestionować. Kolejna zabawa w Dawida i Goliata, tyle że z kobiecym i wielopoziomowym w sensie symboliki zarysowanym kontekstem. Ta Judyta ma w oku błysk przebiegłości. Nie rządzi nią namiętność. Ona kalkuluje i nieznacznie tylko uśmiecha się z wyższością w kierunku obserwatorów.

Lucas Cranach starszy „Judyta z głową Holofernesa", 1525

W 1530 roku powstał jeszcze inny portret Judyty z głową Holofernesa. Tym razem włosy zostały upięte, a pogromczyni wodza nosi aksamitny beret z Joachimikiem z wybitym imieniem króla Ludwika II Jagiellończyka. Władcy poległego w 1526 roku w bitwie pod Mohaczem. Ten szczegół miał przypomnieć patrzącym o tureckim zagrożeniu. Cranach był zatem nie tylko malarzem, rysownikiem i drukarzem, lecz także politykiem. I przemycał swoje poglądy dość często, nie tylko za pośrednictwem izraelskiej wdowy w renesansowych, koszmarnych rękawiczkach. Chociaż może czasem rozsądniej jest założyć rękawiczki. Portrecista Lutra był jednak człowiekiem praktycznym. ■

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Marek Kalinowski

Coś więcej niż fado

Zespół Bastarda ucieka od mrocznych dźwięków muzyki dawnej. Wspólna płyta z João de Sousa to nie tylko gratka dla miłośników fado, lecz przede wszystkim dla osób, którym z muzyką portugalskich pieśni nie było dotąd po drodze.

Dla słuchaczy, którzy śledzili dokonania zespołu Bastarda, najnowsza płyta „Fado" może wydawać się nieco zaskakująca. Trio w składzie Paweł Szamburski – klarnet, Tomasz Pokrzywiński – wiolonczela oraz Michał Górczyński – klarnet kontrabasowy, poruszało się dotąd w zupełnie innej przestrzeni muzycznej – zarówno czasowej, geograficznej, jak i emocjonalnej. Ich fonograficzny debiut „Promitat Eterno" to improwizacje wokół średniowiecznych pieśni Piotra z Grudziądza. Jeszcze mocniejszym wejściem w mroczny świat muzyki dawnej było drugie wydawnictwo „Ars Moriendi" skupione wokół tematu śmierci i rytuałów pogrzebowych. Wydawało się więc, że naładowane emocjami portugalskie pieśni można by umieścić niemal na przeciwległym biegunie do dotychczasowych muzycznych inspiracji Bastardy.

Bastarda & João de Sousa, FADO, Audio Cave

Impuls do przeskoczenia w niemal współczesny świat fado okazał się przypadkowy i nastąpił podczas spotkania zespołu z João de Sousa, artystą urodzonym w Portugalii, lecz od lat mieszkającym w Polsce. Pierwsze wspólne próby, a następnie koncerty, błyskawicznie udowodniły, że sposób myślenia Sousa o fado bardzo przypomina podejście członków Bastardy do dawnej muzyki średniowiecza. Połączenie ujmującego czułością głosu wokalisty, dźwięku jego gitary z unikalnym instrumentarium Bastardy zaowocowało nowymi, odrębnymi interpretacjami.

Bogaty repertuar fado musiał zapewne przejść wnikliwą selekcję, by odnaleźć się w „bastardowym" środowisku. Muzycy wybrali osiem utworów, w których miłośnicy gatunku bez problemu rozpoznają znane przeboje. Magiczne „Livro" urzeka już od pierwszych dźwięków, poprzedzając „Estranha forma de vida" oraz „Gondarém" z repertuaru królowej fado, Amalii Rodrigues. Jak bardzo zaiskrzyło między artystami, niech świadczy fakt, że cały materiał udało się zarejestrować „na setkę" – przy jednym podejściu, bez żadnych poprawek!

Przyjemnie jest zamknąć oczy i uciec myślami do zaułków odległej Lizbony, lecz zaskakująco łatwo też odnaleźć się przy dźwiękach „Fado" w naszym rodzimym krajobrazie. Być może to specyficzne podejście João de Sousa, a zapewne i wrażliwość muzyków Bastardy, sprawiły, że dobrze nam z tymi pieśniami nawet w tym nieco bardziej deszczowym i mglistym otoczeniu. Melancholia utworów, wpisana w nią tęsknota i nieustanna potrzeba zerkania w przeszłość okazują się szczególnie bliskie słowiańskiej duszy.

Znawców gatunku do sięgnięcia po płytę zapewne nie trzeba zachęcać, mam jednak wrażenie, że najnowsze dzieło Bastardy może szczególnie przypaść do gustu tym, którzy od fado wcześniej zdecydowanie stronili. Album porusza bowiem słuchacza niekoniecznie tymi elementami, które w powszechnym myśleniu mogłyby się kojarzyć z muzyką fado. Nie ma tu nadmiernej egzaltacji, przesady tak bardzo charakterystycznej w końcu dla tego gatunku. Jest za to wrażliwość na najdrobniejszy dźwięk, maksymalne skupienie i cisza. Cechy te w pieśniach Bastardy są przecież szczególnie ważne i ta właściwość sprawdziła się również w jej nowym, portugalskim repertuarze. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Sylwia Krasnodębska

Laur Niepodległości

Historia międzywojennej „Gazety Polskiej", zapisana na 900 stronach albumu Agnieszki Kowalczyk pt. „Laur niepodległości", to przepiękna opowieść nie tylko o brawurowym tytule prasowym, lecz także o heroizmie Polaków. Bo „Gazeta Polska" była czasopismem tych, którzy walczyli o niepodległość. „Łzy wzruszenia" – napisał na albicla.com redaktor Tomasz Sakiewicz tuż po tym, jak wziął ten album do ręki.

Gazeta Polska" z okresu II Rzeczypospolitej to nie tylko sucha kronika wydarzeń tamtych lat. To ogromny ładunek emocji, codziennych pragnień i obaw ludzi żyjących w tym czasie. Na kartach albumu spotykamy takich polityków jak Józef Piłsudski, aktorów, jak choćby Eugeniusza Bodo, oraz pisarzy. Odżywają emocje naszych dziadków i rodziców. Wraca Polska dzięki tak bliskiej memu sercu nazwie gazety... – mówił Tomasz Sakiewicz, redaktor naczelny „GP" w dniu premiery książki.

Ludzie z najściślejszych elit II RP

Pierwszy numer „Gazety Polskiej" w międzywojniu ukazał się 30 października 1929 roku. Na stronie tytułowej znalazło się zdjęcie Józefa Piłsudskiego w mundurze marszałka, a nad nim umieszczono napis „Pod Twoim przewodem".

Gazeta stanowiła główny organ prasowy obozu piłsudczyków i była dziennikiem informacyjnym poświęconym polityce, gospodarce, oświacie, kulturze i literaturze. Jej autorzy chcieli rozwoju Pol-

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

ski i czynnie w tym uczestniczyli. „Gazeta Polska" z lat 1929–1939 urasta do rangi medium przeszłości, dzięki któremu można zrekonstruować wielowymiarowy obraz Polski międzywojennej wyłaniający się z dziesiątków przywołanych tekstów publicystycznych, naukowych i literackich. Album ten stanowi syntezę najważniejszych osiągnięć II Rzeczypospolitej oraz przybliża portrety największych indywidualności tego czasu związanych z „Gazetą Polską". Publicyści polityczni tej miary co Ignacy Matuszewski, Bogusław Miedzieński czy Wacław Makowski wprowadzają w burzliwy nurt ówczesnego życia parlamentarnego, komentują bieżące wypadki polityczne, piszą o koncepcji polskiej państwowości wypracowanej przez obóz piłsudczyków, o „granitowych drogowskazach Józefa Piłsudskiego" i o jego dążeniu do wzmocnienia władzy wykonawczej w państwie – informuje autorka albumu „Laur niepodległości" Agnieszka Kowalczyk.

▶ Słowo drukowane w walce o ojczyznę

Wykuwanie idei tytułu dla niepodległego Polaka niosło za sobą wizję Polski niezależnej, nowoczesnej i świadomej swych korzeni. Międzywojenna „Gazeta Polska" walczyła za pomocą słowa właśnie o te idee i była tym samym kontynuatorką swojej wielkiej dziewiętnastowiecznej poprzedniczki, ukazującej się pod tym samym tytułem w latach 1826–1907, a założonej przez młodych, zbuntowanych romantyków-konspiratorów, walczących w czasach niewoli o ocalenie narodowej tożsamości i odrodzenie ojczyzny. O historii tamtego okresu opowiada pierwszy album Agnieszki Kowalczyk „Zwierciadło polskości XIX stulecia. »Gazeta Polska« w latach 1826–1907". Najnowszy album przedstawia czasy po 123 latach życia pod zaborami, stąd dziennik tętni życiem – są oczywiście historyczne analizy i porywające relacje z tamtych czasów. Są żywe opowieści żołnierskie według najlepszych wzorców wojennych reportaży. Opisy bitew pod Krzywopłotami, Łowczówkiem, Kostiuchnówką czy Kaniowem. Na łamach gazety relacjonowano wydarzenia z życia gospodarczego kraju i najważniejsze inwestycje ekonomiczne II Rzeczypospolitej – powstanie portu morskiego w Gdyni, Centralnego Okręgu Przemysłowego w widłach Wisły i Sanu oraz najnowocześniejszej w Europie Fabryki Związków Azotowych w Mościcach.

Publicyści bacznie obserwowali i opisywali osiągnięcia w dziedzinie nauki i techniki. Bohaterką tekstów była noblistka Maria Skłodowska-Curie – odkrywczyni radu i polonu, a także Ignacy Mościcki – twórca polskiego przemysłu chemicznego. Możemy się tylko domyślać, jak silne musiały być emocje czytelników czytających gorące doniesienia o pierwszych samochodach krajowej konstrukcji – Ralfie Stetyszu i CWS T-1, o mknących z zawrotną prędkością z Warszawy do Zakopanego Lux-Torpedach, o pierwszych polskich transatlantykach – „Piłsudskim", „Batorym" i „Sobieskim" czy też o wielkim zwycięstwie Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury w słynnych międzynarodowych zawodach powietrznych Challenge'u.

Na łamach „Gazety Polskiej" publikowane były dzieła najwybitniejszych twórców dwudziestolecia międzywojennego – Zofii Nałkowskiej, Poli Gojawiczyńskiej, Zofii Kossak-Szczuckiej, Wacława Sieroszewskiego, Kazimierza Wierzyńskiego, Jana Lechonia, Michała Choromańskiego, Ferdynanda Goetla i Gustawa Morcinka. Były wiersze twórców Skamandra – Juliana Tuwima, Jarosława Iwaszkiewicza, Jana Lechonia, Bolesława Leśmiana, Leopolda Staffa i Kazimiery Iłłakowiczówny. Dziennik ilustrowały barwne szkice krajoznawcze Rafała Malczewskiego.

▶ Przedwojenne napięcia pod lupą „GP"

„Laur niepodległości" przybliża również relacje redaktorów „Gazety Polskiej" z powstawania na ich oczach III Rzeszy.

Redaktorzy opisywali kierunki polityki Hitlera, pisali o prowokacjach niemieckich na granicy z Polską, o podpaleniu Reichstagu, powszechnym zbrojeniu się Niemiec, charakterze stosunków polsko-niemieckich i wizycie ministra Józefa Becka w Berlinie.

„Przedwojenna »Gazeta Polska« była jednym z głównych źródeł wiedzy i platformą wymiany opinii ówczesnych Polaków. Na jej łamach nie tylko żywo komentowano spory polityczne, prezentowano śmiałe wizje rozwoju naszego państwa, lecz także ostro punktowano aktywność stronnictw politycznych. »Gazeta Polska« była medium zaangażowanym w dyskusję dotyczącą przyszłości Rzeczypospolitej, wyraźnie sympatyzującym z wizją polityczną Marszałka Józefa Piłsudskiego. Zatroskanym o przyszłość i bezpieczeństwo naszej ojczyzny. To bez wątpienia łączy dzisiejszą »GP« z jej międzywojenną poprzedniczką" – napisała na pierwszych stronach albumu Katarzyna Gójska, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Polskiej".

Album „Laur niepodległości" dostępny na stronie sklep.gazetapolska.pl i pod nr telefonu 722 111 655. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

„Tych historii, o jakich dziś panu opowiem, nie znajdzie pan nigdzie. W żadnych przewodnikach ani w internecie" – pani Teresa na moment poważnieje. „Oddałam temu miejscu całą swoją naukową karierę. O tym miejscu trzeba ludziom mówić".

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Powrót do przeszłości

Obraz Matki Bożej Pocieszenia powstał na kanwie obrazu Matki Bożej Śnieżnej z rzymskiej bazyliki

Tych historii, o jakich dziś panu opowiem, nie znajdzie pan nigdzie. W żadnych przewodnikach ani w internecie" – pani Teresa na moment poważnieje. „Oddałam temu miejscu całą swoją naukową karierę. O tym miejscu trzeba ludziom mówić".

– A bo my was tu lubimy... – uśmiecha się zza maski ojciec Jan.

– Naprawdę? – odpowiadam nieco zaskoczony.

– No, pewnie. Swoi ludzie! Niedawno byli tu z telewizji. Ale dziś „Nowe Państwo"... No, nie... Ugościmy pana redaktora, ugościmy... – śmieje się dalej pogodny salezjanin.

Rzeczywiście, lubią nas. Nigdzie indziej nie dostałem do tej pory pysznego cappuccino dostarczonego w ozdobnej filiżance na sam przyklasztorny taras na wzgórzu. Z kapitalnym widokiem na rozlewiska Wisły.

– To przez covid... – tłumaczy się duchowny. – Normalnie bym się tak nie wygłupiał z tym wynoszeniem kawy poza klasztor. Ale obostrzenia, środki ostrożności. Sam pan rozumie.

▶ Stary dom przy placu

Czerwińsk nad Wisłą. Wiekowa osada na prawym brzegu szerokiego koryta największej polskiej rzeki. Na tyle wiekowa, że zapiski dotyczące osadnictwa na tutejszej skarpie znajdujemy jeszcze w „Falsyfikacie Mogileńskim", królewskim dokumencie datowany na... 1065 rok. Uznającym uposażenie benedyktynów z Mogilna, którym to król Bolesław Krzywousty zbudował kościół parafialny pod wezwaniem św. Wojciecha.

Swego czasu Czerwińsk nad Wisłą był jednym z najbardziej okazałych ośrodków życia politycznego i kulturalno-gospodarczego Mazowsza. Trudno się zresztą dziwić. Wszak miejscowość leżała pośrodku rozległej krainy. W miejscu, w którym przecinały się wszelkie szlaki handlowe – zarówno lądowe, jak i wodne. Łatwiej teraz zrozumieć, dlaczego w tak prężnie rozwijającym się ośrodku miejskim wielu możnych chciało pozostawić swój ślad. Także ten wieczny. Jak choćby Konrad II Książę Mazowiecki. Pragnący spocząć na zawsze w tutejszym kościele.

Mając poparcie takich możnowładców Czerwińsk sięgał po kolejne zaszczytne funkcje i honory. Wkrótce na tutejszych placach zaczęły zbierać się sejmy obradujące pod gołym niebem. Wszystkiemu zaś przyglądali się regularnie odwiedzający czerwińskie wzgórze książęta mazowieccy i królowie polscy.

Przeskoczmy na moment kilka wieków do przodu. Jakieś 750 lat. Jest wiosna 2021 roku. Podłużny i owalny plac Batorego w centrum Czerwińska nad Wisłą. Ze studzienką pośrodku. Objeżdżany w tej chwili ze wszystkich stron przez dwóch chłopców szalejących na rowerach. Jest już po trzynastej. Słońce wygoniło pozostałych mieszkańców w bezpieczniejsze miejsca ukryte w cieniu.

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

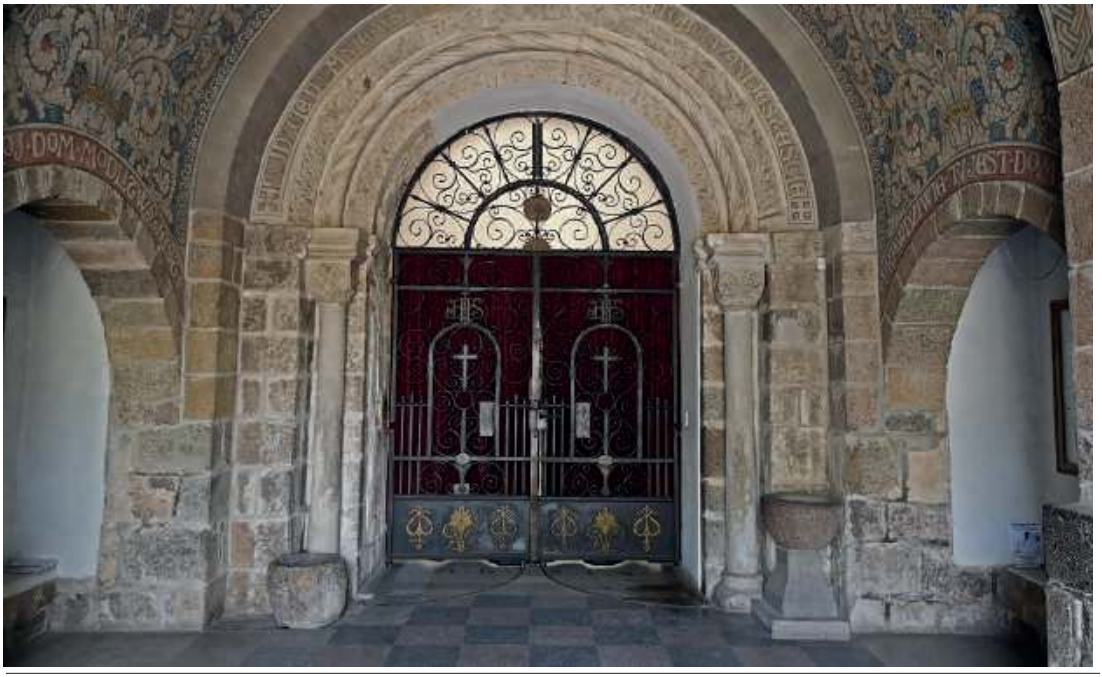

Wielki Portal jest tym, co jako pierwsze rzuca się w oczy każdego, kto przekracza próg czerwińskiej świątyni

W południowo-zachodniej części placu stoi prawdopodobnie najstarszy zachowany dom Czerwińska. Wzniesiony z grubych bali sosnowych o konstrukcji zrębowej nadaje splendoru temu miejscu. Od strony ulicy ktoś pomalował go brązową farbą. Boczne ściany zostały jednak nietknięte. Część desek zdążyła spróchnieć. Widać nieszczelności. I to dość sporej wielkości.

– Przepraszam, mogę tu zaparkować? – słyszę naraz dziewczęcy głos. Odwracam się, by zobaczyć młodą panią, która właśnie czeka, aby zaparkować samochód pod, jak się zaraz okaże, własną posiadłością. Póki co jej miejsce parkingowe zajmuje mój statyw.

– Pani wybaczy, nie zauważyłem.

– Nic się nie stało. Nie spieszy mi się. Pan dokończy zdjęcia. Spokojnie poczekam.

Za kilka chwil sympatyczna pani znika na podwórku charakterystycznego drewnianego domu. Wystarczy krótki spacer po miejscowości, aby zorientować się, że podobnie wiekowych chat jest tu znacznie więcej. Większość z nich już zrujnowana. Z powyłamywanymi deskami. Ze zbitymi szybami w oknach. Z zarośniętymi trawnikami w przydomowych ogródkach. Obok jednego z tego typu ogródków widać tablicę. Z informacją o jakimś dawnym moście.

Pod Grunwald po moście

Ponoć budowali go w tajemnicy. W odległej stąd gęstej Puszczy Kozienickiej. To właśnie w cieniu potężnego pradawnego boru pełnego turów i niedźwiedzi zamówieni przez królewski dwór Władysława Jagiełły drwale ścinali kolejne pnie najpotężniejszych sosen. By następnie wiślańscy szkutnicy i flisacy mogli skonstruować z nich pokaźnej wielkości elementy. Elementy składowe potężnych łodzi. To właśnie z tych łodzi za kilka miesięcy powstanie most. Jak się wkrótce okaże, kluczowa inwestycja w grunwaldzkiej strategii wyprawy polskich oddziałów jadących bić się z Krzyżakami.

Gdy w poniedziałek 30 czerwca 1410 roku Władysław Jagiełło zleca zwinięcie obozu we wsi Kozłów, królewskie oddziały ruszają w kierunku Wisły. Po drugiej stronie rzeki mają spotkać się z wojskiem Witolda. W tym miejscu rzeka do dziś tworzy koryto niemal kilometrowej szerokości. Król jest jednak spokojny. Kilka dni temu gońcy wrócili do obozu z dobrymi wiadomościami. Most pod Czerwińskiem jest już gotowy.

Ze spławionych nurtem rzeki łodzi utworzono zawczasu potężną konstrukcję. Most łyżwowy. Na tyle potężny, aby przeprawić nim przez rzekę całą królewską armię wraz z bombardami i zaopatrzeniem. Ważki mo-

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Freski z XII i XIII wieku to bez wątpienia prawdziwy skarb czerwińskiej świątyni. To właśnie przed tymi starszymi (na zdjęciu po lewej stronie) modlił się przed bitwą pod Grunwaldem Władysław Jagiełło

ment. I nader istotny manewr w przedgrunwaldzkiej potyczce. Za chwilę najprzedniejsi rycerze króla znajdą się w komplecie po północnej stronie rzeki. Będą gotowi. Chwilę po tym, jak ostatni z przeprawiających się był już na lądzie, most zaczęto rozbierać. A następnie wodować do pobliskiego Płocka. Drugiego takiego mostu nigdy więcej w tym miejscu nie zobaczono.

▶ Jak to drewno na budowę Arki rąbali

– Zanim król Jagiełło ruszył na grunwaldzkie pola, spędził w kościele niemal całą noc – wspomina ojciec Jan, który do dziś oprowadza grupy po sanktuarium. – Ponoć leżał krzyżem pod tymi freskami.

Duchowny wskazuje mi prawą nawę świątyni, gdzie na końcu widać naścienne malowidła. Te, o których mowa, znajdują się po lewej stronie kaplicy. Przedstawiają sceny Męki Zbawiciela. Pochodzą jeszcze z XII wieku.

– Dałby pan wiarę, że to, na co pan teraz patrzy, to XII wiek?... – ojciec Jan jest wyraźnie poruszony pamiątką, jaką skrywa jego świątynia.

– A te freski na wprost nas? – pytam, zaciekawiony innymi malowidłami, wytworzonymi w nieco odmiennej technice. Pośród nich w oczy rzuca się fresk ludzi rąbiących drzewo.

– Te są z kolei z wieku XIII – śmieje się salezjanin. – Taka różnica.

– A o co chodzi z tym rąbaniem drzewa?

– To obraz ścinania drzewa na potrzeby budowy Arki Noego.

– Na to bym nie wpadł.

– Panie Stefanie... – echo głośnego westchnięcia ojca Jana odbija się w zimnych murach czerwińskiej świątyni. – Gdyby to się do dziś zachowało w całości... Przecież tu była cała historia Starego Testamentu. Choć to, co pan teraz ogląda, to i tak największy romański fresk w Polsce.

– Nie spodziewałem się, że na czerwińskim wzgórzu znajdę aż tyle ciekawostek... – przyznaję się, nie bez cienia zawstydzenia. O niektórych pamiątkach zachowanych w czerwińskim klasztorze można wprawdzie przeczytać w książkach. Ale jak widać, nie o wszystkich.

– To dopiero początek, panie Stefanie.

– Czyli jest coś więcej?

– Zapraszam do lewej nawy...

▶ Niemiecki profesor kradnie kołatkę

Na końcu ciemnej nawy widać pojedyncze drzwi. Dość wąskie i wysokie. Całe z drewna. Przy wątłym

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Fragment tzw. Małego Portalu

świetle w tej części kościoła można odnieść wrażenie, że prowadzą one do jakiegoś innego wymiaru.

– Wie pan, że to jedyne takie drzwi w kraju? – z moich rozmyślań wybudza mnie pełen pasji głos ojca Jana.

– Jak to? – nie do końca rozumiem.

– To jedyne gotyckie drzwi drewniane w Polsce. Mało tego. Kiedyś były jeszcze piękniejsze. Miały kołatkę.

– Nawet widać po niej ślad... – zauważam, wskazując charakterystyczne okrągłe odciśnięcie w drewnianych deskach drzwi.

– Tak, pozostał tylko ślad. Kradzieży dokonał Niemiec. Połasił się, bo i zabytek był to nie lada. Wszak kołatka była z XII wieku.

– Próbowaliście ją odzyskać?

– Czy próbowaliśmy? Panie Stefanie, nadal próbujemy! Ale póki co jesteśmy mało skuteczni. Ostatnio doszły nas wieści, że kołatka jest na czarnym rynku w Holandii.

Po chwilowej zadumie na twarz ojca Jana ponownie wraca uśmiech. – Wróćmy do naszych czerwińskich ciekawostek. Był pan już za ołtarzem?

– Nie, nie byłem. A mogę tam wejść?

– No żesz! – wykrzykuje teatralnie duchowny. – Człowiek z „Nowego Państwa" miałby nie wejść za ołtarz? Już otwieram. Pan poczeka, gdzieś tu mam pęk kluczy.

Za kilka minut wspólnie wchodzimy przez zabytkową zakrystię. Kilka sprawnych ruchów salezjanina, chwilka mocowania się ze starymi zamkami i wreszcie po pokonaniu trzech grubych drzwi wchodzimy do wschodniej absydy świątyni.

– Widzi to pan?... – nie trzeba być detektywem, aby szybko rozpoznać, że ojciec Jan to prawdziwy entuzjasta architektury tej świątyni. – Toż to prawdziwy Dürer! O jego dziełach na Wawelu czy w Krakowie wie niemal każdy! Ale okazuje się, że ten nieznany nikomu fresk, na który pan teraz patrzy, to jedno z jego większych dzieł naściennych!

Rzeczywiście. Szesnastowieczny fresk robi wrażenie. Stając w ciasnej zaołtarzowej absydzie, zawalonej sprzętem do konserwacji, drabiną i innymi zakurzonymi przedmiotami, czuję się przez chwilę jak ktoś, przed kim odkryto długo skrywane dzieło.

– Podoba się? – ojciec Jan najwidoczniej nie skończył jeszcze swego oprowadzania. – Niech pan spojrzy poniżej.

Pod wspomnianymi freskami Albrechta Dürera widać fragment ściany pomazany różnorakimi wpisami. Przypomina to troszkę szkolne graffiti.

– To osiemnastowieczne intencje. Pradawne inskrypcje. Tak ponad 250 lat temu pielgrzymi przybywający na to wzgórze upamiętniali swoje modlitwy. Czuje pan ważkość tego, na co w tej chwili patrzymy?

Na ścianie widać przede wszystkim ślady po wypisanych imionach. Ze wszystkich najwyraźniejszy jest chyba ten z imieniem Stanislaum.

▶ Jak to królewscy rycerze miecze sobie ostrzyli

Bazylika w Czerwińsku. Największa romańska świątynia w Polsce. Wybudowana jeszcze w XII wieku. O tym, jak mogła wyglądać w oryginale, można się przekonać, spacerując prawą nawą odrestaurowanego kościoła. Tam to bowiem zupełnym przypadkiem podczas prac odkryto fragment murów, dziś już przykrytych barokową farbą. Odkrycie pozostawiono do dziś. Jako świadectwo. Widok litych kamieni, ułożonych jeden na drugim, zachwyci niejednego znawcę średniowiecznej architektury.

Sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia to niezwykłe miejsce na pątniczej mapie naszego kraju. O cudach tutejszego wizerunku Maryi (namalowanego na wzór słynnego obrazu przechowywanego w rzymskiej Bazylice Matki Bożej Śnieżnej) można pisać książki. Wszak to przed nim modlili się królowie. Choćby Władysław IV dziękując za ocalenie z choroby. Zaś Jan Kazimierz oddawał tu losy wyprawy na Bohdana Chmielnickiego (legenda głosi, że właśnie wówczas podczas modlitwy króla Matka Boża Pocieszenia zapłakała prawdziwymi łzami).

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Drewniany krzyż klasztoru księży salezjanów

– O wyprawie Władysława Jagiełły pewnie już pan słyszał... – zagaja kolejny temat ojciec Jan.

– Tak, o przeprawie przez Wisłę też.

– Ale ja nie o tym. Niech pan spojrzy tutaj... – salezjanin zaprasza mnie do kamiennej kolumny głównego portalu kościoła. Tej podpierającej konstrukcję z prawej strony. – Widzi pan to?

Na kolumnie widać dosyć ostre rysy. Są także spore powierzchnie jakby czymś przyszlifowane. Jakby zdarte. – To ślady po mieczach rycerzy Jagiełły. Ostrzyli sobie na tej piaskowej kolumnie swoje miecze.

Matka Boża Pocieszenia

O samej zaś Matce Bożej Pocieszenia usłyszymy w Czerwińsku świadectw bez liku. Choćby o uzdrowionym ze śmiertelnej choroby Stasiu, synu tutejszego organisty. O mężczyźnie, który jadąc z Płocka do Warszawy poczuł przynaglenie, by zjechać z trasy i wstąpić na czerwińskie wzgórze. Nie bywał w kościele. U spowiedzi był 40 lat wcześniej. Akurat był Wielki Tydzień. W świątyni panie przygotowały już makietę Grobu Pańskiego. Z prowokującym napisem „Uwaga, wejście grozi nawróceniem". Wchodzącego do grobu mężczyznę obserwował posługujący tego dnia w konfesjonale ksiądz Edmund. Po kilkudziesięciu minutach zalany łzami mężczyzna podszedł do kratek, prosząc o sakrament odpuszczenia grzechów. Jest też historia pewnej pani, która straciła wzrok wskutek choroby. Przyjechała z córką na Mszę świętą do czerwińskiego kościoła. Zaraz po wyjściu ze świątyni ze spokojem powiedziała do córki: „Ależ ty się do kościoła ubrałaś...". Wzrok wrócił.

Sieroty w klasztorze

– Bo widzi pan... U salezjanów to nawet suchy chleb smakuje jak najlepsza małmazja – pani Teresa, rodowita czerwinianka zajmująca się historią sanktuarium, wyraźnie się uśmiecha. – Jak ich nie lubić?

– Taka sympatia na pewno skądś się bierze... – usiłuję ciągnąć za język moją rozmówczynię.

– Oni po prostu kochają ludzi – odpowiada z przekonaniem w głosie kobieta.

O tej miłości najdobitniej świadczą wydarzenia z zimy 1945 roku. W środę 7 lutego tuż po tym, jak Niemcy opuścili Czerwińsk, ktoś ze wzgórza zauważył sznur postaci idących po zamarzniętej Wiśle. W pierwszej chwili mieszkańcy przestraszyli się, że oto hitlerowscy okupanci wracają. Dopiero po chwili jeden z młodzieńców pobiegł nad brzeg i krzyknął z dala: „Nie, to ksiądz Hieronim! Prowadzi dzieci!".

Dwaj salezjanie prowadzili osierocone przez wojnę dzieci. Zebrali je z okolicznych wiosek. Straciły rodziców, domy, dzieciństwo. Nie miały teraz nikogo. Ktoś z obserwujących dziwił się tylko nazbyt obszernej posturze torującego drogę księdza Hieronima. Po chwili okazało się, że pod szynelem wojskowym, w jaki był opatulony, był schowany czteroletni Michaś. Uwieszony na szyi bohaterskiego salezjanina.

– Wtedy w klasztorze był tylko jeden pokój. Księża nie mieli jedzenia nawet dla siebie, a co dopiero dla takiej ferajny około czterdziściorga dzieci... – wspomina pani Teresa, raz po raz ocierając dyskretnie łzę. – Przepraszam, ale zwykle wzruszam się, gdy opowiadam tę historię.

– Co więc zrobili?

– Księża nie musieli już nic robić. Zareagowali mieszkańcy. Moja babcia piekła wówczas chleb. Kazała synom zanieść wszystko do klasztoru. Za jej przykładem poszli pozostali mieszkańcy Czerwińska. Kto co miał przekazywał na klasztor. Na te maleńkie osierocone biedaczyska. Widzi pan... To było doprawdy niezwykłe. Z pobliskiej wsi Garwolewo ktoś przywiózł na furmance kaczki. Babcia popruła dziadkowi sweter, by uszyć dzieciom piżamy. Wszyscy dawali, co mieli. A wie pan, co było w tym wszystkim najlepsze? – oczy pani Teresy świadczą, że na finał opowieści zachowała sobie najciekawszą puentę. Następnego dnia na Wiśle puściły lody.

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Drewniane drzwi gotyckie czerwińskiego sanktuarium to jedyny tego typu element w całym kraju

Diabeł w salezjańskim ogrodzie

– Ja to w ogóle ich podziwiam. Siłą rzeczy jako rodzina żyliśmy od pokoleń niejako w cieniu ich duchowości. Salezjańskiego sposobu postrzegania wiary. Ujmowała nas ich skromność. Ich entuzjazm – w głosie pani Teresy ponownie słychać wzruszenie. – Tuż przed wojną wielu tutejszych nowicjuszy zaczęło chorować. Przyjechali więc lekarze, aby ich zbadać. I stwierdzili, że księża są przemęczeni i niedożywieni.

– Pracowali ponad swoje siły?

– Dokładnie. Młodzi mężczyźni wstawali latem o 5:30, zimą o 6:00. Pracowali, studiowali, służyli. Do swoich pokojów mogli wrócić dopiero o godzinie 21:00. Po wojnie nowicjusze dostali dodatkowe 15 minut drzemki. Popołudniem. Ale nie we własnym łóżku. Mogli się zregenerować, ale tylko na krzesełku. Tak hartowali swojego ducha. I nigdy nie słyszałam, aby się żalili. Aby narzekali. To by nie było w stylu salezjanina.

Podobnie jak nie byłoby w stylu salezjanina pilnowanie klasztornego ogrodu. Zwłaszcza gdy przychodziła pora zrywania jabłek. Swego czasu do klasztoru co rusz zaczęła włamywać się grupka łebków z miasteczka. – Gdyby tylko brali jabłka, nie byłoby problemu – wspomina pani Teresa, która osobiście zna młodych złodziejaszków. – Ale oni niszczyli całe drzewa. Zrzucali jabłka, a sami brali ledwie po kilka sztuk. Potem te owoce gniły, a gałęzie się łamały.

To właśnie wówczas dwóch salezjanów postanowiło wziąć sprawy w swoje ręce. Tak się składa, że było to rodzeństwo. Bracia samego przyszłego kardynała Hlonda: Antoni i Ignacy. Zakradli się wieczorem obserwować, czy ktoś nie będzie chciał sforsować ogrodzenia do klasztornego ogrodu. Gdy chłopcy przyszli, zakonnicy opuścili swoją kryjówkę i zaczęli biec w stronę przeskakujących złodziejaszków. A że było ciemno, niedoszli złodzieje wystraszyli się nie na żarty. Potem rozpuścili plotkę w miasteczku, że w salezjańskich ogrodach mieszka diabeł. Sami też nigdy już tu nie wrócili po nocy. Włamania się skończyły.

W oczekiwaniu

Jest poniedziałek. Dzisiaj w kościele pusto. – Ludzie przyjadą w weekend – stwierdza podczas obiadu ksiądz Łukasz, kustosz sanktuarium. – Czekamy, aż minie pandemia. Żeby to miejsce na nowo zaczęło żyć.

Bo czerwińskie wzgórze musi znów żyć. Kilka boisk do gry w piłkę nożną i siatkówkę. Urokliwy ogród. Park. Ławki, by przysiąść. Wszystko tylko czeka na normalne niepandemiczne czasy.

– Młodzi kochają to miejsce – dodaje pani Teresa. – Sama pracuję w szkole i niejednokrotnie przyłapywałam swoich urwisów, jak pędzili grać w piłkę do salezjanów. Teraz sama czekam, aż to wszystko wróci.

– Ludzi na pewno mniej. Ale nie ma się co smucić. Wrócą. Jeśli Bóg będzie chciał, to wrócą na pewno – uśmiecha się pogodnie ojciec Jan. – A tymczasem cieszmy się tym, co mamy. Wciąż przecież żyjemy... A my, panie Stefanie, mamy jeszcze jeden powód do świętowania teraz.

– To znaczy?

– Pan prezydent podpisał właśnie rozporządzenie w sprawie uznania naszego opactwa za pomnik historii! Dołączamy w ten sposób do największych 113 zabytków w Polsce. Nawet pan nie ma pojęcia, jak się cieszę!

Radość. Uśmiech. Pokój. Opuszczając gościnne czerwińskie wzgórze nad Wisłą nie sposób nie mieć poczucia, że spędzony tu czas był jednym z tych najlepiej wykorzystanych. Szkatuła pełna średniowiecznych historii. Piękno pejzażu. Leniwa atmosfera małomiasteczkowej ulicy. Śmiejący się szeroko ojcowie salezjanie. I spoglądająca na Mazowsze swoim troskliwym okiem Pani Pocieszenia. Teraz już naprawdę można bez lęku wracać do domu. Już pora. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Krzysztof Karnkowski

W poszukiwaniu nowego „Dark”

Choć prawie rok temu zakończyła się wyjątkowa przygoda z serialem „Dark”, a zamknięcie ostatniego sezonu nie daje pola dla żadnej sensownej kontynuacji, nadający serię Netflix zdając sobie sprawę z jej fenomenu, próbuje zdyskontować ten sukces. Sami zaś twórcy „Dark”, Baran Bo Odar i Jantje Friese, pracują już nad kolejnymi produkcjami. Na co więc czekamy, a co już mogliśmy obejrzeć po zakończeniu zapętlonej wędrówki czterech rodów z niemieckiego Winden?

Wkrótce po tym, gdy „Dark” był już dostępny w całości, ujawniono informacje, że Odar i Friese pracować będą nad dwoma kolejnymi tytułami dla Netfliksa.

Okręt na wzburzonym morzu

Niedawno zobaczyliśmy zwiastun pierwszej nowej produkcji, serialowego horroru „1899”. Opowiadać ma o dramatycznej wyprawie ku lepszemu życiu i nieznanemu światu statku pełnego imigrantów z różnych części Europy. Podróż przeradza się w koszmar, gdy na swej drodze napotkają inny statek, pozornie pełen ludzi w takiej samej jak oni sytuacji. Co ciekawe, już widać, że twórcy nie rezygnują z tego, czym porwali publiczność wcześniej, czyli z ambitnego podejścia do swego dzieła. Pierwszy filmik zaostrza apetyt, nie pokazując nam właściwie niczego poza okrętem na wzburzonym morzu. Przez złowieszczą muzykę przebijają się głosy kilkorga bohaterów, z których wyłowić możemy dramatyczne wezwanie do ucieczki, wykrzyczane po polsku przez pojawiającego się w obsadzie Macieja Musiała. Poszczególne postacie mówić mają bowiem we własnych językach. Co ciekawe, liternictwo wykorzystane w graficznym przedstawieniu tytułu nawiązuje do

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

szaleńczej gonitwy w przód i w tył czasu z jednego z ostatnich odcinków trzeciej serii „Dark". Czy zobaczymy podróże w czasie? Na razie nie wiadomo, ile przyjdzie nam czekać na serial, gdyż zdjęcia dopiero się rozpoczynają.

Drugi tytuł, nad jakim pracować mają Friese i Odar, to „Tyll". O nim wiemy tylko tyle, że fabuła oparta ma być na nie przetłumaczonej dotąd na polski książce Daniela Kehlmanna, która z kolei czerpie wiele z folklorystycznych opowieści o żyjącym w czasach wojny trzydziestoletniej błaźnie o tym właśnie imieniu.

Nie jak „Dark"

Ponieważ na produkcje niemieckiej pary trzeba czekać, pustkę fanom próbują zapełnić inni. W katalogu amerykańskiego giganta pojawiły się więc dwie europejskie produkcje, próbujące odcinać od sukcesu „Dark" kupony. Jedna miała ku temu pewne prawa – przy „Plemionach Europy" pracowała część ekipy odpowiedzialnej za tamten serial. Drugą, duńską „Równonoc", porównywano do niemieckiego arcydzieła głównie poprzez marketing szeptany, mam jednak wrażenie, że tak naprawdę zrobiono serialowi tylko krzywdę. Wystąpiło bowiem zjawisko, które na swój użytek nazywam „efektem »Snowpiercera«". Przypomnijmy, „Snowpiercer" w wersji filmowej to międzynarodowy blockbuster sprzed kilku lat, wyreżyserowany przez Bong Joon-ho, który później publiczność i krytykę porwał swoim „Parasite". Jednak film, o którym tu mówimy, nie odniósł tak oszałamiającego sukcesu, choć był całkiem udaną i artystycznie, i gatunkowo antyutopią. Stało się tak prawdopodobnie dlatego, że promocja obrazu została oparta na porównaniach do największych arcydzieł światowej kinematografii, co rozbudziło oczekiwania, których „Snowpiercer" udźwignąć zwyczajnie nie mógł. Skoro więc „Równonoc" miała być „duńską odpowiedzią na »Dark«", również straciła swoje szanse na starcie, „Dark" przecież nie będąc. To zupełnie inna opowieść, wpisana w częsty schemat. Kilkoro nastolatków zaczyna fascynować się martwym, jak się zdaje, kultem religijnym, wyrusza tropem zachowanych po nim pamiątek, napotyka grupę, która wydaje się podobnymi do nich imprezowiczami-rekonstruktorami... Potem kilka osób znika, a po latach siostra jednej z ofiar chce wyjaśnić zagadkę. Aż chce się powiedzieć „było!". Serial toczy się zbyt wolno, spokojnie mógłby być po prostu dwugodzinnym filmem, choć nie można odmówić mu, zwłaszcza w drugiej połowie, pewnego klimatu. To jednak zdecydowanie za mało, by spełnić oczekiwania. Warto dodać, że jest to produkcja dość zachowawcza, w klimacie końca lat 90.

„Plemiona Europy" to historia infantylna i wtórna wobec wielu klasyków z pogranicza fantasy i antyutopii, z trylogią „Igrzyska śmierci" na czele. Z ech „Dark" mamy tu Olivera Masucciego, tam w roli dorosłego Ulricha Nielsena, tajemniczy sześcian Atlantów, podobny do sztucznie wytwarzanego przez „boską cząstkę" przejścia w czasie, i... to chyba tyle. Teoretycznie świat „Plemion Europy" mógłby być uniwersum powstałym po apokalipsie rozpoczętej w Winden, lecz nic na to nie wskazuje. W klimacie tamtego serialu mamy niektóre wnętrza i pojedyncze sceny, zwłaszcza finałową, jednak wszystko to ginie w powodzi innych odniesień i gatunkowych klisz. Tytułowe plemiona żyją na terenach osieroconych przez Unię Europejską, stopniowo padając ofiarą najbardziej bezwzględnych Wron i czekając na niesprecyzowane zagrożenie ze wschodu. Pośród narastającej, lecz jeszcze odległej zawieruchy śledzimy losy rozdzielonej trójki rodzeństwa, w którym dziewczyna ewidentnie wzorowana jest na Katniss z „Igrzysk śmierci", strzela nawet z łuku. Z kolei wątek nadchodzącego zła przywodzi na myśl „Grę o tron". Jak więc widać, „Plemiona Europy", jadąc na legendzie „Dark", mieszają tyleż oczywiste, co najłatwiejsze do zidentyfikowania inspiracje, co powoduje, że serial porwać może chyba tylko najmłodszych odbiorców. Tyle że chwilami epatuje dość mocno perwersyjnymi relacjami wśród Wron i ich niewolników, co wymusza ograniczenia wiekowe. Dużo jest tu naiwnej, ekologicznej propagandy, trochę też idealizowania Unii Europejskiej, a pewne wątki sygnalizują, że w drugim sezonie dostaniemy większą dawkę tych składników.

Koreańska odpowiedź

Aby wyczerpać wątek, trzeba wspomnieć jeszcze o dwóch koreańskich produkcjach. Dostępny na Netfliksie „The King. Eternal monarch" to historia alternatywnych światów, w którym drugą Koreę od właściwej odróżniają monarchia i... tramwaje (we współczesnym Południu nieobecne). Z kolei na portalu viki.com widz znajdzie serial „Alice", w którym mamy i alternatywne światy, i podróże w czasie, i mnóstwo dość bezceremonialnych nawiązań, tyle że wtłoczonych w inną i bardzo w duchu koreańską historię. I choć czasem właśnie ta koreańskość szkodzi oryginalnemu klimatowi, paradoksalnie w tym ostatnim serialu jest go jednak najwięcej. Można więc sięgnąć po te produkcje, czekając na efekty pracy Friese i Odara. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Hanna Shen

DEMOGRAFICZNY KRYZYS W CHINACH

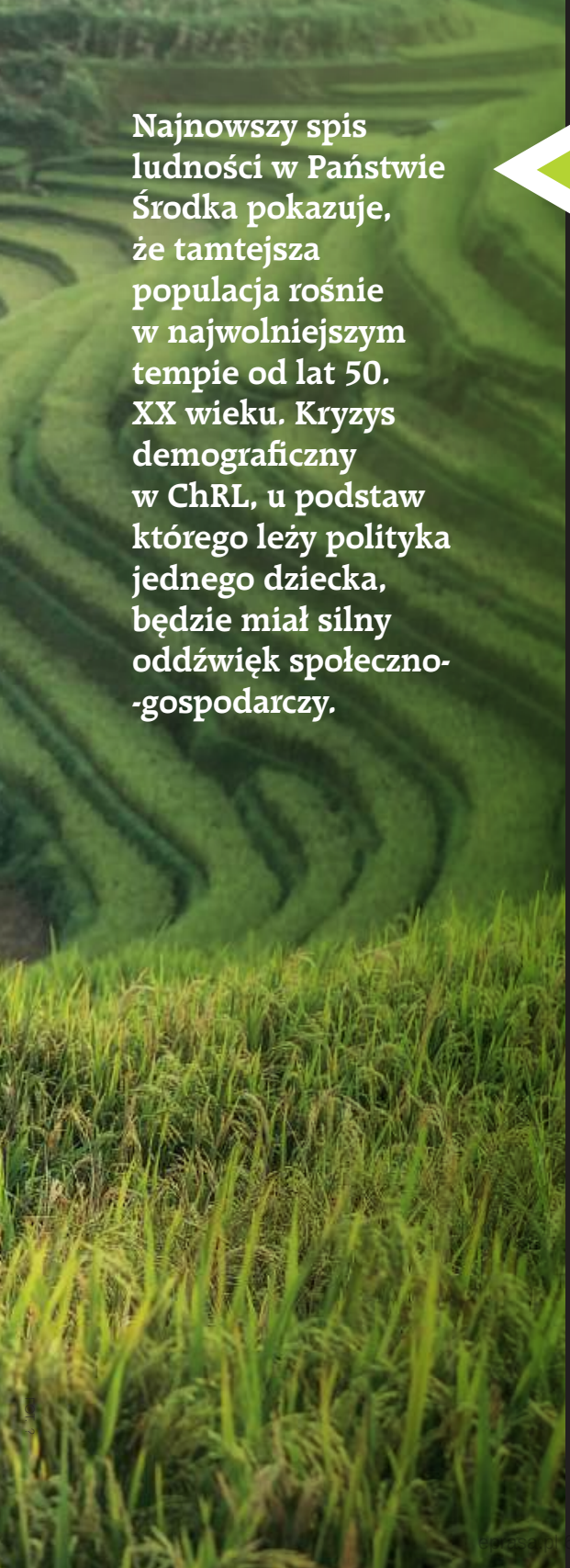

Najnowszy spis ludności w Państwie Środka pokazuje, że tamtejsza populacja rośnie w najwolniejszym tempie od lat 50. XX wieku. Kryzys demograficzny w ChRL, u podstaw którego leży polityka jednego dziecka, będzie miał silny oddźwięk społeczno-gospodarczy.

fot. ADOBE STOCK

Komunistyczne władze Chin miały opublikować wyniki spisu powszechnego w kwietniu bieżącego roku. Rządzący zwlekali jednak z ogłoszeniem dokumentu przez miesiąc, zdając sobie sprawę, że zawarte w nim statystyki są bardzo niepokojące.

Dane niewygodne dla władzy

Najnowszy Narodowy Spis Ludności[1] wykazał, że populacja w Państwie Środka wynosi 1 411 778 724 ludzi w porównaniu z 1 397 724 852 dziesięć lat wcześniej. Średni roczny wzrost liczby ludności wyniósł 0,53 proc. i był mniejszy od 0,57 proc. ze spisu powszechnego z 2010 roku. To oznacza, że podjęte w ostatnich latach działania mające na celu odwrócenie spadającego wskaźnika urodzeń w Chinach okazały się niepowodzeniem. Tempo wzrostu jest najniższe od czasu Wielkiego Skoku Naprzód, katastrofalnej kampanii gospodarczej przeprowadzonej w latach 1958–1962[2].

Poluzowanie częściowo kontroli urodzeń w 2016 roku też nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Liczba nowo narodzonych w 2020 roku wyniosła 12 mln (najmniej od 60 lat), co jest spadkiem o 18 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Współczynnik dzietności w ChRL wynosi 1,3, co jest dalekie od wskaźnika 2,1 potrzebnego do utrzymania populacji na stałym poziomie. Liczba ta jest również niższa niż w Japonii (wskaźnik 1,37), jednym z najstarszych krajów świata. Niektórzy badacze szacują, że w ciągu najbliższych 10 lat liczba chińskich kobiet w wieku 22–35 lat spadnie o ponad 30 procent.

Chińskie społeczeństwo starzeje się szybciej niż osiąga średni bądź wysoki poziom zamożności. „Brutalnym faktem jest to, że Chiny szybko się starzeją. Bardziej brutalnym faktem jest to, że Chiny starzeją się, zanim staną się bogate" – twierdzi Larry Hu, główny ekonomista Chin w banku Macquarie Group.

Według danych zawartych w spisie, odsetek ludności w wieku 60 lat i więcej wzrósł do 18,7 procent. 10 lat wcześniej wynosił on 13,26 procent. Populacja osób w przedziale 15–59 lat, czyli w wieku produkcyjnym, spadła z 70,14 proc. do 63,35 procent.

---

[1] Spis ludności w Chinach przeprowadzany jest co 10 lat.

[2] Ogłoszona przez Mao Zedonga w 1958 roku kampania miała przynieść sześciokrotnie zwiększoną produkcję przemysłową. Zbiory miały wzrosnąć dwukrotnie. W rzeczywistości plan doprowadził do zapaści gospodarczej i klęski głodu. Zanim się z niego wycofano, zmarły dziesiątki milionów ludzi.

eprasa.pl 661ea9bfc8

Dodali 14 mln dzieci

Pojawiły się głosy, że te i tak niepokojące dla władz dane demograficzne mogą być dużo gorsze. Statystyki w Chinach dość często dotyka „kreatywność" komunistycznych aparatczyków. Dobrze opisał to David Matas, kanadyjski prawnik, który od lat zajmuje się tematem przymusowego pobierania organów w Chinach. „Chiny, a raczej partia komunistyczna, mówią wiele rzeczy [...], tworzą statystyki służące własnym politycznym celom [...]. Partia uznaje rzeczywistość za autentyczną, gdy odpowiada ona ich celom politycznym" – stwierdził adwokat.

Tym razem na nieścisłości w spisie zwrócili uwagę dziennikarze japońskiego „Nikkei Asia Review".

Najnowsze statystyki podają, że w Chinach jest ponad 253 mln dzieci w wieku do 14 lat. Jednak według oficjalnych danych urzędu statystycznego w latach 2006–2020, tj. wtedy, gdy te dzieci mogły przyjść na świat, w Państwie Środka miało miejsce około 239 mln narodzin. Tak oto według najnowszego spisu ludności w Chinach w grupie wiekowej 0–14 lat w jakiś magiczny sposób pojawiło się dodatkowo 14 mln dzieci. Japońska gazeta sugeruje, że chińscy oficjele zawyżyli tę liczbę, by udowodnić, że wprowadzone w ostatnich latach zmiany w polityce demograficznej, a przede wszystkim rezygnacja z polityki jednego dziecka na rzecz polityki dwójki dzieci, przynoszą rezultaty.

Najpierw było ludobójstwo

U podstaw kryzysu demograficznego w Chinach leży wprowadzona w 1979 roku przez Deng Xiaopinga polityka jednego dziecka. Miała ona, według komunistów, zapobiec eksplozji demograficznej i rozprzestrzenianiu się biedy. W rzeczywistości była to największa zbrodnia dokonana przez chińskich komunistów na własnym narodzie. „Z tego powodu w Chinach nie żyje 400 mln dzieci. To więcej niż cała populacja USA" – zauważa Reggie Littlejohn, szefowa pozarządowej organizacji Women's Rights Without Frontiers. Amerykańska organizacja All Girls Allowed przypomina, że na skutek narzuconych przez komunistów przepisów życie straciło ponad 37 mln dziewczynek.

W ramach chińskiej polityki kontroli urodzeń dochodziło do ogromnych wypaczeń. W 2005 roku niewidomy prawnik Chen Guangcheng[3], który m.in. dokumentował przymusowe aborcje i sterylizacje, opisał przerażającą historię, jaka spotkała kobiety z miasta Linyi (prowincja Shandong). Gdy okazało się, że miejscowa ludność nie przestrzega „polityki planowania rodziny", grupa odpowiedzialna za jej wdrażanie w prowincji Shandong porwała 17 tys. kobiet. Te, które były w ciąży, zostały poddane aborcji, pozostałe – sterylizacji. W Chinach dochodziło też do przypadków uśmiercania dziewczynek, by męski potomek mógł przedłużyć imię rodu. W łagodniejszej formie pragnący syna rodzice nie rejestrowali dzieci płci żeńskiej. Taki „nielegalny" maluch nie miał prawa do edukacji ani opieki zdrowotnej.

W 2016 roku władze chińskie zniosły politykę jednego dziecka i zezwoliły parom na posiadanie dwojga dzieci. Ale kontrola urodzeń „nadal polega na presji społecznej, edukacji, propagandzie, karach ekonomicznych oraz na działaniach takich jak obowiązkowe badania ciążowe i przymusowe aborcje oraz sterylizacje". Opublikowany w 2017 roku raport amerykańskiego Departamentu Stanu donosił, że nadal obowiązywały przepisy takie jak te w prowincji Hunan, stwierdzające, że „ciąże, które nie są zgodne z warunkami ustanowionymi w prawie, powinny zostać niezwłocznie zakończone. Tym, którzy nie przerwali natychmiast ciąży, lokalne władze powinny zlecić aborcję w określonym terminie". Podobne „środki zaradcze" wymieniane są w przepisach w innych prowincjach, m.in. w Guizhou, Jiangxi, Qinghai i Yunnan. Według Departamentu Stanu władze samorządowe w ChRL otrzymały wyraźne wytyczne dotyczące postępowania w wypadku ciąż osób niepełnosprawnych. Prawo przewiduje zmuszanie do przerywania ciąży, jeżeli w trakcie badań prenatalnych wykryto u dziecka możliwą niepełnosprawność. Ma to służyć „zwiększeniu odsetka urodzeń dzieci bez niepełnosprawności".

Drogo i niezdrowo

Mimo wciąż obowiązujących obostrzeń, polityka kontroli urodzeń zmieniona w 2016 roku miała poprawić sytuację demograficzną w Chinach. Ostatni spis ludności pokazuje, że tak się nie stało. Chinki niespecjalnie chcą rodzić dzieci, zwłaszcza drugiego potomka. Powodów jest kilka, m.in. wysokie koszty wychowania dzieci i zatrute środowisko.

Pary, które chcą mieć dziecko, stają w Państwie Środka przed trudnymi wyzwaniami ekonomicznymi. Wiele z nich dzieli zatłoczone mieszkania z rodzicami. Nie stać ich na swój własny kąt. Opieka nad dziećmi jest droga, a urlopy macierzyńskie

[3] Chen Guangcheng za pomoc prześladowanym i opisywanie przypadków łamania swobód obywatelskich w Chinach nieraz był więziony. 22 kwietnia 2012 roku uciekł z aresztu domowego i schronił się na terenie ambasady USA. W wyniku interwencji amerykańskich polityków kilka dni później Chen i jego rodzina otrzymali paszporty i mogli wyjechać do USA.

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

krótkie. Do tego dorzucić trzeba rosnące koszty edukacji i opieki zdrowotnej. Większość samotnych matek nie jest objęta ubezpieczeniem zdrowotnym i zasiłkami socjalnymi. Chiny to też nadal państwo o niskich dochodach. W maju ubiegłego roku premier Li Keqiang przyznał, że w komunistycznych Chinach 600 mln ludzi ma miesięczny dochód w wysokości zaledwie 1000 juanów (około 560 zł).

Wielu z przyszłych rodziców wyraża też obawy o środowisko, w jakim przyjdzie wychować im dzieci. Ten temat poruszyła w opublikowanym w 2015 roku w internecie filmie pt. „Pod kopułą" dziennikarka śledcza Chai Jing. Dokument pokazał, jak bardzo w Państwie Środka zatrute jest powietrze, oraz opisał wszystko to, co uniemożliwia poprawę istniejącej sytuacji – naciski ze strony lobby energetycznego, opór władz lokalnych i nieprzestrzeganie uchwalonych przepisów. Chai Jing przyznała, że do stworzenia takiego materiału pchnęła ją rodzinna sytuacja. Będąc w ciąży, dowiedziała się, że jej dziecko ma guza i będzie musiało zaraz po urodzeniu przejść poważną operację. Lekarze przyznali dziennikarce, że w Chinach coraz więcej dzieci rodzi się z problemami zdrowotnymi, na co bezpośredni wpływ ma zatrute środowisko.

„Kiedy w 2004 roku rozmawiałam z sześciolatką, która nigdy nie widziała błękitnego nieba i białych chmur, nie zdawałam sobie sprawy, że tego, o czym ona mówiła, może także doświadczyć moja córka. W Pekinie w 2014 roku powietrze w ciągu 175 dni było wysoce zanieczyszczone. To znaczy, że w ciągu jednego roku przez połowę czasu nie mam wyjścia i muszę moją córkę trzymać w domu jak więźnia. Oglądałam kiedyś telewizyjny serial »Pod kopułą«. To była historia małego miasteczka, które nagle zostało otoczone przez kopułę, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Mieszkańcy zostali odcięci od świata i bez możliwości wydostania się. Pewnego dnia zrozumiałam, że żyjemy w takiej samej rzeczywistości" – tak dziennikarka relacjonowała w swoim filmie to, co dzieje się z Matką Naturą w Chinach. Zanim dokument Chai Jing zablokowała cenzura, tylko w ciągu tygodnia obejrzano go 300 mln razy. Komentarze wielu młodych widzów mówiły wprost, że młodzi boją się mieć dzieci w tak zatrutym środowisku, obawiają się, że będą one chore.

Do kwestii zanieczyszczonych wód i powietrza trzeba dodać dość częste w Państwie Środka skandale związane ze skażoną żywnością czy wadliwymi szczepionkami. A sposób, w jaki władze w Pekinie zataiły rozwijającą się w Wuhan epidemię koronawirusa, nie wzmacnia zaufania młodych do państwa. Nie sprawia, że wierzą oni, iż w takich warunkach, jakie stworzyła im KPCh, ich dzieci mogą być bezpieczne.

Potrzebne zmiany

Pekin robi dobrą minę do złej gry, twierdząc, że spowolnienie demograficzne jest kontrolowane, a działania rządu dotyczące polityki demograficznej przynoszą pozytywne wyniki. Aby zmniejszyć kryzys demograficzny, eksperci Banku Ludowego Chin, centralnego banku w Państwie Środka, radzą, by całkowicie porzucił politykę kontroli urodzeń. Musi być także dokonana reforma systemu emerytalnego. W tej chwili ponad 18 proc. Chińczyków ma ponad 60 lat: są to osoby niepracujące i mające skłonność do oszczędzania. Badanie opublikowane w 2019 roku przez Chińską Akademię Nauk już wówczas ostrzegało, że fundusze emerytalne mogą się skończyć w 2035 roku.

Trzeba też poprawić produktywność zwłaszcza w przedsiębiorstwach państwowych, a to wymaga położenia większego nacisku na kształcenie zawodowe, badania naukowe i infrastrukturę cyfrową.

Eksperci twierdzą również, że zmiany w polityce demograficznej będą przebiegały powoli, jeśli nadal królować będzie brak przejrzystości działań rządu i nieskuteczne gromadzenie danych.

Chiński kryzys – nasz problem

Kryzys demograficzny w Chinach to zagrożenie dla wzrostu gospodarczego i stabilności kraju. Komunistyczna Partia Chin zdaje sobie sprawę, że w starzejącym się społeczeństwie bez odpowiedniej liczby siły roboczej problemy ekonomiczne będą tylko narastać, a to może doprowadzić do wzrostu niezadowolenia społecznego i protestów. Ich eskalacja może nawet oznaczać utratę władzy.

Ale problemy demograficzne Chin to także problem dla świata, który jest uzależniony od produkcji w Państwie Środka. Pandemia spowodowała, że zaczęliśmy częściej mówić o potrzebie zmiany łańcuchów dostaw. Jednak ta polityka uniezależnienia się i odcinania od dostaw z Chin powinna nastąpić także ze względu na kryzys demograficzny w Państwie Środka. Według Raymonda Yeunga, hongkońskiego ekonomisty z banku ANZ, „w ciągu najbliższych kilku lat Chiny stracą 70 milionów (swojej) siły roboczej. Oznacza to więc wielki szok dla globalnego łańcucha dostaw". ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

DILERZY Z ROSYJSKIEJ AMBASADY. Argentyna, kokaina, FSB

Antoni Rybczyński

eprasa.pl

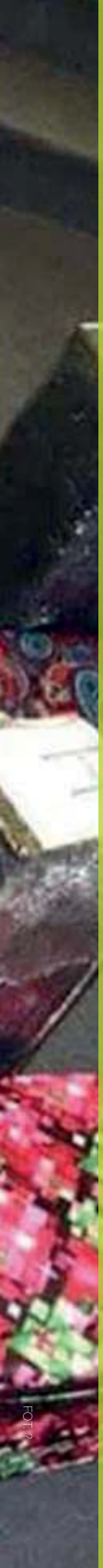

Zaczęło się od znalezienia setek kilogramów białego proszku w schowku przy garażu rosyjskiej szkoły w Buenos Aires pod koniec 2016 roku. Choć tak naprawdę nie wiemy do dziś, kto, kiedy i czy w ogóle „znalazł" kokainę. Prowadzący proces argentyński sędzia co chwila napotyka przeszkody i ma do czynienia z białymi plamami w aktach sprawy. To skutek tego, że strona argentyńska przez długi czas dała się wodzić za nos rosyjskim służbom. Ale nawet mimo to, zeznania kolejnych świadków demaskują porażający obraz rosyjskiej placówki dyplomatycznej jako punktu przerzutu narkotyków oraz pokazują, że rosyjska FSB – gdy stało się jasne, że nie da się dłużej ukryć procederu – skupiła się na zacieraniu śladów, a nie szukaniu prawdziwych winnych.

fot. Courtesy of Argentina's Security Ministry

Na ławie oskarżonych zasiada sześć osób. A dokładniej, na dwóch ławach. Równolegle bowiem toczą się dwa procesy w tej samej sprawie. W Buenos Aires dwóch obywateli argentyńskich, imigrantów z Rosji. W Moskwie czterech obywateli rosyjskich. Cała szóstka została zatrzymana na przełomie 2017 i 2018 roku po trwającym ponad rok śledztwie służb argentyńskich i rosyjskich. Proces w Moskwie jest niedostępny dla mediów. Więcej można się dowiedzieć z procesu w Buenos Aires (prowadzonego w formie połączeń wideo ze względu na pandemię) – i są to informacje pozwalające przypuszczać, że część personelu Ambasady Federacji Rosyjskiej w Buenos Aires wiedziała o prowadzonym od lat procederze przemytu narkotyków. Rolę magazynu odgrywał garaż szkoły, gdzie uczą się dzieci rosyjskich pracowników ambasady, zaś towar wysyłano do Europy pocztą dyplomatyczną. Także na pokładzie rządowych samolotów, którymi latają najwyżsi przedstawiciele państwa, z prezydentem i sekretarzem Rady Bezpieczeństwa na czele.

Kokaina w szkole

13 grudnia 2016 roku pułkownik Claudio Cavallo miał pierwszy dzień służby w nowym przydziale: specjalnej jednostce antynarkotykowej Narodowej Żandarmerii w Buenos Aires. Późnym wieczorem został pilnie wezwany do siedziby ówczesnej minister bezpieczeństwa Argentyny, Patricii Bullrich. Gdy wszedł do biura, byli tam już ambasador Rosji Wiktor Koronelli, trzej funkcjonariusze FSB i pierwszy sekretarz ambasady rosyjskiej odpowiedzialny za bezpieczeństwo Oleg Worobiew. Ten ostatni był tłumaczem. O tym, co się działo podczas spotkania, wiemy z pamiętników Bullrich (była ministrem w latach 2015–2019) oraz z zeznań świadków w procesie. Zacznijmy od tego, że w dzielnicy Recoleta Rosja posiada trzy budynki. Ambasada i konsulat znajdują się w sąsiadujących ze sobą gmachach, szkoła zaś leży jakieś 700 metrów od nich, na innej ulicy. Ten budynek, pod adresem Posadas 1663, ambasada sowiecka wynajmowała od końca lat 40. XX wieku. Pod koniec następnej dekady obiekt Sowieci kupili. To czteropiętrowy samodzielnie stojący budynek o powierzchni około 1,5 tys. metrów kwadratowych. Oprócz pomieszczeń, w których uczą się dzieci pracowników ambasady, jest tam jeszcze siedem mieszkań. Kiedyś mieszkali tam dyplomaci, teraz nauczyciele i pracownicy administracji. W budynku jest też garaż. Tam właśnie – jak powiedzieli Bullrich Rosjanie – znaleziono blisko

eprasa.pl 5e1ea9bfc8

400 kilogramów kokainy. Zdenerwowany ambasador prosił o pilne wyniesienie wypełnionych narkotykiem walizek ze szkoły. Jednak postanowiono inaczej. Ustalono, że trzeba wymienić kokainę na mąkę, pozostawić ładunek na zapleczu i poczekać, aż ktoś po niego przyjdzie. Argentyńska żandarmeria w towarzystwie ludzi z FSB i rosyjskich dyplomatów natychmiast wyruszyła na miejsce.

„Stał tam dyplomatyczny samochód, z którego korzystał tłumacz Oleg [Worobiew]. Z jednej strony były krzesła, stoły i jeszcze jedno wejście do garażu. A obok niego jeszcze jedno: wiodące do maleńkiego pokoiku. W tym małym pomieszczeniu były walizki" – zeznał później w sądzie pułkownik Cavallo. Kokainę podmieniono na mąkę z piaskiem (chodziło o ciężar), w walizkach umieszczono nadajniki GPS, a na miejscu zainstalowano monitoring. Działał od grudnia 2016 do marca 2017 roku, lecz argentyńska żandarmeria ciągle miała z nim techniczne problemy, często traciła sygnał i w efekcie tak naprawdę nie nagrano niczego ważnego dla śledztwa. Argentyńczycy w tej sprawie w pełni zdali się na rosyjskich partnerów – jakie są tego skutki? O tym nieco później.

Wróćmy do nieszczęsnych walizek. Ambasadorowi spadł kamień z serca, bo już nie było narkotyku na terenie dyplomatycznym. Ale bardzo długo nikt po nie nie przychodził. W międzyczasie uruchomiono śledztwo, wytypowano podejrzanych i pilnie ich inwigilowano. Co ważne, podejrzanych wskazali stronie argentyńskiej Rosjanie. Minął rok. W grudniu 2017 roku w końcu walizki zostały zabrane i wysłane do Moskwy. Jako... bagaż dyplomatyczny. Wtedy przyszedł czas na zakończenie działań operacyjnych. Na lotnisku w stolicy Rosji zatrzymano trzy osoby, które miały odebrać walizki. Ale co najciekawsze, walizki te przyleciały zza oceanu... specjalnym samolotem rządowym. Poinformowała o tym Patricia Bullrich na konferencji prasowej 22 lutego 2018 roku – gdy już zatrzymano wszystkich podejrzanych w sprawie: wspomnianych trzech Rosjan w Moskwie, dwóch rosyjskich imigrantów w Buenos Aires, a po kilku miesiącach poszukiwań, rzekomego organizatora całej siatki, ukrywającego się w Niemczech (został wydany Rosji).

Minister bezpieczeństwa Argentyny potwierdziła, że w grudniu 2017 roku kokaina miała była nadana „jako bagaż dyplomatyczny rosyjskim samolotem rządowym". Na ujawnionych przez argentyńską stronę zdjęciach operacyjnych widać nawet, o jaki dokładnie samolot chodzi. To Ił-96 numer 96023. Strona rosyjska natychmiast temu zaprzeczyła, twierdząc, że zdjęcia zostały zmanipulowane. Skąd ta nerwowość? Otóż według brytyjskiego „Daily Telegraph", tym samolotem w grudniu 2017 roku do Buenos Aires z roboczą wizytą wybrał się nie kto inny, jak sekretarz Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej Nikołaj Patruszew. Przy okazji z powrotem do kraju przywiózł kilkaset kilo kokainy.

Kozły ofiarne?

W wyniku śledztwa w Buenos Aires na ławie oskarżonych zasiadło dwóch obywateli Argentyny pochodzenia rosyjskiego – policjant Iwan Blizniuk i mechanik okrętowy Aleksandr Czikało. Główny dowód to zapis podsłuchanych rozmów telefonicznych. Śledczy uważają, że Blizniuk wykorzystując swoją pozycję służbową mógł przemycić narkotyki omijając kontrole graniczne i policyjne, zaś Czikało odpowiadał za logistykę przemytu. Pierwszemu grozi 18 lat więzienia, drugiemu – 15. Równocześnie w Moskwie sądzone są cztery osoby w tej sprawie: rzekomy organizator międzynarodowej grupy przestępczej Andriej Kowalczuk (podawał się za biznesmena z kontaktami w MSZ i rządzie, nie raz gościł w Ambasadzie FR w Buenos Aires), były kierownik administracyjny ambasady Ali Abjanow, a także Władimir Kałmykow i Isztimir Chudżmanow. Żadna z sześciu sądzonych w Buenos Aires i Moskwie osób nie przyznaje się do winy. Blizniuk i Czikało twierdzą, że poznali Kowalczuka poprzez ambasadę rosyjską. „Przedsiębiorca" powiedział, że chce eksportować argentyńską wołowinę i importować do tego kraju z Rosji kaszę gryczaną, koniak i czekoladę. Zaproponował wspólny interes, ale dalszych rozmów nie było. Były kierownik Abjanow przyznaje, że już wcześniej brał na przechowanie – na terenie ambasady – rzeczy Kowalczuka za opłatą, ale był pewien, że w walizkach są wino, kawa i kamienie półszlachetne. Sam Kowalczuk odmówił składania zeznań. Proces moskiewski, w przeciwieństwie do procesu argentyńskiego, jest prowadzony w trybie zamkniętym dla dziennikarzy. To, co się tam dzieje, można ocenić tylko na podstawie wypowiedzi adwokatów. Ci zaś mówią, że Kowalczuk w areszcie śledczym przeszedł już dwa udary...

Według oficjalnie przyjętej wersji śledztwa Kowalczuk to oszust, który przez 10 lat zyskał zaufanie pracowników różnych rosyjskich placówek dyplomatycznych. Przedstawiał się a to jako pracownik służby bezpieczeństwa Ambasady Rosji w Niemczech, a to pracownik rosyjskiego centrum kultury pod egidą MSZ. Dawał też do zrozumienia, że jest oficerem służb specjalnych. Raz

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

mówić miał, że pułkownikiem GRU, innym razem, że Służby Wywiadu Zagranicznego, jeszcze innym, że FSB. Drzwi do różnych ambasad Kowalczukowi otwierały bliskie kontakty z wysokimi rangą pracownikami departamentu konsularnego MSZ Rosji: Aleksandrem Dudkojem, Lwem Pauzinem i Aleksandrem Niezimowem. To oni mieli przekazywać informacje o specjalnych transportach dyplomatycznych i wystawiać Kowalczukowi przepustkę do budynku ministerstwa. Miał być on tak przekonujący – uważają śledczy – że personel różnych ambasad bardzo szedł mu na rękę. Nas jednak szczególnie interesuje placówka argentyńska. Kowalczuk wielokrotnie prosił jej pracowników o wysłanie jego pakunków pocztą dyplomatyczną. Kierownik administracyjny ambasady Ali Abjanow zeznał, że na przykład w 2012 roku wysłał „bardzo ciężką walizkę" dla Kowalczuka „rosyjskim samolotem cargo" z lotniska w Montevideo w Urugwaju. Tą drogą Abjanow miał potem wysyłać walizki Kowalczuka jeszcze wiele razy, za każdym razem dostając od niego za przysługę tysiąc dolarów. Mówi, że nigdy nie sprawdzał, co jest w bagażu. Ostatnia przesyłka – wspomniane blisko 400 kilogramów kokainy – nie było więc pierwszym takim transportem.

Mówiąc w skrócie: „dyplomatyczny Nikodem Dyzma" zbudował siatkę współpracowników, która przez lata bezkarnie przemycała narkotyki z Ameryki Łacińskiej do Europy w przesyłkach mających status poczty dyplomatycznej. Oczywiście personel ambasady nic nie wiedział o tym (wszak Abjanow nawet „nie zaglądał, co jest w środku"), a służby nie dostrzegły problemu. Choć na przykład wspomniana kokaina przez wiele miesięcy leżała sobie tuż obok samochodu należącego do szefa bezpieczeństwa ambasady. Wersja to nadzwyczaj naiwna i jak już pokazały pierwsze zeznania w argentyńskim sądzie, kompletnie nietrzymająca się kupy... Spójrzmy więc na luki i wątpliwości w całej sprawie.

▶ Znikający narkotyk

Zacznijmy od tego, że nie wiadomo nawet tak naprawdę, kiedy i w jakich okolicznościach Rosjanie odkryli kokainę. Obecna wersja mówi, że 25 listopada 2016 roku nowy kierownik administracyjny Oleg Rogow, który zmienił na stanowisku Abjanowa (ten wrócił do Moskwy), zainteresował się 12 walizkami stojącymi w pokoiku przy garażu. Zadzwonić miał od razu do odpowiadającego za bezpieczeństwo placówki Worobiewa. Otworzyli walizki. Worobiew, zeznając w moskiewskim procesie, powiedział, że spróbował białego proszku i zorientował się, że to kokaina. Ale wcześniej Rosjanie mówili, że walizki odkryto 5 grudnia 2016 roku rano. FSB twierdzi, że przeprowadzono szybki test potwierdzający, że to kokaina, po czym narkotyk włożono z powrotem do walizek, a te zapieczętowano. Dokument opisujący całą procedurę przesłano żandarmerii argentyńskiej. Jako jedni z pierwszych w procesie w Buenos Aires zeznawali żandarm Sergio Fabian Schoninger i jego naczelnik, szef specjalnej jednostki antynarkotykowej Jose Maria Valdes. Schoninger zeznał w sądzie, że FSB nie przekazała ani wyników pierwszego testu, ani nagrania z otwarcia walizek.

Kolejne ważne pytania. Dlaczego Rosjanie nie zawiadomili od razu władz argentyńskich? Dlaczego ambasador z takim opóźnieniem poprosił o usunięcie narkotyku z terenu należącego do ambasady, skoro była to tykająca polityczna bomba? Nie był wcześniej poinformowany o znalezisku? A jeśli wiedział, to czy naciskała na niego FSB? Na te pytania śledczy nie mają odpowiedzi. W sprawie nie brakuje dziwnych rozbieżności. Kapitan Guillermo Hernan Gonzales zatrzymywał Blizniuka w lutym 2018 roku, a wcześniej, w nocy z 13 na 14 grudnia 2016 roku, był wśród żandarmów, którzy pojechali do szkoły, gdzie ukrywana była kokaina. Czterej świadkowie, którzy zeznawali przed Gonzalesem, mówili, że zobaczyli „kolorowe i nie nowe" walizki. Kapitan Gonzales zeznał coś innego: walizki miały być przykryte czarną nylonową tkaniną, a same były owinięte w papier pakowy i związane sznurkami. W pierwszej notatce pułkownika FSB Murawiewa na temat znaleziska, będącej pierwszym dokumentem w całym śledztwie argentyńskim dotyczącym narkotyków, wskazuje się, że kokaina ważyła 388 827,8 gram. Ale już w dokumentacji FSB z 2017 roku jest tylko 362 174 gram. Partia kokainy „schudła" o 26 kilogramów, czyli jakieś 2 mln dolarów... Wiele rzeczy wyjaśniłoby przejrzenie zapisów z kamer monitoringu w szkole, umieszczonych zarówno na zewnątrz, jak i w środku budynku. Ale ambasada rosyjska kategorycznie odmówiła ich wydania żandarmerii argentyńskiej. Kokainę na mąkę wymieniano pospiesznie w nocy na 14 grudnia 2016 roku. Zgodnie z prawem wszystko powinno być zarejestrowane – ale akurat ten moment, gdy Schoninger zamiast narkotyków wypełniał walizki mąką „dociążoną" piaskiem, nie został nagrany... Adwokat Blizniuka uważa, że nocne nagranie ze szkolnego garażu zostało zmontowane i budzi wiele pytań.

Dlaczego rosyjscy śledczy zgarnęli „płotki" na lotnisku w Moskwie, zamiast zaczekać, aż towar trafi do finalnych odbiorców? Kowalczuk miał podobno

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

zeznać, że część kokainy była przeznaczona dla rosyjskich parlamentarzystów. Wiele wskazuje na to, że w procederze brało udział wielu urzędników MSZ, a więc i wiedziały o tym służby. Niewykluczone, że do rosyjskiej ambasady dotarł przeciek, iż strona argentyńska wie o działającej w placówce siatce przestępczości zorganizowanej. Wtedy Rosjanie zdecydowali, że sami „wykryją" narkotyki, przenosząc sprawę na poziom dyplomatyczny i polityczny, a potem manipulując w trakcie śledztwa Argentyńczykami. Jedno jest pewne, wielu ważnym osobom w Moskwie zależy bardzo na tym, żeby sprawie ukręcić łeb, a dokładniej zakończyć ją wyrokami skazującymi na obecnym etapie, po czym zamknąć. Krótko po oficjalnym znalezieniu kokainy w szkole w Buenos Aires, w moskiewskim mieszkaniu znaleziono ciało Piotra Polszikowa, jednego z głównych urzędników zajmujących się Ameryką Łacińską w MSZ Rosji. Kowalczuk w śledztwie zeznał, że Polszikow był jego patronem. Ale ten już w tej sprawie nic nie powie. Miał śmiertelną ranę postrzałową głowy. Policja uznała to od razu za „wypadek" przy czyszczeniu pistoletu. W lutym 2018 roku, gdy ujawniono całą sprawę, jeden z portali rosyjskich napisał, że dziewięcioro rosyjskich dyplomatów mogących mieć związki z „kokainową aferą" zmarło na atak serca w okresie między odnalezieniem walizek a kluczowymi aresztowaniami pod koniec 2017 roku. Co ciekawe, na artykuł niszowego portalu zareagowało MSZ Rosji, krytykując publikację. Ale po paru godzinach komunikat zniknął ze stron resortu.

Pierwszy sekretarz

Świadkowie mówią o szczególnej roli, jaką odgrywał w całej sprawie pierwszy sekretarz Ambasady FR Oleg Worobiew, odpowiedzialny w tej dyplomatycznej misji za bezpieczeństwo. To Worobiew był tłumaczem na opisanym już spotkaniu pracowników FSB z ministrem bezpieczeństwa Argentyny i to on jako pierwszy wskazał podejrzanych – dziś siedzących na ławie oskarżonych. Worobiew był łącznikiem między FSB a żandarmerią, kontrolował też załadunek walizek z mąką do samolotu Nikołaja Patruszewa w grudniu 2017 roku. Miał swobodny dostęp do garażu w szkole, gdzie przechowywano narkotyki. A nie ma żadnego oficjalnego statusu w argentyńskiej sprawie karnej. Śledczy nie zdołali ustalić dokładnej daty dostarczenia kokainy do szkoły. Najprawdopodobniej zdarzyło się to w lipcu 2016 roku. Co by znaczyło, że odpowiedzialny za bezpieczeństwo placówki Worobiew przez cztery miesiące parkował swoje auto tuż obok partii narkotyków wartej co najmniej 30 mln dolarów. To zeznania argentyńskich żandarmów pozwoliły ustalić, że w garażu stało auto Worobiewa. Wcześniej ambasador Koronelli nie raz zapewniał, że samochód zostawiał tam tylko Abjanow. Co dziwnym trafem pasowało do przekazanych stronie argentyńskiej „ustaleń" FSB, że to Abjanow przywiózł walizki do garażu. Co więcej, Worobiew znał osobiście Kowalczuka, Blizniuka i Czikałę. Wiedział, że ich telefony są na podsłuchu i wiedział, że są obserwowani, gdy spotykał się z nimi z Buenos Aires. Ale jego telefonu nikt nie podsłuchiwał, żandarmi zawsze wierzyli mu na słowo – co zresztą przyznali podczas wstępnych przesłuchań przed procesem.

W sądzie pokazano raport, który pułkownik Cavallo złożył w nocy 14 grudnia 2016 roku. W dokumencie w charakterze jedynego podejrzanego wskazanego przez Rosjan pojawia się pracownik argentyńskiej policji stołecznej, pomagający ambasadzie w tłumaczeniu i ochronie Iwan Blizniuk. Ostatecznie został on oskarżony, lecz zapewnia, że nigdy nawet nogi nie postawił w szkole. Niedługo później FSB przekazała stronie argentyńskiej dodatkową listę możliwych podejrzanych. Znaleźli się na niej właśnie Andriej Kowalczuk, Ali Abjanow i dwaj wysoko postawieni pracownicy argentyńskiej policji. W przygotowaniu tego dokumentu miał pomagać Worobiew. Gdy ludzie z FSB odlecieli do Rosji, to on pozostał jako łącznik między nimi a argentyńskim śledztwem. To on przekazywał wszelkie informacje z Moskwy miejscowej żandarmerii.

Intrygujące jest, że mimo tak ważnej roli Worobiewa w sprawie, w procesie w ogóle nie bierze on udziału i nie musi choćby potwierdzać swych wcześniejszych informacji pod przysięgą. Według adwokata Blizniuka, w sprawie nie ma dokumentów, które by potwierdzały, że Worobiew oficjalnie reprezentował FSB i miał pełnomocnictwa do przekazywania informacji. Blizniuk i Czikało twierdzą, że Worobiew ich oszukał. Tuż przed rozpoczęciem procesu w Ambasadzie Rosyjskiej w Buenos Aires doszło do zmian. Ambasador Koronelli został przeniesiony do Meksyku, zaś Worobiew wrócił do Moskwy. Nie sposób dziś ustalić z całą pewnością, czy Worobiew uczestniczył w procederze przemytu narkotyków, czy tylko później zacierał ślady na rozkaz FSB (choćby kierując śledztwo argentyńskie na określone tory). Można za to stwierdzić z całą pewnością, że on sam jest oficerem FSB. Jak podkreśla dr Bolesław Piasecki z Akademii Sztuki Wojennej, wybitny znawca zagadnień kontrwywiadowczych, funkcję pierwszego sekretarza ambasady odpowiedzialnego za jej bezpieczeństwo w każdej misji dyplomatycznej Rosji pełnią oficerowie FSB. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Ryszard Czarnecki

Sobór w Konstancji i UE: propaganda antypolska kiedyś i dziś

Mniej więcej pięć i pół wieku przed powstaniem Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali (i EWG) oraz pięć wieków przed rewolucją bolszewicką odbył się sobór Kościoła Katolickiego w Konstancji. Była to odpowiedź na schizmę i równoległe funkcjonowanie dwóch, a w pewnym czasie nawet trzech papieży, z których dwóch tak naprawdę było antypapieżami. Jeden z nich, Baldassare Cossa, w młodości pirat na Morzu Śródziemnym, który zresztą przybrał imię Jana XXIII, zwołał Sobór z poduszczenia cesarza Zygmunta Luksemburczyka. Legalny papież Grzegorz XII zatwierdził część jego postanowień – na szczęście wszystkie te, które były kluczowe dla Polski.

Przy okazji soboru odbył się – czego już nie planowano – swoisty ogólnoeuropejski „kongres", na który ściągnęło przeszło „1500 rycerzy" (według innych źródeł „4500 rycerzy z giermkami szlachetnie urodzonymi") z całego Starego Kontynentu. Było tam również oczywiście rycerstwo z Polski. Nasi spotykali swoich przeciwników z bitwy pod Grunwaldem, która odbyła się raptem cztery lata przed rozpoczęciem soboru (trwał on między listopadem 1414 a kwietniem 1418).

W trakcie obrad soboru, gdy dyskutowano o szerzeniu chrześcijaństwa drogą pokojową (Włodkowic! – o czym za chwilę), a nie pod przymusem, bardzo silnie protestowali przeciwko temu biskupi niemieccy. Zresztą także po soborze jego ustalenia w tej kwestii były kwestionowane przez niemiecki Kościół.

Charakterystyczna była ówczesna... propaganda antypolska. Rzeczpospolitą atakowano za rozbijanie jedności – nie, nie Unii Europejskiej – Kościoła Katolickiego (!). Dowodem owego rozbijania „jedności" miał być polski „atak" na dawny zakon, czyli Krzyżaków.

Średniowieczna propaganda antypolska omijała skrzętnie fakt, że to Krzyżacy byli stroną atakującą, a Polacy tylko się bronili. Także przed stratą własnych ziem i ekspansją rycerzy w białych płaszczach z czarnymi krzyżami zaproszonych do Polski w trzeciej dekadzie XIII wieku przez księcia Konrada Mazowieckiego.

Na soborze zwolennicy Krzyżaków żądali, aby Polska... zwróciła majątek zabrany rzekomo Krzyżakom. Domagano się też ekskomunikowania polskich duchownych, którzy mieli występować przeciwko Zakonowi Krzyżackiemu. Przygotowano „czarne listy" osób duchownych z Polski – wrogów „europejskiej jedności". Przepraszam, „wrogów jedności Kościoła".

Historyczną rolę na soborze w Konstancji odegrał Paweł Włodkowic, rektor Akademii Krakowskiej, który 500 lat przed bolszewikami sformułował zasadę samostanowienia narodów. Przy czym odwoływał się do rzeczywistości, a nie do wirtualu, jak komuniści pięć wieków później.

Publiczny sprzeciw Pawła Włodkowica wobec nawracania na chrześcijaństwo siłą okazał się na tyle nośny, że sobór przyjął postulaty Polaka. Włodkowic odwoływał się do konkretu: Litwa chciała chrztu drogą pokojową od Polski, a nie narzucanego siłą przez Zakon Krzyżacki. Racje Polski zostały, wbrew oszczerczej propagandzie przeciwko Rzeczypospolitej, uznane. Dodajmy, że przewodniczącym naszej delegacji był pierwszy Prymas Polski Mikołaj Trąba, jeden z poważnych kandydatów na papieża.

Historycy oceniają, że sobór w Konstancji zakończony 603 lata temu był największym zgromadzeniem przedstawicieli kontynentu aż do XX wieku! Liczba obecności była imponująca: 33 kardynałów, 5 patriarchów, 47 arcybiskupów, 145 biskupów urzędujących oraz 93 biskupów tytularnych, 217 doktorów teologii, 361 doktorów prawa kanonicznego i cywilnego, 171 doktorów medycyny, naukowcy z 37 uniwersytetów, reprezentanci 83 królów i udzielnych książąt, 38 książąt, 173 hrabiów, 31 baronów, 142 pisarzy bulli. Dodajmy do tego tych, którzy obsługiwali sobór w wymiarze logistyczno-handlowym: 48 złotników z pomocnikami, 170 kupców z pachołkami, 147 szewców, 86 kuśnierzy, 89 kowali, 260 piekarzy, 75 szynkarzy (karczmarzy), 72 bankierów z Florencji i innych miast (zajmowali się wymianą pieniędzy), 45 lekarzy, 336 łaziebnych i felczerów, 516 trębaczy, muzykantów i kuglarzy (według innych źródeł: 1700) oraz 718 pań lekkich obyczajów.

Sobór w Konstancji był imponującym przedsięwzięciem logistycznym. Dla Polski jednak kluczowe okazały się jego konkluzje, które – dzięki Pawłowi Włodkowicowi i naszej dyplomacji – przyznały Polsce rację w sporze z Krzyżakami... ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Olga Doleśniak-Harczuk

W Bundestagu chyba nie lubią LGBT

Niby w Niemczech tematy związane ze społecznością LGBT nie należą do gorących wyborczo, a społeczeństwo zdążyło już przyzwyczaić się do aktywności tęczowych środowisk, to okazuje się, że również Niemcy nie do końca opanowali misterną sztukę tolerancji. 19 maja w Bundestagu większość posłów odrzuciła wnioski korzystne dla społeczności LGBT. A trochę ich było.

Pytanie, czy po takim afroncie uczynionym mniejszościom seksualnym Berlin nie skompromitował się w UE jako piewca tolerancji bezgranicznej. Zwłaszcza że ten niepisany mandat na pouczanie innych przybrał już kilka miesięcy temu formę agendy zatwierdzonej przez rząd federalny. I co najistotniejsze – zasięg tej agendy dalece wykracza poza terytorium Niemiec.

Do rzeczy. 19 maja w Bundestagu posłowie liberalnej FDP, Zielonych i Linke, czyli członkowie niemal wszystkich opozycyjnych wobec rządu wielkiej koalicji klubów parlamentarnych, doczekali się debaty nad swoimi wnioskami. Łączył je temat. We wszystkich domagano się konkretnych wyjaśnień od rządu federalnego w sprawach związanych ze społecznością LGBT lub postulowano wdrożenie systemowych rozwiązań korzystnych dla tej grupy. Żaden z wniosków nie przypadł do gustu większości parlamentarnej, więc wszystkie przepadły. Niby nic takiego. A jednak to zastanawiające, zważywszy na determinację, z jaką w Berlinie podchodzi się do egzekwowania praw środowisk LGBT w obrębie UE.

▶ Taka koncepcja

Wystarczy przejrzeć inicjatywy podejmowane w tym zakresie, a najlepiej od razu zatrzymać się nad zatwierdzoną w marcu 2021 roku przez rząd federalny, a opracowaną przez niemiecki MSZ i Federalne Ministerstwo Współpracy Gospodarczej i Rozwoju koncepcję na rzecz „konsekwentnego uwzględniania praw człowieka osób LGBTI w polityce zagranicznej i współpracy na rzecz rozwoju". Jak czytamy na stronie MSZ Niemiec: „Koncepcja ta wykorzystuje zaangażowanie rządu federalnego w krajowy plan działania na rzecz walki z rasizmem i przyczynia się do

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

osiągnięcia celów zrównoważonego rozwoju, w szczególności głównej zasady agendy 2030 – »Nie zostawiaj nikogo w tyle«. Rząd federalny odgrywa pionierską rolę w międzynarodowym dialogu na temat praw człowieka w zapewnianiu praw człowieka osobom LGBTI. [...] Prawa człowieka są niepodzielne i powszechne. Dyskryminacja osób LGBTI jest niezgodna z art. 3 niemieckiej ustawy zasadniczej. Na szczeblu UE artykuł 14. Europejskiej Konwencji Praw Człowieka zawiera również ogólny zakaz dyskryminacji. Ponadto artykuł 21. Europejskiej Karty Praw Podstawowych wyraźnie zakazuje dyskryminacji ze względu na orientację seksualną".

Mało konkretne, prawda? Ale już sam dokument pozwala się zorientować, z jakiego rodzaju inicjatywą mamy do czynienia. W punkcie 6.5. (strona 13) pojawia się takie wyjaśnienie: „Społeczeństwo obywatelskie jest kluczowym partnerem w walce o prawa człowieka. Kluczowym elementem naszej pracy na rzecz praw człowieka jest wymiana z aktywistami LGBTI w terenie. Rząd federalny chce wspierać pracę społeczeństwa obywatelskiego i dyskryminowanych obrońców praw człowieka. Skuteczną formą wsparcia może być na przykład udostępnienie przestrzeni [ambasad?, instytucji kultury? – przyp. ODH] do spotkań społeczeństwa obywatelskiego. Pomagamy aktywistom w odpowiedni sposób, na przykład rozmawiając z przedstawicielami rządu państwa gospodarza, a także w oficjalnym formacie dialogu. W niektórych przypadkach skuteczną ochroną może być również publiczne wystąpienie lub widoczna solidarność. W sytuacji, gdy osoby LGBTI ze względu na swoją orientację, tożsamość, cechy płciowe lub z powodu ich zaangażowania w [obronę] praw człowieka, staną się ofiarami organów ścigania, rząd federalny będzie współpracował ze społeczeństwem obywatelskim w celu uzyskania jego wsparcia, na przykład poprzez monitorowanie procesów i wizyty w więzieniach".

W dalszych punktach jest mowa o możliwym przyjęciu osób dyskryminowanych do Niemiec, o szczególnej trosce państwa niemieckiego o praworządność w różnych państwach świata, a gdyby ktoś miał wątpliwości, które zakątki globu zostały uznane za kwalifikujące się do misji wynikającej z zapisów koncepcji, Europa Wschodnia pojawia się tuż przy Afryce i Azji. Bardziej dosadnie jednak niż dokument urzędniczy precyzuje tę misję wiceszef niemieckiego MSZ, Michael Roth. Polityk na łamach lewicowej „Tageszeitung" klarował przewodnią rolę Niemiec w obronie mniejszości seksualnych, wszędzie tam, gdzie będzie trzeba. Na pytanie dziennikarzy, „z którymi państwami jest najtrudniej", minister odpowiada: „Niestety w ostatnich latach cofaliśmy się w UE. Na Węgrzech osoby interseksualne są masowo atakowane [...]. Nie można już się poddać operacji zmiany płci. W Polsce istnieje bardzo aktywne i krytyczne społeczeństwo obywatelskie, ale także tak zwane strefy wolne od LGBTI. Są to fakty, których nie da się pogodzić z wartościami europejskimi". Zapytany z kolei o to, co może w takiej sytuacji uczynić rząd federalny, Roth wyjaśnia: „Poruszać temat, tworzyć koalicje z innymi państwami. Ośmielać Komisję Europejską do pełnienia roli strażnika traktatów i obrony wartości europejskich. Podczas prezydencji niemieckiej zdecydowanie poparliśmy nową strategię Komisji na rzecz osób LGBTI. Są to kroki we właściwym kierunku. Ale wszyscy w UE muszą się zdeklarować". Dziennikarze są jednak dociekliwi, chcą wiedzieć, czy UE dysponuje wystarczającym arsenałem instrumentów, by zdyscyplinować niechętne państwa, „by się zdeklarowały". I wtedy zastepca Heiko Maasa mówi tak: „Matki-założycielki i Ojcowie-założyciele najprawdopodobniej nie wyobrażali sobie, że będziemy mieć takie problemy z obroną własnych wartości. Podczas prezydencji wprowadziliśmy nowe instrumenty, takie jak mechanizm praworządności. Może to pomóc w zobowiązaniu państw do poszanowania i uznania mniejszości seksualnych za oczywistą część społeczeństwa. Tyle że trudno będzie nam tego dokonać jedynie za pomocą prawodawstwa, kontrowersje są bowiem również natury kulturowej i religijnej. Sama polityka to za mało. Potrzebujemy szerokiego sojuszu obejmującego religię, edukację, gospodarkę, kulturę i sport".

▶ Serca posłów twarde jak stal

Dobrze. Czyli tak: ojcowie założyciele (pozwolą Państwo, że pominę matki), tacy jak sługa Boży Robert Schuman, według ministra Rotha nawet sobie nie wyobrażali, że Europa „będzie miała problemy z obroną własnych wartości". Szkoda, że pan minister nie wymienił żadnego traktatu Schumana czy Adenauera, w którym bronią dostępu do adopcji dla par jednopłciowych czy żądają sakramentalnych związków małżeńskich dla tychże. A może jeszcze większa szkoda, że dziennikarze „TAZ" nie drążyli tematu. Druga sprawa: wymienianie mechanizmu praworządności jednym tchem z wymuszaniem na nieposłusznych państwach „właściwego zdeklarowania się". Interesujące. I trzecia, już niezwiązana z koncepcją rządu niemieckiego. Dlaczego posłowie niemieccy zapominają o swojej walce o prawa LGBT z chwilą głosowania w Bundestagu? Jak można było z zimną krwią odrzucić wniosek Zielonych i Linke o powołanie odszkodowania dla osób trans- i interseksualnych, chodzi tu głównie o osoby, którym „narzucono binarną tożsamość"? Albo dlaczego posłowie wyrzucili do kosza inny wniosek Zielonych, pochylający się nad losem lesbijskich matek, którym państwo niemieckie odebrało prawa rodzicielskie lub zachowało się względem nich w sposób dyskryminujący? Wnioskodawcy oparli się na badaniach takich przypadków w latach 1946–2000. Nowych badań brak. Wniosków było kilka, wszystkie przepadły w odmętach nietolerancji posłów CDU/CSU, SPD i AfD. To jak to było z tą „przewodnią rolą Niemiec"? ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Hongkong

W połowie maja władze Hongkongu zamroziły aktywa, w tym wszystkie udziały w firmie Next Digital, należące do uwięzionego potentata medialnego Jimmy'ego Lai. Po raz pierwszy w byłej kolonii brytyjskiej firma notowana na giełdzie stała się celem przepisów dotyczących bezpieczeństwa narodowego.

Lai został skazany na 14 miesięcy więzienia za udział w protestach prodemokratycznych w 2019 roku. Na podstawie nowej Ustawy bezpieczeństwa narodowego narzuconej Hongkongowi przez Pekin potentatowi postawiono także inne zarzuty, w tym „zmowy z obcym siłami", za które biznesmenowi grozi nawet dożywocie.

Pekin twierdzi, że celem narzucenia byłej kolonii brytyjskiej nowej ustawy jest przywrócenie porządku po miesiącach prodemokratycznych, antychińskich i antykomunistycznych protestów w 2019 roku. Jednak według krytyków nowe prawo jest wykorzystywane przez komunistyczne Chiny do tłumienia wolności i prześladowań prodemokratycznych działaczy, z których wielu już zostało aresztowanych. Części aktywistów, którym grożą represje, udało się uciec z Hongkongu. Jimmy Lai i jego media od samego początku popierali protestujących i rzetelnie relacjonowali manifestacje.

Ten urodzony w Chinach hongkoński biznesmen często mówił, że Hongkongowi zawdzięcza wszystko: udany biznes, wspaniałą rodzinę i dobre zdrowie. Po masakrze na placu Tiananmen w 1989 roku uznał, że Hongkong ma bardzo ważną rolę do odegrania. Ma mówić prawdę o Chinach. Lai stwierdził, że najlepszym sposobem na robienie tego jest założenie mediów. I tak stworzył grupę medialną Next Digital (początkowo Next Media), która wydaje m.in. gazetę „Apple Daily". To największy dziennik w Hongkongu o nastawieniu antykomunistycznym. Lai jest katolikiem.

Decyzja władz o wykorzystaniu po raz pierwszy uprawnień wynikających z prawa dotyczącego bezpieczeństwa narodowego w celu zaatakowania spółki notowanej na giełdzie w Hongkongu może mieć wpływ na nastawienie inwestorów. Już od czerwca ubiegłego roku była kolonia doświadcza ucieczki kapitału do innych krajów, m.in. do Kanady i Wielkiej Brytanii. Ankieta przeprowadzona w maju bieżącego roku przez Izbę Handlową USA wykazała, że 40 proc. respondentów rozważa lub planuje wyjazd z Hongkongu. Spośród nich 62,3 proc. jako przyczynę podało strach związany z nowym prawem dotyczącym bezpieczeństwa narodowego. W Hongkongu działa ponad 1200 firm amerykańskich.

Także tajwańskie władze zaniepokojone są skutkami nowej ustawy. Rządowa rada ds. Chin kontynentalnych w Tajpej stwierdziła, że „zamrożenie aktywów należących do prodemokratycznego potentata medialnego Jimmy'ego Lai to sygnał, że robienie interesów i inwestowanie w Hongkongu jest coraz bardziej ryzykowne".

Japonia–Chiny

Pod koniec kwietnia na konferencji prasowej zorganizowanej w Tokio przez Krajową Komisję Bezpieczeństwa Publicznego szef japońskiej policji Mitsuhiro Matsumoto oficjalnie wymienił Chiny jako odpowiedzialne za cyberatak na Japonię. To pierwsza tego typu publiczna informacja w historii.

Kilka dni przed konferencją Departament Policji Metropolitalnej w Tokio złożył pozew przeciwko chińskiemu inżynierowi, który jest również członkiem Komunistycznej Partii Chin, za rzekomy udział w cyberatakach wymierzonych w Japońską Agencję Badań Kosmicznych

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

(JAXA) i 200 innych japońskich firm i instytucji badawczych w 2016 i 2017 roku. Podejrzany zdołał uciec już z Japonii. Tokijska policja wskazała również na prawdopodobieństwo udziału Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej w szeroko zakrojonym cyberataku.

Chiny stanowczo zaprzeczają zarzutom Japonii dotyczącym ataków na JAXA. Rzecznik chińskiego MSZ Wang Wenbin posunął się nawet do stwierdzenia, że: „Chiny zdecydowanie sprzeciwiają się działaniom jakiegokolwiek kraju lub jakiejkolwiek instytucji wykorzystujących zarzuty cyberataków do rzucania błotem na Chiny".

Oskarżenie Chin przez Japonię o cyberataki to wyraźny sygnał, że relacje między tymi krajami są coraz bardzie napięte.

Japonia ze Stanami Zjednoczonymi zaangażowały się w promowanie opartej na zasadach demokratycznych współpracy militarnej i gospodarczej w regionie Indo-Pacyfiku w ramach grupy Quad, która obejmuje również Australię i Indie. Ta współpraca postrzegana jest jako krok w kierunku przeciwdziałania eskalacji wpływów ChRL w regionie.

Kraj Kwitnącej Wiśni w celu zatrzymania rosnących wpływów komunistycznych Chin stara się także nakłonić do współpracy państwa w Europie. Stąd m.in. zaraz po szczycie G-7 w Londynie minister spraw zagranicznych Japonii Toshimitsu Motegi udał się do Polski na spotkanie z szefami MSZ państw Grupy Wyszehradzkiej. Japońskie media zauważyły, że chociaż kraje Europy Wschodniej zaangażowały się w chiński projekt Nowego Jedwabnego Szlaku (NJS), to jednak niektóre z tych państw są rozczarowane chińskim zaangażowaniem w regionie. Czarnogóra walczy o spłatę długu wobec Chin za projekt budowy autostrady – co jest przykładem ryzyka tzw. pułapki zadłużenia, które jest dość typowe dla chińskiej inicjatywy NSJ.

Przywódcy trzech krajów bałtyckich nie wzięli udziału w szczyci 17+1 w lutym bieżącego roku, w którym uczestniczył prezydent Chin Xi Jinping, a Polska bardzo często wyraża zaniepokojenie nierównowagą handlową z Chinami.

▶ Korea Północna

13 maja „Rodong Sinmun", organ prasowy rządzącej w Korei Płn. Partii Pracy, wezwał do podjęcia kroków „w celu zapobieżenia przeniknięciu kultury kapitalistycznej" z zagranicy, ostrzegając, że w przeciwnym razie komunistyczny kraj „upadnie". Gazeta stwierdziła, że próby ustanowienia socjalizmu w wielu krajach nie powiodły się z powodu „inwazji kapitalistycznego stylu życia".

„Historia uczy nas kluczowej lekcji, że kraj może stać się bezbronny i ostatecznie runąć jak wilgotny mur, niezależnie od jego ekonomicznej i militarnej siły, jeśli nie będziemy trzymać się własnego stylu życia" – napisano w „Rodong Sinmun". Gazeta ostrzegała również młodzież przed podążaniem za „egzotycznym i dekadenckim stylem życia" w kapitalizmie. „Musimy uważać na najmniejsze oznaki kapitalistycznego stylu życia i walczyć, aby się ich pozbyć" – pisał komunistyczny organ. Jako symbole kapitalistycznego stylu życia dekadenckiego Zachodu medium reżimu Kim Dzong Una wymieniło m.in. obcisłe dżinsy, szminki, farbowane włosy i fryzurę na czeskiego piłkarza. Za ich noszenie grozi obóz pracy.

W grudniu 2020 roku w celu zapobiegania napływowi kultury z zewnątrz, Korea Płn. uchwaliła prawo, które zaostrza kary (nawet kara śmierci) za posiadanie filmów nakręconych w Korei Południowej. Pjongjang określa południowokoreańskie seriale i filmy jako „obraźliwe, zwodnicze, sfabrykowane, absurdalne i nieczyste".

2 marca bieżącego roku bezpieka w stolicy Korei Płn. zatrzymała cztery osoby za posiadanie i dystrybucję nielegalnych materiałów wideo wyprodukowanych w Korei Płd. Sprawa natychmiast została zgłoszona Kim Dzong Unowi, który kazał stracić „winnych" jako zdrajców narodu. Trzech mężczyzn i jedna kobieta zostali rozstrzelani przez pluton egzekucyjny na oczach okolicznych mieszkańców i liderów grup sąsiedzkich. Nastoletnie dzieci jednej z par zostały wysłane do obozu koncentracyjnego Bukchang 18 w południowej części kraju. Najbliżsi członkowie rodzin pozostałych straconych osób zostali zesłani do innych części kraju. Takie publiczne egzekucje nie są czymś nowym. W 2013 roku media południowokoreańskie podały, że reżim Kim Dzong Una dokonał 80 egzekucji w siedmiu miastach, głównie za oglądanie programów południowokoreańskiej telewizji.

Jednak jako największe zagrożenie z zagranicy komunistyczny reżim w Korei Płn. uważa chrześcijaństwo. W zawartym w konstytucji KRLD zapisie, dotyczącym wolności wyznania obywatel tego państwa może przeczytać, że „religia nie może stać się pretekstem do wprowadzenia obcych sił na teren kraju, a także do działań wymierzonych w państwo lub porządek społeczny". Zapis ten skutecznie hamuje praktykowanie religii wśród mieszkańców Korei Płn. Chrześcijaństwo jest szczególnie znienawidzone przez władzę w Pjongjangu, ponieważ łączone jest bezpośrednio z imperialistycznym Zachodem, odwiecznym wrogiem Korei Płn. Przedstawia się je jako „opium dla ludu", a misjonarze porównywani są do „wampirów sycących się krwią". Chrześcijanie w KRLD są okrutnie traktowani w tamtejszych gułagach. Wystarczy posiadanie Biblii, modlitwa czy nawet rozmowa na temat religii chrześcijańskiej, by bez procesu trafić do obozu. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

Jak Lenin wprowadził stalinizm. Czy NEP był wstępem do despocji?

Dlaczego Rada Komisarzy Ludowych zdecydowała zliberalizować handel i jakie były skutki wprowadzenia tzw. Nowej Polityki Ekonomicznej? Poświęcony temu zagadnieniu artykuł Aleksandra Goguna został opublikowany na portalu Radia Swoboda 28 marca, w rocznicę wprowadzenia NEP w 1921 roku.

Gospodarki narodowej nie złamała I wojna światowa. Do 1917 roku sytuacja była napięta, trudna, lecz nie katastrofalna. Jak pisał historyk Michaił Heller, w latach 1913–1916 nastąpił wzrost zarówno produkcji przemysłowej, jak i wydajności pracy. Prawdziwy upadek wraz z głodem, jakiego nie widziano od początku XVII wieku, nastąpił dopiero w wyniku wprowadzenia komunizmu wojennego – próby skoku do socjalizmu w latach 1917–1920. W ten sposób w 1921 roku kraj powrócił do częściowo rynkowej gospodarki po okresie patologii marksistowskiej. W ciągu kilku tygodni wiosny 1921 roku Wszechrosyjski Centralny Komitet Wykonawczy zatwierdził dekret o zastąpieniu systemu zajmowania nadwyżek produkcji podatkiem rzeczowym i wprowadził swobodę drobnej przedsiębiorczości. Wszystko to stało się możliwe po X kongresie RKP(b), który odbył się w dniach 8–16 marca 1921 roku. I właśnie to zgromadzenie partokratów zapoczątkowało triumf Stalina i w pewnym stopniu otworzyło drogę do wczesnego stalinizmu.

Stalin idzie po jedynowładztwo

W latach 1918–1920 tandem Lenin–Trocki był mocno zakorzeniony na szczycie dyktatury bolszewickiej, ale stosunki między nimi nie były pozbawione problemów. W latach 1918–1920 przyszły przywódca zajmował się głównie koncentracją władzy w swoich rękach i intrygami przeciwko Trockiemu. Przez całą wojnę domową Stalin, okazując lojalność wobec Lenina, kłócił się z Ludowym Komisariatem Spraw Wojskowych, w tym w kwestiach operacyjnych, lecz jednocześnie nie dawał publicznie upustu emocjom, chociaż wzajemna niechęć do Trockiego nie była tajemnicą. [...] Stalin nawet dwukrotnie dobrowolnie przeszedł pod dowództwo znienawidzonego rywala, od października 1918 do lipca 1919 roku, a następnie od maja 1920 do kwietnia 1922 roku, jako członek Rewolucyjnej Rady Wojskowej RFSRS, na czele której stał Trocki. [...] Gdy Lenin w marcu 1921 roku zapoczątkował NEP, Stalin i jego ludzie mieli już w Politbiurze techniczną większość głosów. Do tego Stalin kontrolował Komitet Centralny poprzez Mołotowa – swojego sekretarza – a i tak był sam członkiem KC jak i szereg jego ludzi. Do tego dochodziły inne funkcje pełnione przez Stalina w aparacie partyjno-państwowym, a także bliskie relacje z „odpowiednimi" ludźmi, na przykład Feliksem Dzierżyńskim.

Tym niemniej Stalin rozumiał kruchość swojej pozycji jako „drugiego wśród równych" i już po X Zjeździe napisał do Lenina pismo wychwalające jego państwowy plan elektryfikacji Rosji, a jednocześnie krytykujące wcześniejszy plan Trockiego. [...] Usypiając czujność Lenina pochlebstwami, Stalin od wiosny 1921 do wiosny 1922 roku nie spieszył się z budowaniem pozycji na szczycie władzy, ale skupił się na par-

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

tyjno-państwowej budowie od podstaw, w tym na „narodowych kresach" Związku Sowieckiego, bacznie przy tym przyglądając się przyszłym zwolennikom. Władimir Iljicz był zadowolony z pracy uległego administratora i nagrodził go prawdziwie carskim darem, czyniąc go 3 kwietnia 1922 roku sekretarzem odpowiedzialnym Komitetu Centralnego zamiast Mołotowa, jednocześnie stanowisko to przemianowując na „sekretarza generalnego". W ten sposób, teraz już formalnie, Stalin stał się drugą osobą w partii. Już w maju Lenin ciężko zachorował i od lata 1922 roku Stalin zaczął podporządkowywać sobie partyjno-rządowy aparat w skali całego kraju. 6 czerwca 1922 roku w regiony poszło zatwierdzone przez sekretariat i biuro organizacyjne KC pismo o „odpowiedzialnych instruktorach KC RKP(b)", zgodnie z którym uzyskali oni szerokie kompetencje wobec wybieralnych organów partyjnych. Aparat partyjny zaczął być budowany z góry w dół. Według badań Aleksandra Podszczekołdina, w ciągu roku wymieniono większość sekretarzy terenowych struktur partii. Zinowiewowi i Kamieniewowi Stalin przedstawiał to jako czystkę mającą na celu pozbycie się trockistów.

Tymczasem Lenin wyzdrowiał i zaczął rozumieć, w czyje ręce ucieka władza. Próbował zbliżyć się do Trockiego, ale znów zachorował i od początku 1923 roku Dżugaszwili faktycznie rządził ZSRS, co stopniowo zrozumieli jego dwaj ówcześni sojusznicy. 30 lipca Zinowiew pisał do Kamieniewa: „Jeśli partii sądzone jest przejść przez okres (prawdopodobnie bardzo krótki) jedynowładztwa Stalina – niech i tak będzie. Ale kryć wszystkich jego świństw nie zamierzam. Wszędzie mówią o trojce, uważając, że i ja mam w niej znaczenie. Tak naprawdę nie ma żadnej trojki, a jest dyktatura Stalina".

▶ Stalin prowadzi kraj

W pierwszej połowie lat 20. Stalin dość otwarcie deklarował się już nie tylko jako aparatczyk, lecz także polityk i coraz bardziej uczestniczył w określaniu drogi, jaką podążało państwo. Już w sierpniu 1921 roku w „Prawdzie" opublikował programowy artykuł „Partia przed i po przejęciu władzy". Przeanalizowawszy historię bolszewików od marginalnej grupy ekstremistów po władców największego państwa świata, podkreślił „kolosalną władzę", jaką posiada „nasza partia teraz zarówno w Rosji, jak i poza nią": „Zadania partii w tym okresie na polu polityki zagranicznej wyznacza pozycja naszej partii jako partii rewolucji międzynarodowej. Zadania te to:

1. wykorzystać wszystkie sprzeczności i konflikty między grupami kapitalistycznymi i rządami otaczającymi nasz kraj w celu dezintegracji imperializmu;

2. nie szczędzić wysiłków i środków, aby pomóc rewolucji proletariackiej na Zachodzie;

3. podjąć wszelkie kroki, aby wzmocnić ruch narodowowyzwoleńczy na Wschodzie;

4. umocnić Armię Czerwoną.

Biorąc pod uwagę politykę zagraniczną Rosji sowieckiej w latach 20. XX wieku, czy widzimy jakieś różnice w stosunku do tego planu?

Znamienne jest to, że Stalin dopiero na drugim miejscu stawiał pracę w samym kraju: „Zadania partii w tym okresie w sferze polityki wewnętrznej wyznacza pozycja naszej partii w Rosji jako partii pokojowej budującej roboty. Te zadania:

1. Umocnić sojusz proletariatu i chłopstwa pracującego poprzez:

a) przyciąganie najbardziej proaktywnych i ekonomicznych elementów z chłopów do państwowych prac budowlanych;

b) pomoc gospodarce chłopskiej wiedzą rolniczą, naprawą maszyn itp.;

c) rozwój prawidłowej wymiany produktów między miastem a wsią;

d) stopniową elektryfikację gospodarki rolnej.

[...]

2. Rozwinąć przemysł poprzez:

a) maksymalne skoncentrowanie wysiłków na opanowaniu głównych gałęzi przemysłu i poprawie sytuacji zatrudnionych tam pracowników;

b) rozwój handlu zagranicznego w zakresie importu maszyn, urządzeń;

c) przyciąganie akcjonariuszy, najemców;

d) stworzenie co najmniej minimalnego funduszu zarządzania żywnością;

e) elektryfikacja transportu, dużego przemysłu".

Tutaj wyraźnie widać, co zostało zrealizowane nie tylko w latach dwudziestych, ale także częściowo w latach trzydziestych.

Zwróćmy uwagę na daty: NEP został częściowo wprowadzony w tym czasie, gdy Stalin stał się drugą osobą w partii, a następnie, jak wspominał jego sekretarz Bażanow, nakrętki odkręcano jeszcze przez ponad sześć miesięcy: aby powrócić do gospodarki giełdowej, w tym w przemyśle, „Lenin zaproponował pod koniec maja na X Wszechrosyjskiej Konferencji Partii, ale doprowadził do końca sformułowanie NEP dopiero... na moskiewskiej konferencji partii", która odbyła się w listopadzie 1921 roku. Oznacza to, że Dżugaszwili po prostu nie mógł nie wziąć udziału w opracowaniu NEP.

Pod koniec roku, w grudniu, Stalin wystąpił z kolejnym programowym artykułem – „Perspektywy", który rozpoczął następującymi słowami: „Sytuacja międzynarodowa ma ogromne znaczenie w życiu Rosji". Odnotowując przejście do świata formalnego

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

przyszły przywódca nie wzywał do rozbrojenia: „Nadszedł okres trzeźwej kalkulacji sił, okres molekularnej pracy nad przygotowaniem i zgromadzeniem sił do przyszłych bitew". Ten artykuł został napisany spokojnym tonem pewnego siebie pierwszego polityka, a jego lwia część jest poświęcona gospodarce: otwarcie wskazał krajowi, co należy zrobić w finansach, handlu, jak wzmocnić rubla kurs walutowy i jakimi metodami zwiększyć produkcję przemysłową i rolnictwo.

Po dokonaniu przeglądu pierwszych kroków podjętych przez władze podczas NEP-u Stalin wyraził zadowolenie z sukcesów bolszewików: „... to one, te wydarzenia, otwierają drogę, którą możemy posunąć naprzód ożywienie gospodarcze kraju". Pierwsze efekty nowej polityki gospodarczej w postaci rozpoczęcia ekspansji orki, wzrostu wydajności pracy w przedsiębiorstwach i poprawy nastrojów chłopskich (zaprzestanie masowego bandytyzmu) niewątpliwie potwierdzają ten wniosek. Zatem przeciwstawianie stosunkowo „tłustych" NEP-owskich lat 20. XX wieku głodnym stalinowskim latom 30. jest co najmniej błędne. Lata 20. były również stalinowskie.

NEP: droga do GUŁAG-u

Model ekonomiczny z lat 1921–1928 nie miał analogii w historii Rosji, lecz był dość podobny do Egiptu ptolemejskiego. To była teokracja, w której władca *de facto* posiadał wszystko i dzierżawił ten majątek swoim poddanym za cła i podatki. W tym samym czasie istniał względnie wolny handel, który jednak, podobnie jak cała gospodarka, podlegał uważnej rachunkowości i kontroli ze strony biurokracji. Było nawet państwowe planowanie upraw.

Tak więc w ZSRS bezpośrednie zarządzanie i podział dóbr z czasów komunizmu wojennego zostało zastąpione systemem pośrednich regulacji państwowych – poprzez sieć kredytowo-bankową, podatki, współpracę, przedsiębiorstwa, dzierżawę fabryk – a wszystko to za pomocą obowiązkowej zgody w wielu instytucjach i strukturach państwowych.

W tym systemie stan egzystencji ludzi był daleki od pomyślności. Plagi społeczne, takie jak bezrobocie, prostytucja, szerzące się oszustwa, rabunki i przemyt, stały się powszechne w latach 20. XX wieku. W związku z przerostem wsparcia podatkowego dla nieefektywnego przemysłu, który w latach 1917–1921 był zrujnowany, a nawet przestarzały, powstały tzw. nożyce cenowe. Koszt wytworzonych dóbr był sztucznie zawyżony, a produkty rolne, a co za tym idzie żywność, zaniżono, co doprowadziło do fatalnego stanu prowincji. Wieś wegetowała w ciemności (ze względu na wysoki koszt nafty i wielu innych rodzajów paliwa), brudzie (mydło i inne detergenty były nieosiągalne), w przeciągu i przeciekach (materiały budowlane i wykończeniowe nie były dostępne dla każdego). Po upadku komunizmu wojennego sytuacja mieszkaniowa pozostawała niezwykle napięta, nawet w miastach. Mieszkania komunalne, szeroko wprowadzone od 1918 roku, rozwijały się dalej i często stanowiły atrakcyjną alternatywę dla baraków.

Nie było żadnych ulg politycznych. Nawet jeśli frakcyjność była zakazana w RKP(b) w momencie wprowadzenia NEP-u, nie należało marzyć o pluralizmie i systemie wielopartyjnym. Bolszewicy konsekwentnie wypierali wszystkie partie niekomunistyczne. Latem 1922 roku odbył się głośny proces przeciwko socjalistom-rewolucjonistom, którzy stwierdzili, że wyrażają aspiracje chłopów. Co więcej, do tego czasu działalność tej partii była już sparaliżowana. W 1923 roku zlikwidowano zarówno mienszewików (socjaldemokratów) i eserowców. Ale, co najważniejsze, przywódcy bolszewików początkowo nie postrzegali NEP-u jako drogi do komunizmu. Mówił o tym wprost Lenin podczas otwarcia X konferencji partyjnej w maju 1921 roku, sprzeciwiając się jednemu z bolszewików drugiego szeregu, Walerianowi Oboleńskiemu, który był później znany pod partyjnym pseudonimem: „Osiński.. zaczął gadać o czasie... Poważnie i na długo – 25 lat. Ja nie jestem takim pesymistą... Daj Boże, żebyśmy liczyli na 5–10 lat...". Za pesymistyczne prognozy Osińskiego rozstrzelali w 1938 roku. W ten sposób Lenin nie krył, że marzy o powrocie do praktyk podobnych do wojennego komunizmy z jego masowymi egzekucjami, pracą przymusową i obozami koncentracyjnymi. Jeśli chodzi o stosunek do bogatego chłopstwa, przytoczymy tylko jedno z jego typowych stwierdzeń z „Dzieł zebranych": „Oni, kułacy i darmozjady, są nie mniej strasznymi wrogami niż kapitaliści i właściciele ziemscy". Jednym z dowodów na to, że NEP był pomyślany jako tymczasowy stan, jest łatwość, z jaką go odwołano: i jak zaraz po tym nie nastąpił gospodarczy krach, jak pod koniec 1920 roku, lecz wzrost PKB.

Ci, którzy uważają, że Lenin był bardziej „wolnorynkowy" niż Stalin, który miał obsesję na punkcie planowania i dystrybucji, powinni pamiętać o ich, co rzadkie, otwartym konflikcie w październiku–grudniu 1922 roku w sprawie handlowych operacji eksport–import. Większość Komitetu Centralnego, w tym Stalin, opowiadała się za złagodzeniem monopolu handlu zagranicznego, Lenin nalegał zaś na zachowanie roli państwa w tym obszarze i przeforsował decyzję, biorąc Trockiego za sojusznika. Oznacza to, że Iljicz podążał za marksizmem nie mniej gorliwie niż jego następca. Stalin podchodził do gospo-

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

darki instrumentalnie: wytyczywszy ścieżkę rozwoju przemysłu, w latach 20. dał odetchnąć chłopstwu i drobnemu biznesowi, a ci ciężką pracą stworzyli pewne rezerwy. W piśmie do redakcji „Komsomolskiej Prawdy" 2 czerwca 1925 roku dał do zrozumienia, że hasło Bucharina „bogaćcie się" ma krótkoterminowe znaczenie: „Uwalniamy NEP i pozwalamy na prywatną akumulację, aby ułatwić realizację naszego hasła o socjalistycznej akumulacji w systemie naszej gospodarki ludowej". W latach 1929–1933 została z powodzeniem przeprowadzona polityka rekwizycji i państwowego rekietu. Ale żeby było to możliwe, w latach 1921–1928 trzeba było, po pierwsze, zbudować system posłusznych wykonawców – od każdej wsi po Kreml i Łubiankę, po drugie, ponie będziemy szczędzić swych sił, aby wypełnić z honorem i to Twoje przykazanie!". Jeśli NEP-owskie monopartyjne państwo z racji na obecność elementów rynku było czymś pośrednim między zwykłą dyktaturą a despotią, to działania lat 1928–1933 usunęły to niezdecydowanie, wprowadzając powszechne niewolnictwo, w którym tylko jedna osoba była wolna.

Prawdziwa szczerość brzmiała w następujących słowach „wspaniałego Gruzina", jak nazwał go Iljicz w 1913 roku za prace nad kwestią narodową: „Lenin przekazał nam w spadku wzmocnienie i rozszerzenie związku republik. Przysięgamy, towarzyszu Lenin, że z honorem wypełnimy to Twoje przykazanie!". Jeśli chodzi o to wzmocnienie, w ciągu dziesięciu lat po cichu usunięto resztki quasi-autonomii „peryferii narodowych". Taktyczną „rdzenność" wczesnego bolszewizmu – przyciąganie miejscowych kadr do zarządzania i rozwój języków zdławionych przez carski reżim – zastąpiła rusyfikacja od Polesia po Ałtaj i Czukotkę. Ekspansja ZSRS następowała w trakcie krwawych „akcji wyzwoleńczych" lat 1939–1940, a także zaborów w latach 1944–1945.

Ale najbardziej złowieszcze okazały się ostatnie słowa w panegiryku, zwłaszcza że słychać w nich było bezpośrednią gotowość do poświęcenia się. Co oznaczało, że wszystkim innym nie warto współczuć. Takie podejście doprowadziło do śmierci dziesiątek milionów ludzi w ciągu najbliższych trzech dekad, a nuklearna zima nie nadeszła tylko z powodu krwotoku w mózgu Stalina: „Lenin był przywódcą nie tylko rosyjskiego proletariatu, nie tylko europejskich robotników, nie tylko z kolonialnego Wschodu, lecz całego świata pracy. [...] Lenin przekazał nam wierność zasadom międzynarodówki komunistycznej. Przysięgamy ci, towarzyszu Lenin, że nie oszczędzimy naszego życia, aby umocnić i rozszerzyć sojusz ludu pracującego całego świata – międzynarodówkę komunistyczną!". ■

W PIERWSZEJ POŁOWIE LAT 20. STALIN DOŚĆ OTWARCIE DEKLAROWAŁ SIĘ JUŻ NIE TYLKO JAKO APARATCZYK, LECZ TAKŻE POLITYK I CORAZ BARDZIEJ UCZESTNICZYŁ W OKREŚLANIU DROGI, JAKĄ PODĄŻAŁO PAŃSTWO.

zwolić ludziom najpierw zarobić to, co można było potem grabić i wymuszać.

▶ Zaklęcia nad mumią

Po śmierci Lenina Stalin nie wahał się już otwarcie wystąpić jako następca na II Wszechzwiązkowym Zjeździe Rad, który przyjął konstytucję ZSRR. Stalin zamierzał postępować zgodnie z postanowieniami X Zjazdu partii: „...Lenin zalecał nam chronić jedność naszej partii, jak źrenicy oka. Przysięgamy Ci, towarzyszu Lenin, że wypełnimy Twoje przykazanie z honorem!". Twórczo uzupełnił i wzmocnił odpowiednią rezolucję i zakazał nie tylko frakcji, lecz także odstępstw – jak sprytnie nazwał wszelkie zastrzeżenia co do jego osobistej władzy. Jeśli w marcu 1921 roku w charakterze kary za frakcyjność rezolucja zjazdu dopuszczała wykluczanie z partii działaczy niezgadzających się z jej linią i rozłamowców, to Stalin przez półtora dekady zaczął ich rozstrzeliwać – przy czym nie tylko realnych, lecz także potencjalnych.

Bynajmniej nie pustą propagandą była i ta myśl: „Lenin zalecał nam chronić i umacniać dyktaturę proletariatu. Przysięgamy Ci, towarzyszu Lenin, że

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Marcin Wolski

Z PAMIĘTNIKA MŁODEGO YOUTUBERA

Od paru miesięcy namówiony przez młodszą część rodziny bawię się we własną produkcję do internetu. Nagrywam codzienne fraszki, felietony, własne powieści. W odróżnieniu od wielu znakomitych kolegów (jak Marek Nowakowski, Piotr Wierzbicki czy Waldemar Łysiak) poddałem się duchowi czasu i w którymś momencie zdradziłem maszynę na rzecz klawiatury komputera, a teraz coraz częściej zamiast korzystać z łamów prasowych, oddaję się mediom elektronicznym. Internet stał się moją stałą pomocą w pracy, skracając po wielokroć czas potrzebny do zdobywania informacji. Jeszcze nie tak dawno trzeba było przewertować parę tomów w poszukiwaniu jednego tylko zagadnienia (dobrze, że większość tych tomów miałem w biblioteczce).

Ku swemu zaskoczeniu znalazłem licznych słuchaczy tych produkcji i uważnie wczytuję się w ich uwagi. Są oczywiście ataki hejterów, lecz przeważnie głupie i niemerytoryczne, a w dodatku przegrywają one o parę długości z opiniami pozytywnymi, pełnymi często przesadnych pochwał i nieuzasadnionego zachwytu. Nigdy nie miałem takiego kontaktu z odbiorcami, nawet w czasach największej popularności „60 minut na godzinę" czy „Polskiego Zoo" pióro sięgało promil promila widzów i słuchaczy.

Oczywiście cała ta zabawa przypomina nieco buszowanie w śmietniku. I trzeba sobie zdawać sprawę nie tylko z ryzyka skoku w przestrzeń bez cenzury (przynajmniej teoretycznie), lecz także ram, które w gazetach wytyczały: kultura, smak i profesjonalizm redaktorów. Tytuł zobowiązywał. Zmuszał do respektowania zasad, na których opierały się renoma, wiarygodność, odpowiedzialność.

Dziś anonimowo można opluć wszystko i wszystkich, posłużyć się fake newsem.

Przy bliższym poznaniu okazało się także, że globalna wioska niewiele różni się od zapyziałego miasteczka, a na gram złota przypadają hałdy odpadów. Ludzie poszukują bardzo rzadko mądrości, a o wiele częściej sensacji, plotek, owoców zakazanych (w rodzaju pornografii), sporadycznie tylko trenują umysł, znacznie częściej zachowują się na podobieństwo leciwych bab w oknach, które oparte na poduszkach wolą gapić się bezrefleksyjnie w szarą codzienność.

Przerażają również skutki, jakie wywołuje dostępność, równość i wolność opinii. Nie ma mowy, aby mądrość zwyciężyła głupotę. Bredzenie gwiazdki jednego miesiąca niezawierające jakiegokolwiek przekazu bije na głowę odsłony wybitnych twórców i gigantów myśli. Einstein gdyby żył, nie znaczyłby nic w porównaniu na przykład z Paris Hilton.

NIE NALEŻY OBRAŻAĆ SIĘ NA RZECZYWISTOŚĆ. NAWET JEŚLI KREUJĄ JĄ NIEWIDOCZNE, A WPŁYWOWE SIŁY, A ELEKTRONICZNY PRZEKAZ CZĘŚCIEJ BYWA ŚRODKIEM MANIPULACJI NIŻ INFORMACJI. BEZ NASZEGO UDZIAŁU BĘDZIE JESZCZE SILNIEJSZY.

Ale nie należy obrażać się na rzeczywistość. Nawet jeśli kreują ją niewidoczne, a wpływowe siły, a elektroniczny przekaz częściej bywa środkiem manipulacji niż informacji. Bez naszego udziału będzie jeszcze silniejszy. W komunie nauczyliśmy się przemycać zakazane treści, chronić przed epidemią głupoty i nawet pod kontrolą tworzyć wspólnotę ludzi wolnych.

Nie wierzę w cenzurę globalną, a tym bardziej w manipulacje bez możliwości obrony. W najgorszym razie zawsze pozostanie zdrowy rozsądek, możliwość wyłączenia komputera i wyjścia między ludzi.

Najważniejsze to robić swoje, nawet przy pomocy środka, który usiłuje cię zdominować. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

Tomasz Sakiewicz

Putin walczy o życie

Coraz bardziej agresywna postawa Rosji i przynajmniej jak na razie coraz większa bezradność państw zachodnich może być odebrana jak wzrost potęgi imperium rosyjskiego. Tymczasem prawda jest dokładnie odwrotna: Rosja walczy o utrzymanie resztek mocarstwa i bez tej walki Putin dla elit rosyjskich byłby już kompletnie przegranym. Nie zmienia to faktu, że dla sąsiadów Rosji i terenów uznanych za ich strefy wpływów stwarza to dzisiaj ogromne zagrożenia.

Rosja od czasu konfliktu z Chinami w latach 60. nieustannie zmniejsza zakres swoich wpływów. Dzisiaj nikomu, tak jak było to ponad pół wieku temu, nie przyjdzie do głowy, że Państwo Środka mogłoby zostać zdominowane przez Rosję. O odwrotnej sytuacji mówi się nieustannie. Puste tereny Syberii są zasiedlane przez imigrantów z Chin i cieszy się to cichym wsparciem Pekinu. Nawet to, że Moskwa jest dzisiaj w taktycznym sojuszu z Pekinem, nie zmienia faktu, że ostatecznie ekspansja Państwa Środka będzie się odbywać kosztem Kremla. Rosja traci na rzecz Chin swoje wpływy w Azji i Afryce. Szczególnie niebezpieczna jest dla niej sytuacja w Azji, gdyż dawne republiki sowieckie mogą okazać się miękkim podbrzuszem południowych granic kraju świata. Jeszcze gorzej sytuacja wygląda na Kaukazie. Turcja, która praktycznie wymówiła USA sojusz, ani myśli stać się wasalem Rosji. Raczej patrzy chętnie na odbudowę swoich wpływów w części Azji i Afryce Północnej. To generalnie zawsze będzie odbywało się kosztem Kremla.

Dzisiaj Chiny gospodarczo są silniejsze od Rosji, a Turcja ten dystans skraca. Zdolność Putina do mobilizowania sojuszy przeciwko USA to chwilowe zwycięstwa. Kończy się to zawsze większym zaangażowaniem Zachodu w obszary uznane przez Rosję za własne strefy wpływów. Poza tym istnieje cena takich sojuszy. Rosja musi zezwalać na panoszenie się Chin i Turcji pod jej nosem.

W Europie sytuacja Putina wygląda jeszcze gorzej. Państwa Europy Środkowej, najważniejszy kiedyś element imperium sowieckiego, stały się częścią NATO. Próby ratowania wpływów Kremla poprzez dogadywanie się z Niemcami mogą najwyżej spowodować wzrost potęgi Niemiec. Moskwa sama nie wie, co dla niej gorsze: niezależne, lecz konkurujące z Niemcami republiki międzymorza, czy też zdominowanie Europy Środkowej przez Berlin. Dobrego wyboru tu nie ma.

Niemal wszystkie granice Rosji znajdują się dzisiaj w obszarach spornych wpływów. Na niektórych na życzenie Kremla tli się wojna. Przy słabnącej gospodarce i fatalnej strukturze demograficznej to dla Moskwy prawie jak wyrok.

Zupełną katastrofą okazała się sprawa ukraińska. Dzień, w którym prorosyjski prezydent kazał strzelać do ludzi na Majdanie, zakończył jakiekolwiek mrzonki o pokojowym aliansie Moskwy i Kijowa. Wyrywanie kawałków Ukrainy przez separatystów sytuacji nie poprawia.

Moskwa nie powinna też świętować zduszenia rewolucji na Białorusi. To iście pyrrusowe zwycięstwo. Wystarczy chwila słabości reżimu, żeby najbardziej do tej pory prorosyjski naród stał się częścią Zachodu. Na Białorusi, podobnie jak na Ukrainie, Putin wykopuje wielki rów pomiędzy narodami, ciesząc się krótkotrwałymi sukcesami.

Niemal wszystkie granice Rosji znajdują się dzisiaj w obszarach spornych wpływów. Na niektórych na życzenie Kremla tli się wojna. Przy słabnącej gospodarce i fatalnej strukturze demograficznej to dla Moskwy prawie jak wyrok. Putin broni się pokazowymi akcjami, ale te spychają go w miejsce wroga pokoju i człowieka. Po jego rządach Rosja, o ile w obecnej formie ocaleje, będzie potrzebowała pokoleń na odbudowę choćby części swoich wpływów. ■

eprasa.pl 6e1ea9bfc8

CYFROWY POLSAT

OFERTA DLA CAŁEJ RODZINY!

PAKIETY TELEWIZYJNE JUŻ OD 30 ZŁ/MIES.

Oglądaj, jak chcesz, przez satelitę lub przez internet

TELEWIZJA SATELITARNA | TELEWIZJA KABLOWA IPTV | TELEWIZJA INTERNETOWA

Szczegóły u Doradcy Klienta

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej, kablowej IPTV oraz internetowej przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange. Usługi telewizji internetowej i telewizji kablowej IPTV wymagają łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Oferta ważna na dzień 1.06.2021 r.

eprasa.pl 6e1ea9bfc8